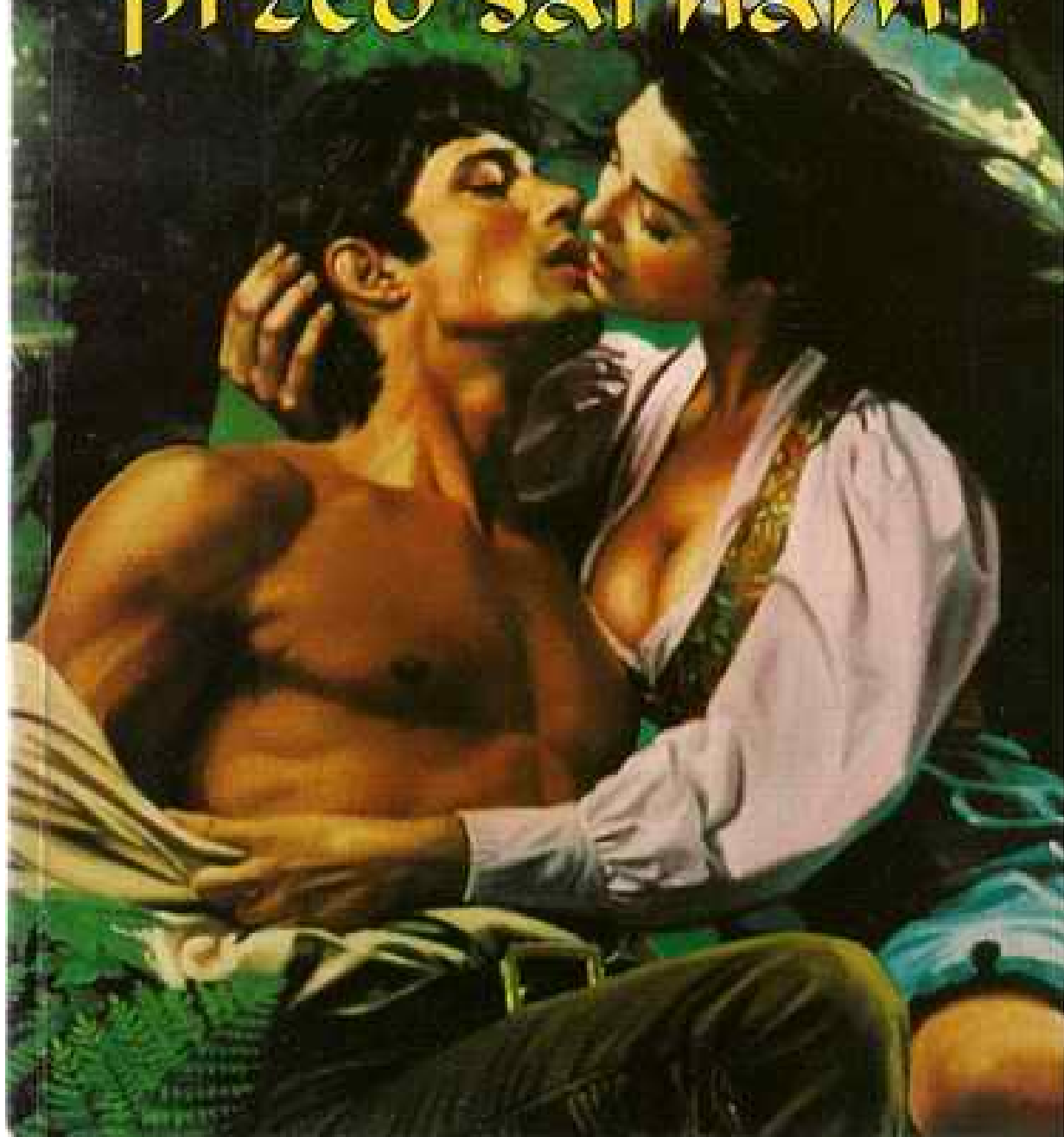


Vicki Baum

Ostrzeża się  
przed sarnami



**Baum Vicki**

**Ostrzega się przed sarnami**



## CZEŚĆ PIERWSZA

- Dobry Boże! -westchnęła szczupła, starsza pani na widok wysokich stopni, na które trzeba się było wspiąć, aby dostać się do wagonu. Jej na wpół humorystyczna, na wpół rozpaczliwa bezradność sprawiały, że te trzy zwykłe stopnie urastały do rozmiarów poważnej przeszkody. Stojący na najwyższym stopniu oficer odwrócił się, poznał panią Ambros i pośpieszył z troskliwą pomocą.

- Jestem panu niezmiernie wdzięczna, majorze Ryerson - rzekła. - Cóż za miła niespodzianka, że jedzie pan tym samym pociągiem! To naprawdę śmieszne, ale zrobiłam się zupełnie do niczego, odkąd cierpię na te niemądre ataki słabości...

Drobną i wąską dłoń w eleganckiej, zamszowej rękawiczce przyłożyła do serca. W rezygnacji, z jaką ręka pani Ambros opadła bezsilnie z powrotem, podczas gdy twarz opromieniał uśmiech, krył się cały wdzięk starszej pani: ironiczny stosunek do własnej osoby i godne dźwiganie brzemienia starości.

Dokąd się pan wybiera, majorze?

Do Waszyngtonu; mam tam pewne sprawy do załatwienia, a poza tym...

Jakże się cieszę oświadczyła pani Ambros. - Ale gdzież

się podziła moja córka? Zawsze mi się to niemądre dziecko zawierusza.

Właśnie w tej chwili szybkim krokiem zbliżyła się panna Ambros.

- Wybacz, mamó, ale chciałam kupić gazety, o które prosiłaś - powiedziała, przepuszczając podróżnych.

Była wysoka i chuda, ani młoda, ani stara, obładowana naręczem gazet, torbą podróżną, walizą, staroświeckim pledem w kratę i dwoma trenczami, swoim i macochy.

- Chodźmy, mamó, musimy poszukać naszych miejsc - powiedziała i ruszyła w kierunku przedziału.

- Dobry Boże! - westchnęła znowu pani Ambros, widząc, że wagon jest pełen żołnierzy oraz ich młodych żon z niemowlętami. - Taki tłok. Właściwie nie powinnam była wybierać się w tę podróż.

- Słusznie. Właściwie nie powinnaś - odparła pasierbica, nie patrząc na nią.

Przed rozłożeniem gazety pani Ambros rzuciła szybkie, ostre spojrzenie na chudą, zamkniętą twarz pasierbicy. Mimo bezradnej kruchości jej drobna postać zachowała w sobie coś młodzieńczego, podczas gdy Joy Ambros miała twarz opaloną i zahartowaną, usta wciśnięte między ostre bruzdy i głęboko osadzone, mroczne oczy, trochę jakby zaczerwienione.

Panna Ambros powiesiła płaszcze na haczyku po swojej stronie.

- Wygodnie ci, mamó? - spytała, zanim usiadła na swoim miejscu.

- Żeby tylko nie było tak zimno! Co się dzieje z tym ogrzewaniem? - odparła pani Ambros tonem skargi.

Joy rozłożyła pled i przykryła nim jej kolana.

Zgiełk na dworcu narastał w gwałtownym crescendo: ochryple szczekanie głośników, nawoływania konduktorów

Proszę wsiadać! - Peron, mury, żelazne słupy, schody i wymachujący rękami funkcjonariusze kolejowi, wszystko to

zaczęło się jakby cofać powoli, potem coraz prędezej, aż wreszcie pociąg wyrwał się na swobodę.

Joy zamknęła oczy, żeby na dłużej zachować obraz miasta, które pozostało za nimi, po drugiej stronie zatoki: te niezliczone, zachodzące na siebie obrazy San Francisco. Ale pani Ambros znowu poruszyła się niespokojnie.

- Teraz zrobiło się za gorąco - zaczęła utyskiwać. - Powietrze jest wprost nie do zniesienia. Naprawdę nie wiem, jak wytrzymam trzy dni w tym pociągu?

Joy nie od razu odpowiedziała.

- Daj mi swoje palto - zwróciła się wreszcie do macochy i pomogła jej się rozebrać.

Było to futro z nurków, wprawdzie nie ostatniej mody, ale świetnie skrojone. Joy miała na sobie tanią imitację bobrów; kupiła ją na wyprzedży w domu towarowym.

\*

Zaledwie pociąg wyjechał z Oakland, kelner, uzbrojony w gong, ogłosił pierwszą turę kolacji; po czym powolny, nieprzerwany strumień wygłodniałych pasażerów zaczął płynąć w stronę wagonu restauracyjnego. Wprawdzie ładunek uprzejmości w tym zatłoczonym pociągu nie był zbyt wielki, ale cały jej zapas został zaofiarowany drobnej, pełnej wdzięku starszej pani. Ludzie przywierali plecami do ścian korytarza, wciągali brzuchy, aby nie hamować jej niewzruszonego marszu naprzód. Usłużne ręce pomagały jej przebrnąć przez dygocące wnętrza harmonijek, łączących wagony, a młodzi żołnierze, którzy na wojnie oduczyli się dobrych manier, przypomnieli je sobie na widok starszej pani i otwierali przed nią ciężkie drzwi.

Im bliżej było do restauracyjnego wagonu, tym większy panował tłok. Pani Ambros wynurzyła się z tłumu, drżąc, wyczerpana, omdlała, budząc wokół współczucie i chęć okazania pomocy. Stara, energiczna pielęgniarka zbadła jej

puls, a młody podporucznik z obandażowaną głową ustąpił swego miejsca przy stole.

Pani Ambros miała pewne doświadczenie w sztuce pokonywania omdleń, robiła to dyskretnie i z wdziękiem.

- Och, najmocniej pana przepraszam za to zamieszanie... ale naprawdę, nie chciałam... Wszystko przez to moje głupie serce... Nie, naprawdę, panie poruczniku, nie może pan sobie przeszkadzać w kolacji. Absolutnie nie zgadzam się na to...

- Drobiazg, proszę pani... Myśmy już właściwie zjedli, prawda, siostrze?

- Nie powinnam była w ogóle wybierać się w podróż, lekarz stanowczo mi tego odradzał. Ale mój syn wraca z wojny, nie widziałam go od dwóch lat, a my, matki, jesteśmy trochę zwariowane. Och, serdecznie panu dziękuję, to niesłychanie uprzejmie z pana strony! - z tymi słowami pani Ambros rozsiadła się na krześle. - A teraz - zwróciła się do pasażerów - może ktoś byłby łaskawy odnaleźć moją córkę...

Pannę Ambros przepuszczano nie bez pomruków niezadowolenia.

Kiedy matka i córka skończyły kolację, inni wciąż jeszcze stali w kolejce. Przez cały czas trwania posiłku obie panie nie zamieniły ze sobą ani słowa, chociaż Joy obsługiwała macochę z nienaganną uprzejmością, napełniała jej szklankę wodą, podawała chleb, osłodziła jej herbatę i dołała mleka, wreszcie zapłaciła rachunek.

- Pozwolisz, że zapalę? - zapytała w końcu i dopiero, kiedy starsza pani skinęła głową, wyjęła z kieszeni płaszczka papierośnicę i otworzyła wieczko.

Była to złota męska papierośnica, duża, masywna i staroświecka. Wewnątrz wyryta była mała korona i parę słów wypisanych zamaszystym charakterem. Spojrzenia obu kobiet skrzyżowały się nad tym niemodnym, dziwnym przedmiotem.

- Powinnaś ją właściwie ofiarować bratu na powitanie, moje dziecko - powiedziała pani Ambros. - Ma do niej prawo. Ostatecznie była to papierośnica ojca.

- Właśnie dlatego ją zachowam - odparła Joy. Zatrzasnęła wieczko, zapaliła papierosa i głęboko wciągnęła dym. - Może ustąpimy miejsca innym i przejdziemy do salonki?

W salonce było szaro od dymu i od męskich ubrań. Kiedy pani Ambros z wahaniem stanęła w wejściu, podobna do kruchej figurki z miśnieńskiej porcelany, absolutnie nie pasująca do tego męskiego otoczenia, na drugim końcu wagonu podniósł się major Ryerson i zaofiarował jej swojej miejsce obok zażywnego starszego pana.

- Bardzo proszę, może pani zechce usiąść tutaj. Pani zna mojego przyjaciela, prawda? George'a Wattsa?

Adwokat podniósł wzrok znad gazety, miał czujny wyraz oczu i obwisłe policzki starego buldoga.

- Ależ oczywiście znamy się, kto w San Francisco nie zna naszego drogiego George'a? Pracowaliśmy razem w Czerwonym Krzyżu i we wszelkich możliwych komitetach dobroczynnych. Doprawdy nie wiem, co byśmy poczęli bez George'a. Jakich ten człowiek używał sztuczek, żeby zdobyć pieniądze na dobry cel!

- Bardzo jesteś łaskawa, Anno - powiedział Watts. - Halo, Joy, zawsze się cieszę, kiedy cię widzę. Znasz Toma, majora Ryersona?

Pociąg pokonywał właśnie ostry zakręt i wagon zakołysał się mocno. Pani Ambros, szukając oparcia, uczepliła się klapy marynarki Wattsa, jakby to był uchwyt w tramwaju. Uśmiechnęła się do niego podnosząc wzrok w górę, a on spoglądał na nią w dół, tak jak mężczyźni zawsze spoglądali na jej drobną i kruchą postać, czując się przy tym zwykle wyżsi, silniejsi i bardziej męscy, niż byli w rzeczywistości.

Pozostałaś wciąż taka sama, Anno - powiedział, układając fałdy buldogowatych policzków w sztuczny uśmiech.

Pani Ambros chwilę stała wsparta o jego masywne ciało, potem opuściła ręce i odsunęła się od niego.

Przyjmuję to jako wielki komplement, zwłaszcza z twoich ust, George - odrzekła półgłosem.

Joy stała obok z osobliwie czujnym, a zarazem roztargnionym wyrazem twarzy. Zaciągnęła się raz jeszcze papierosem i zgasiła go gwałtownym ruchem w chromowanej popielniczce.

- Proszę, niech panowie siadają, nie mam zamiaru pozbawiać was miejsca - powiedziała pani Ambros ze swoim najbardziej rozbajającym uśmiechem. - Chodźmy, moje dziecko, posiedzimy sobie chwilę na platformie, jeśli ci nie będzie za zimno. Tutaj nie można w ogóle oddychać. O, George, czy mógłbyś mi otworzyć drzwi, są takie ciężkie... dziękuję, stokrotnie dziękuję i do zobaczenia wkrótce.

Ryerson zamknął drzwi za obiema paniami. - Czy ona nie jest czarująca? - zapytał. - Naprawdę wyjątkowo urocze stworzenie.

- Drogi Tomie, Joy jest znacznie więcej niż uroczym stworzeniem.

- Joy? Aha, masz na myśli córkę? Ale przecież nie mówiłem o niej. Chodziło mi o matkę. W tej kobiecie jest jakiś ponadczasowy wdzięk, coś, co dzisiejsze dziewczęta zupełnie zatraciły. Jest ona co prawda starszą osobą, ale ma w sobie tyle kobiecości, jakby była stworzona z jakiegoś delikatnego materiału. Obecne młode pokolenie nie będzie się tak dobrze trzymało, zbyt szybko się zużywa.

- Obecnemu pokoleniu usunął się grunt spod nóg i młodzi ludzie diabelnie mocno się potłukli. Zresztą ziemia dotychczas jeszcze kołysze się pod nimi; nasze dziewczęta mają być może ważniejsze rzeczy na głowie niż dbanie o swą kobiecość, urok

i grację. Gdzie poznałeś panią Ambros?

- W lazarecie". Przychodziła regularnie, pisała nam listy, czytała głośno i w ogóle starała się umilić nam czas.

- Acha. Widziałeś ją w aureoli, a ja ją znam bez tej ozdoby. Na tym polega różnica.

- Dobrze znasz panią Ambros?

- Dość dobrze i... dość długo. W okresie mojego dzieciństwa byliśmy, że tak powiem, sąsiadami; rodzina Ballardów miała mały letni domek w Belvedere - jest to śliczny półwysep



po drugiej stronie zatoki - a mój ojciec prowadził gospodę w rybackiej wiosce Tiburon.

- Teraz zaczyna mi coś świtać, George. Kochałeś się w niej, a ona wyszła za innego.

Adwokat wyglądał na ubawionego.

- To zbyt kiepski żart, drogi chłopcze. Weź łaskawie pod uwagę, że Anna była kobietą zamężną, kiedy ja dostałem pierwsze długie spodnie. Anna nienawidzi mnie jak zarazy. Nasza znajomość polega na tym, że jako radca prawny towarzystwa ubezpieczeniowego musiałem rozpatrywać roszczenia Anny, ilekroć popadała w tarapaty, a nieraz jej się to zdarzało. Nigdy mi nie przebaczyła, że z urzędu musiałem wtykać nos w jej sprawy osobiste.

- Dowiedz się jeszcze, że Joy nie jest córką Anny, tylko jej siostrzenicą - kontynuował George Watts. - Dziwisz się? Otóż prawdziwą matką Joy była druga panna Ballard, siostra Anny, Maud. Biedna Maud, bardzo ją lubiłem. Kiedy umarła, bardzo wcześnie, nie miała jeszcze trzydziestu lat - Anna przejęła po niej wszystko hurtem: dom, dziecko i męża. Sławnego Floriana Ambrosa, z jego sławnymi skrzypcami... Ale to są stare dzieje.

- Słyszałem o tym. Pił, prawda?

- Ależ skąd! Pił jej pierwszy mąż, Clyde Hopper. W gruncie rzeczy niezły chłopak, jednak istotnie pił za dużo. Ha, jeżeli dzisiaj uważasz Annę za kobietę czarującą, to szkoda, żeś jej nie widział jako młodej wdowy w żałobie! Ambros co najwyżej sącył po kropelce najlepszą starą sherry albo francuski szampan. Dziwny typ - Europejczyk, artysta, właściwie nigdy nie udało mu się dopasować do naszego miasteczka, chociaż bardzo się o to starał i chociaż my pyszniliśmy się, że wśród nas przebywa. No, i najpierw spalił im się dom, potem Ambros nagle umarł, a w rok później Anna straciła na giełdzie całe jego ubezpieczenie na życie, do ostatniego centa.

Z drugiego małżeństwa pozostała jej tylko Joy. Wierz mi, Tom, Joy jest wspaniałą dziewczyną.

- Czy panna Ambros jest podobna do matki?
- Zewnętrznie nie; wdała się raczej w ojca, ale jest równie bezinteresowna jak Maud. Bardzo lubiłem Maud...
- Cóż poza bezinteresownością pozostaje osobie pozbawionej wdzięku tak, jak panna Ambros?
- Przycisz łaskawie głos, bo właśnie nadchodzi Joy. A gdybyś kiedyś nie miał nic lepszego do roboty, to proszę przyjrzyj się dokładnie tej dziewczynie. Halo, Joy, co się stało?
- O, panowie jeszcze tutaj? - odparła Joy z roztargnieniem, ale przystanęła, obracając w palcach zgasłego papierosa. Kiedy pochyliła się nad płomyczkiem zapalniczki, którą Ryerson jej podał, major przyjrzał się jej, tak jak mu Watts radził. Rzeczywiście, pomyślał trochę zdziwiony, ona nie jest nieinte-resująca; ale nie można tego nazwać wdziękiem. Nie miała w sobie żywego ciepła kobiety, raczej kamienną piękność marmurowego posągu; jej rysy były zbyt ostre, czoło za wysokie, brwi za szerokie. Uroda, której surowość nie pozwalała nazwać Joy ładną.
- Idę do przedziału po futro matki; na platformie jest okropnie zimno.
- To nie jest miejsce dla matki pani, grozi jej poważne przeziębienie.
- Pan ją przecież zna; nie może znaleźć sobie miejsca w pociągu.
- Dokąd panie jadą? Do Nowego Jorku?
- Najpierw tak, a potem do Bostonu. Oddział mojego brata ma tam wylądować w przyszły poniedziałek.
- No to doskonale. Nic dziwnego, że matka jest rozdygotana. A Zuzanna, młoda pani Ambros? Czemu nie jedzie z wami?
- Zuzanna? Musiała zostać z dziećmi. Wie pan przecież, jak trudno teraz o pomoc domową... W dodatku mała Maxina tydzień temu zaraziła się odrą. Nie, Zuzanna nie będzie przy powitaniu... tylko matka.
- No i pani, Joy. Jestem pewien, że to będzie dla Karola ważniejsze niż cała ta pompa, z jaką witają naszych chłopców.

- Ja? Och, ja jestem przecież tylko jego siostrą - odparła Joy.

Jej spojrzenie powędrowało ku oknu i dalej, w wieczorny mrok, w którym migwały pojedyncze światełka. Major Ryerson odczuł jakieś nieokreślone współczucie dla dziewczyny, kiedy odchodziła, patrzył za nią poprzez dym ze swojej fajki.

Parę minut przed dziesiątą Ryerson wyszedł na korytarz z przedziału, który dzielił z adwokatem. Stał kołysząc się w rytm jadącego pociągu, zapatrzonej w czarną noc za oknem, i usiłował nie myśleć o niczym. Ocknął się pod wrażeniem cichego szelestu i zapachu lawendy. Zjawiła się pani Ambros; miała na sobie haftowane chińskie kimono, w którego szerokich rękawach niby w mufce ukryła małe dłonie.

- O, czyżby i pani nie mogła zasnąć?

- Nawet nie próbuję, bo byłoby to i tak bezcelowe. Nigdy nie potrafiłam spać w pociągu. Te okropne przepełnione wagony sypialne przerażają mnie. Naprawdę, wcale nie żartuję. I w dodatku tak strasznie trzęsą, że natychmiast dostaję moich bólów głowy.

Mówiła o „swoich” bólach głowy, tak jakby one stanowiły jej specjalną prywatną własność. Moje bóle głowy. Moje futro z nurków. Moja córka. Dawniej tym tonem mówiła: mój mąż.

- Już wolę stać całą noc w korytarzu, niż leżeć za tymi wstrętnymi zielonymi zasłonami. Wiem, że to głupie i śmieszne, ale kiedy wchodzę do takiej koi, wydaje mi się, że to trumna. A czego się człowiek nie napatrzy w takim sypialnym wagonie - ciągnęła. - Naprawdę nie jestem wcale pruderyjna, niech się pan nie uśmiecha, majorze, zresztą może mnie pan nawet uważać za przewrażliwioną, ale po prostu niedobrze mi się robi, kiedy muszę patrzeć na dziesiątki owłosionych żołnierskich nóg i zarośniętych twarzy...

Dlaczego nie wzięła pani osobnego przedziału? Drogi majorze, zapomina pan, że ja nie należę do osób wpływowych. Osobne przedziały są zarezerwowane dla ofice-

rów... Ach, mój Boże, nie miałam na myśli pana, naprawdę proszę mi wierzyć, zresztą wcale się nie skarżę.

Majorowi Ryersonowi nie pozostało nic innego, jak zaproponować pani Ambros przedział, który dzielił z Wattsem Adwokat, już rozebrany i zatopiony w lekturze jakiejś powieści kryminalnej, me był zachwycony żywiołową rycerskością Ryersona, ale me dał nic po sobie poznać, wezwał konduktora i załatwił sprawę zamiany miejsc. Dokonano więc przeprowadzki, nie bez pewnego zamieszania w ogólnym wagonie sypialnym. Była to jedna z właściwości pani Ambros, że mimo całej subtelności, skromności i urzekającego wdzięku, stawała się ośrodkiem zamieszania, incydentów i zbiegowisk.

Joy, poprawna w swojej sportowej brązowej sukni, pomagała w milczeniu taszczyć, wlec i przenosić, a na zakończenie powiedziała tylko chłodno: - Dziękuję i dobranoc. - Pani Ambros natomiast powtarzała wciąż bezradnie, że to naprawdę zbyt wiele uprzejmości ze strony obu panów. Wreszcie jednak wszyscy zostali ulokowani, panie Ambros zajęły osobny przedział, a obaj panowie powędrowali wraz ze swymi teczkami do ogólnego wagonu sypialnego.

- Chcesz wiedzieć, co ja o tym myślę? Twoja czarująca starsza pani po prostu nas wykantowała - oświadczył Watts

Był niezręczny i ociężały, tak że z największym trudem zdołał się rozebrać w ciasnym kojcu. Kiedy jednak Ryerson wdrapał się po drabince na górne łóżko, usłyszał z dołu cichy śmiech przyjaciela.

- Co cię tak rozbawiło? - zapytał.

- Właściwie nic szczególnego. Przypomniała mi się pewna tablica ostrzegawcza, którą widziałem w Anglii Czy byłeś kiedy w Bushey Park? Między Richmond i Hampton Court? Tam właśnie, w rezerwacie dla dzikich zwierząt, umieszczono tę tablicę z napisem: OSTRZEGA SIĘ PRZED SARNAMI! Tak, właśnie to: - Wdzięczne, płochliwe stworzenia o długich disneyowskich rżęsach i tablica wołająca ogromnym napisem na całą okolicę: OSTRZEGA SIĘ PRZED SARNAMI!

NINIEJSZYM ZWRACA SIĘ UWAGĘ P.T. PUBLICZNOŚCI, ŻE ZBLIŻANIE SIĘ DO ZWIERZĄT JEST NIEBEZPIECZNE. PORĄ SZCZEGÓLNIIE GROŻNĄ JEST OKRES GODÓW, i tak dalej, i tak dalej.

Za każdym razem , kiedy spotkam Annę Ambros, przypomina mi się owa tablica. No, dobranoc, niech ci się tam na górze przyjemnie śpi, rycerzu pięknej damy - powiedział George Watts i zaciągnął firanki.

Joy Ambros leżała na górnym łóżku osobnego przedziału i nie mogła zasnąć. Zażyła proszek nasenny i czuła się trochę oszołomiona, ale zasnąć nie mogła. „Ostrożnie ze środkami nasennymi, bardzo łatwo się do nich przyzwyczaić” - przestrzegał ją doktor Bryant. Z początku nie rozumiała sensu tych słów, ale teraz wiedziała, co miał na myśli. Człowiek ufał pocziwej małej pastylce, która chroniła przed myślami, jeśli stawały się zbyt bolesne, i był wdzięczny za zapomnienie, w jakie się pod jej wpływem zapadał. Znajdował jeszcze uspokojenie we śnie, choćby tylko na parę godzin. Wkrótce zaczynał budzić się o wiele za wcześnie, przed brzaskiem, i leżał z otwartymi, piekącymi oczami. Potem okazywało się, że jeden proszek już nie działa, zażywało się więc dwa, wkrótce i dwa traciły swą magiczną siłę. A potem stawała przed oczami buteleczka po lekarstwie, znaleziona tamtego ranka na nocnym stoliku ojca obok otwartej papierośnicy, i wtedy człowiek staczał swój samotny bój, zbierał całą siłę woli, wyrzucał resztę proszków, stawiał czoło udręce długich, bezsennych nocy.

Dzisiejszej nocy rozmyślała o Karolu, o Zuzannie i o dzieciach czteroletnim Florianie i prawie już sześciolatniej Maxinie i o tym, że trzeba koniecznie coś zrobić, aby ich ratować, i że to od niej zależy.

Brat, bratowa, ich domek zaprojektowany przez Karola, dziecinny pokój pomalowany przez Zuzannę, wesołe zwierząt-

ka wykonane przez nią dla malców, salonik, którego żółte ściany nawet w deszczowe dni dawały złudzenie słonecznego blasku, grządki kwiatowe w maleńkim ogródku, dziecinne książeczki i kołysanki, pisane przez Zuzannę. Kochana, wesoła, mądra Zuzanna! Nie, myślała Joy po raz tysięczny, nie może im się stać nic złego, ja do tego nie dopuszczę.

Pociąg zatrzymał się na jakiejś stacji bez nazwy i nastąpiły dwa gwałtowne wstrząsy. Pani Ambros poruszyła się na dolnym łóżku, obudziła się i zapaliła światło.

- Joy? Śpisz?

- Niezupełnie, mamó.

Po paru szarpnięciach pociąg ruszył. Pozostały za nimi główna ulica nieznanego miasteczka, mająca wśród nocy stacja, parę latarni, kilka samochodów drzemających w ich blasku.

- Joy?

- Słucham, mamó.

- Jeśli ci to nie sprawi zbyt wielkiego kłopotu, daj mi proszę łyk wody.

Joy zeszła po drabince na dół, odnalazła karafkę i napełniła szklanekę letnią wodą. Zaciągnęła firankę i ciasna klitka zamknęła się wokół niej jeszcze ciaśniej.

- Och, nie rób tego, moje dziecko, i tak nie mogę prawie oddychać. Przyłóż rękę do mojego serca. Tłucze się jak szalone. Czy to nie byłoby straszne, gdybym w drodze dostała ataku?

- Na pewno do tego nie dojdzie, bądź spokojna, mamó - odparła Joy i wdrapała się z powrotem na swoje łóżko.

Matka jednak zaczynała się ubierać.

- Nie mogę już dłużej wytrzymać - szeptała. - Jeżeli pozostanę tu jeszcze chwilę, umrę. Nie przejmuj się mną, moje dziecko. Wyjdę sobie na platformę i łyknę trochę świeżego powietrza.

Joy zeszła ze swojego łóżka i pomogła jej włożyć pończochy,

pantofle, jedwabną halkę, wreszcie suknię i futro z nurków. Sama narzuciła trencz na piżamę i wzięła stary pled podróżny.

- Gotowe? - zapytała.

- Naprawdę nie potrzebujesz ze mną iść, moje dziecko, jeśli nie masz ochoty. W razie czego - konduktor będzie mógł mi chyba pomóc...

Obie wiedziały, że są to frazesy. Joy otworzyła przed macochą drzwi i poprowadziła ją przez uśpiony pociąg. Teraz dopiero poczuła oszołomienie, w jakim proszek nasenny pogrążył jej umysł, nadając wszystkim przedmiotom piętno nierzeczywistości. Pociąg kołysał się, dudniąc poprzez noc wciąż w tym samym rytmie, przesywając mrok ochryłym, przeciągłym gwizdem lokomotywy. Wędrowały kolejno przez wiele wagonów, wszyscy podróżni spali, śnili. Trasa tej wędrówki rozbrzmiewała całą polifonią oddechów i Joy wydawało się pod koniec, że idą wciąż przez ten sam wagon, podobnie jak w złych snach człowiek wciąż wraca na tę samą ulicę. . .

Wreszcie dotarły do salonki, która sprawiała wrażenie o wiele za jasnej i za trzeźwej po tej sennej wędrówce. Siedziało tam jeszcze paru grających w karty, obaj konduktorzy pili piwo, starsza pielęgniarka pisała list, a barman przyglądał się partii szachów, rozgrywanej przez dwóch młodych oficerów. Wszyscy podnieśli głowy, kiedy Joy i jej matka wkroczyły do wagonu, a pani Ambros uśmiechnęła się z najbardziej urzekającym wdziękiem.

Joy otworzyła drzwi, wiodące na małą, otwartą platformę. Nocne powietrze uderzyło ją w twarz, niby lodowato zimna ręka, smagało po nogach, szarpało nogawkami piżamy. Poza tym to zimne powietrze otrzeźwiło ją i wyrwało z mglistej nierzeczywistości, w jakiej się dotąd poruszała.

Prawda, że tu jest lepiej? - zapytała pani Ambros, siadając na jednej z dwóch wąskich ławeczek.

Joy instynktownie usiadła na przeciwległej ławce, tak że dzieliły je drzwi wiodące do wnętrza wagonu. Chociaż tu, na

zewnątrz, dudnienie pociągu słycać było o wiele wyraźniej, to jednak było jakoś ciszej niż w wagonie. Nocna ciemność była czarna i głęboka, cieniutki skrawek księżyca przesuwał się śpiesznie między przezroczystymi, strzępiastymi chmurami. Firanki po wewnętrznej stronie drzwi były zsunięte, odgradzały znajdujący się za nimi jasny świat od nocy.

- Joy, czy zabrałaś pled? Zmarzły mi nogi - jęknęła pani Ambros.

- Oczywiście, mam - odparła Joy i przyklękła, aby owinąć nogi starszej pani.

- Czasem przypominasz mi twego ojca; on mi także owijał nogi pledem, kiedy czułam się źle w czasie naszych podróży. Wiesz, ile razy przemierzyliśmy z twoim ojcem Atlantyk? - zapytała pani Ambros. Joy wiedziała, ale pozwoliła jej mówić dalej.

- Cóż to był za niespokojny człowiek! A ja, nieszczęsne stworzenie, musiałam mu towarzyszyć podczas wszystkich jego tournées, tułać się po hotelach. Nigdy nie zdołałam się do tego przyzwycząić. Możesz mi wierzyć, życie żony sławnego człowieka nie zawsze jest usłane różami. Ale ja, mimo to, lubiłam je.

Joy wróciła na swoje miejsce po drugiej stronie drzwi i skrzyżowała ręce na plecach. Ruch ten również odziedziczyła po ojcu.

- Co ci się stało, moje dziecko? Dlaczego się w ogóle nie odzywasz?

- Cóż mam ci powiedzieć mamó. Wszystko, co ja wiem, wiesz i ty.

- Wczoraj zęgnęłaś się przez telefon z Zuzanną; słycałam waszą rozmowę.

- No i co z tego?

- Czy ona... jakby to powiedzieć... czy nie wydawało ci się, że ona coś ukrywała?

Joy wzruszyła niechętnie ramionami.

- Jeśli już chcesz tak dokładnie wiedzieć, to Zuzanna nie



była szczególnie uradowana, że ty powitasz Karola zamiast niej - powiedziała wolno, jeszcze mocniej splatając ręce, tak że czuła każdą ich kostkę.

Mignęło im przed oczami parę pogrążonych we śnie małych domków, szklana klatka nastawni rozświetliła na chwilę szyny, trzy wielkie ciężarówki wspinały się cierpliwie na wznoszącą się stromoszość, która biegła wzdłuż torów. Potem znów zapadła ciemność. I nagle zjawił się na platformie hamulcowy, otworzył małą furtkę na barierce i niemal z przerażeniem spojrzął na obie panie, które wydobyło na jaw światło jego latarki.

- Czy panie nie marzną? - zapytał uprzejmie.

Joy starała się nie słuchać odpowiedzi matki; znów była tam mowa o słabym sercu, o bólach głowy, o niemożności wytrzymania przez całą noc w przedziale. Widziała, jak hamulcowy zabezpieczał furtkę jakimś kołkiem czy zasuwą.

- Mamy dwadzieścia dwie minuty spóźnienia, ale niedługo je nadrobimy - powiedział. - Dobranoc paniom i radzę za długo tu nie siedzieć, bo katar murowany.

Otworzył drzwi do oświetlonego wnętrza wagonu i kiedy je za sobą zamknął, noc stała się jeszcze ciemniejsza, niż przedtem. Joy rozluźniła zaciśnięte palce i wyjęła z kieszeni płaszcza papierośnicę i zapalki.

- Czy mogę zapalić, mamó?

- Jeżeli koniecznie chcesz...

Zaciągnęła się dymem, gorzki smak w gardle podziałał na nią jak wzmacniające lekarstwo.

- Mamó - odezwała się. Siedziała bardzo sztywno, mocno przyciskając kręgosłup, kark i tył głowy do zimnego drzewa ławki. - Posłuchaj mnie, mamó. Ta podróż może ci zaszkodzić. Jutro rano będziemy w Ogden. Wsiądziemy tam i wrócimy do San Francisco.

Jeśli ten dziwny projekt przeraził panią Ambros, to nie dała tego po sobie poznać.

Nie uważam, żeby to był dobry pomysł, moje dziecko

- odparła spokojnie. - Postanowiłam spotkać się z Karolem pierwsza, a powinnaś mnie znać na tyle, aby wiedzieć: kiedy raz sobie coś postanowię...

- O, tak, mam, znam cię. Ale tym razem i ja sobie coś postanowiłam.

- Wiem, że tylko ze względu na mnie masz te zastrzeżenia, obawiasz się, czy podróż nie zaszkodzi mojemu zdrowiu. Ale ja nigdy nie cofałam się przed ofiarami, powinnaś o tym wiedzieć lepiej niż inni. I wiesz doskonale, dlaczego muszę pomówić z Karolem, zanim dowie się o wszystkim od obcych. Ostatecznie jest moim synem...

- Do diabła, przede mną możesz się nie popisywać swoimi wzruszającymi opowiadkami. Dajmy tym razem spokój tej całej obłudnej gadaninie. Nie mogę dopuścić do tego, żebyś pojechała do Bostonu i koniec.

Joy drżała z hamowanego podniecenia, ale pani Ambros nie straciła równowagi.

- Uspokój się, Joy, nie powinnaś wyładowywać na mnie gwałtownego temperamentu Ambrosów. Weź się w garść.

- Słuchaj, mam, porozmawiajmy dzisiaj bez wszelkiego upiększania. To, co mówię, nie ma nic wspólnego z moimi nerwami, ani z moim temperamentem. Powtarzam, na zimno i zdecydowanie: nie pozwolę, żebyś zrujnowała życie Karola, tak jak zrujnowałaś życie moje i życie wszystkich, którzy się z tobą zetknęli. Dość już złego zrobiłaś i nie dopuszczę do tego, żebyś rozbiła małżeństwo Karola. Jutro rano wysiądziesz z tego pociągu, choćbym cię miała z niego wywlec za twoje wypielegnowane siwe włosy. Zrozumiałaś?

- To rzeczywiście dobry żart! Więc ja rozbijam małżeństwo Karola. A osoba, z którą się ożenił, jest biała jak śnieg? Chyba oszalałaś, jeśli przypuszczasz, że pozwolę, aby mój syn stał się pośmiewiskiem całego San Francisco. Wszyscy wiedzą, co łączy Zuzannę z tym okropnym Larry'm Grantem. Nie mogę ostrzec mojego Karola, zanim się pogrąży w tym bagnie, to wykluczone. Naprawdę, Joy.

- Nie kłam, mamó, na miłość boską nie kłam, tu przecież chodzi o istnienie całej rodziny. Cokolwiek łączy Zuzannę z Larry'm, nie powinno cię to obchodzić, i tak byś tego nie zrozumiała. Dotyczy to zresztą ich życia i ich problemów! Zuzanny, Karola i Larry'ego. Zabraniam ci wtrącać się w ich życie. Tym razem ja tobie zabraniam.

- Patrzcie państwo, ty mi zabraniasz! To ja zabronię Karolowi robić z siebie durnia, kiedy wróci. Chciałabym wiedzieć, w jaki sposób chcesz mnie powstrzymać od poinformowania Karola o tym, co robiła jego żona, kiedy on za nas walczył.

Właśnie: w jaki sposób ją od tego powstrzymać? To pytanie przetaczało się tam i z powrotem po otumanionej głowie Joy. W jaki sposób można powstrzymać Annę Ambros od spowodowania nieszczęścia? Nie pomogą perswazje, ani odwoływanie się do jej rozsądku, a już najmniej - apelowanie do poczucia przyzwoitości. Czy wobec tego użyć przemocy? Doprowadzić do skandalu? Czy popełnić samobójstwo, tak jak ojciec? Ale czy macochę to od czegokolwiek powstrzyma? Nie, po stokroć nie!

Joy zerwała się i zaczęła krążyć po niewielkiej platformie, jak po klatce, dwa kroki naprzód i dwa kroki z powrotem. Rzuciła papierosa - nikła iskierka zakreśliła świetlisty łuk w ciemnościach. Joy usiłowała skupić się. Dziwna rzecz, ale ta ostatnia rozmowa z macochą doprowadziła ją do krańcowej rozpacz. Pochylając się nad panią Ambros powiedziała:

A jednak powstrzymam cię od tego, choćbym miała to życiem przypłacić. Napisałam do Karola list i wszystko mu wyjaśniłam. Zabiję się, mamó, i dzięki temu on nam uwierzy. Uwierzy mnie, Zuzannie i Larry'emu, a nie tobie, o... nie, nie tobie...

Ty chyba naprawdę zwariowałaś - powiedziała pani Ambros, uśmiechając się z niedowierzaniem. - Jesteś szalona, Joy, i słowo daję, że mi ciebie żal, naprawdę mi ciebie żal. Pociąg jechał teraz jeszcze prędzej. Dudnienie kół zmieniało

się w miarę zbliżania się do mostu. Zagłada, zagłada, zagłada - śpiewał pociąg, pędząc przez stalową pajęczynę; mgły unosiły się ponad głębią, zabarwione czerwonym blaskiem tylnego światła pociągu, a w dole spoczywała rzeka, czarna i cicha, otchłań nieznana, niewidoczna przepaść pośród nocy.

Ręce Joy, skrzyżowane na plecach dotknęły bariery, znalazły kołek, który ją zamykał, i zaczęły go szarpać. Może to prawda, może ja zwariowałam - myślała - może doprowadziłaś mnie do szaleństwa, mnie także, a teraz chcesz zniszczyć życie Karola. Ale ja do tego nie dopuszczę. Nie dopuszczę! Nagle kołek ustąpił i krata się otworzyła.

Pani Ambros zerwała się i usiłowała odciągnąć Joy od niebezpiecznej bariery. Joy była mocna, ale delikatna pani Ambros też miała siłę, zdumiewającą siłę.

- Ja do tego nie dopuszczę, nie dopuszczę... - szeptała Joy, zdawało jej się, że krzyczy, choć naprawdę ze ściśniętego gardła dobywał się tylko zdławiony szept. - Zabiłaś moją matkę i ojca. Zniszczyłaś moje życie, a teraz chcesz zniszczyć życie Karola. Ale ja do tego nie dopuszczę, nie dopuszczę, nie dopuszczę, raczej się zabiję. Raczej ciebie zabiję, ale nie pozwolę, żebyś zrobiła krzywdę Karolowi...

Zmagały się ze sobą, napierały na siebie wzajem, ciężko dysząc, jęcząc. Nigdy jeszcze Joy nie widziała twarzy macochy z tak bliska, nigdy nie malował się na niej wyraz takiego zdecydowania i zdziwienia zarazem. Podczas gdy palce Joy wpijały się coraz mocniej w ramiona starej kobiety, usta pani Ambros otworzyły się szeroko, przenikliwie wzywając pomocy. Jej krzyk zagłuszył jednak głośniejszy, ochryply gwizd lokomotywy.

Joy przycisnęła rękę do tych krzyczących ust, poczuła, jakie są wilgotne, miękkie i odrażające i nagle przeniknął ją ostry, krótki ból, kiedy zęby macochy wbiły się w jej dłoń. A potem odczuła bezgraniczną ulgę. Coś ustąpiło, zostało wyrzucone w nicość i przestało istnieć, ale zdarzyło się to już o wiele dawniej, zdarzało się często, może tylko w snach...

Platforma była pusta.

Mała furtka w barierce chwiała się miarowo - klik, klik, klik. Pociąg minął most, toczył się brzegiem stromego stoku, potem przez wąski przesmyk między skałami, które nagle wyłoniły się z mroków nocy, toczył się dalej i dalej pośród skalistych zrębów, by wreszcie wydobyć się na rozległą, pagórkowatą przestrzeń. A gdzieś daleko w tyle ginęła pani Ambros. Joy widziała ją, kiedy zamknęła oczy. Mały, ciemny przedmiot, ciśnięty o stalowe słupy mostu, spadał do rzeki niby pusty worek, bezradnie staczał się po stromym stoku w przepaść.

- Cieszę się - powiedziała Joy głośno i wyraźnie - tak, cieszę się, że to zrobiłam. Nie zasłużyłaś na lepszy los i bardzo się z tego cieszę.

Kolana się pod nią ugięły i szybko usiadła, pozwalając sobie na krótki odpoczynek w miłosiernej pustce. Po chwili zaczęła szukać po kieszeniach papierośnicy i zapaliła papierosa. Trzymała palącą się zapalną tak długo, że aż oparzyła czubki palców, i w blasku nikłego płomyczka mechanicznie odczytała dedykację na wewnętrznej stronie otwartej papierośnicy: „Wielkiemu skrzypkowi, Florianowi Ambrosowi, od szczerego przyjaciela i admiratora - księcia Józefa Alberta von Habsburg, 1895”.

Jak to było dawno, jak dawno, pomyślała. Biedny ojciec, biedny wielki Florian Ambros! Blask przeszłości, o której jej czasem opowiadał - rozbłysnął w ostatnim migotaniu płomyczka i zgasł.

Karol się zmartwi, myślała, wydaje mi się, że on był jednak przywiązany do matki. Ale to nie szkodzi, teraz wszystko będzie dobrze. Na niego czeka Zuzanna i dzieci, jego dom i praca. Matki zawsze umierają, Karol prędko się z tym pogodzi. A ja, pomyślała i na tym urwały się jej rozważania. Usiłowała rozluźnić dłonie, zaciśnięte zęby, napięte, bolące mięśnie karku. A ja muszę udawać, że nic się nie stało, że to po prostu nieszczęśliwy wypadek. Muszę dalej żyć z tym kłamst-

wem. Zrobiłam to i odtąd muszę wlec za sobą mój czyn. Gdy Karol wróci do domu, nie może wybuchnąć żaden skandal, nic wstrętnego..

Znacznie później, kiedy sobie już wszystko jasno uświadomiła i kiedy ręce jej przestały drżeć, wstała i poszła z powrotem do salonki. Zdawało jej się, że przekracza próg świata, który zostawiła daleko za sobą, normalnego świata, w którym pali się światło i ludzie piją piwo. Światło nie paliło się już tak jasno jak przedtem, bo ostatni podróżni opuścili salonkę i barman zamierzał zamknąć bar. Joy spojrzała na niego i próbowała powiedzieć to, co z takim trudem ułożyła sobie, siedząc na platformie.

- Przepraszam pana... czy mogłabym... czy mógłby mi pan dać kieliszek whisky?

- Bardzo mi przykro, proszę pani, ale po północy nie podajemy alkoholu.

- Och, nie wiedziałam. Potrzebuję kieliszka whisky dla mojej matki, która cierpi na omdlenia. Wyprowadziłam ją na świeże powietrze. Trochę whisky dobrze by jej zrobiło, zwykle jej to pomaga.

- No, nie marudź, Joe, kiedy pani prosi o lekarstwo dla matki - wtrącił konduktor.

- Pani zdaje się nie zaszkodziłby także kieliszeczek - burknął barman spojrzawszy na pobladłą twarz Joy. Kręcąc głową z naganą, otworzył raz jeszcze szafkę i wyjął dwie butelki. - Burbońską czy szkocką? Z wodą sodową czy bez?

- Dwie szkockie bez wody - odparła Joy. - Dziękuję, bardzo dziękuję. Przykro mi, że pana zatrzymałam.

Wychyliła szybko swój kieliszek i zapłaciła, dodając napiwek dla barmana; drugi kieliszek wyniosła na platformę. Ręka jej już nie drżała.

- Ta chora zdaje się lubi sobie pociągnąć - powiedział barman do konduktora, kiedy Joy nie mogła go już usłyszeć.

- Ach, zamknąłbyś lepiej swój niewyparzony pysk - odparł tamten. - To najbardziej delikatna starsza pani, jaką sobie

można wyobrazić. Panią Ambros znam jeszcze z dawnych dobrych czasów. Nieraz wiozłem pociągiem ją i jej męża. Pomogę jej przejść do przedziału, jeśli się źle czuje.

Kiedy jednak wyszedł na platformę za panną Ambros, pani Ambros wcale tam nie było. Został Joy, bladą i zupełnie wytrąconą z równowagi. Wskazywała ciągle na chwiejącą się tam i z powrotem, klekoczącą furtkę i powtarzała:

- Na pewno zemdląłem i wypadłem z pociągu... na pewno zemdląłem i wypadłem...

Gdzieś wysoko słyhać było potężne grzmoty i jakiś głos wołał:

- Angelino! Angelino!

- Idę już, idę. Jestem tutaj - odpowiedziała pani Ambros pokornie.

Z największym wysiłkiem udało jej się otworzyć oczy. Ale nawet wtedy nie mogła dostrzec nic poza bezbrzezną, wirującą nicością, w której obracała się niby w olbrzymiej beczce. Skąd ja się tu wzięłam i co ja, Anna Ambros, tu robię, myślała zdziwiona. Może umarłam.

Znowu jakby usłyszała:

- Angelino! Angelino!

Poznała teraz głos zmarłego męża i jej pierwszą reakcją było dziwne, dobrze znane, a już niemal zapomniane rozdrażnienie. Czy on nie może zostawić mnie w spokoju? - pomyślała. Mdlilo ją trochę i nie mogła głęboko odetchnąć.

Donośny szum i grzmoty powoli ustawały i głos Floriana oddalił się. Wirująca ciemność obracała się coraz wolniej. Teraz dopiero pani Ambros zorientowała się, że owa rozległa nicość ponad nią była niebem, po którym szybko pędziły chmury, coraz to przesłaniając wąły księżyc. Dokoła widać było czarne, pochylone grzbiety pagórków.

Uświadomiwszy to sobie, próbowała stwierdzić, na czym właściwie leży. Ledwie jednak poruszyła głową, wszystko zaczęło się znów kręcić wokół niej i ostry ból przeszył jej

skronie. Anna Ambros, która w wieku sześćdziesięciu pięciu lat nigdy jeszcze nie cierpiała na ból głowy, zamknęła oczy przerażona. Było jej bardzo niedobrze, jęcząc usiadła i próbowała walczyć z mdłościami. Czuła się sztywna i obolała, nigdy nie przypuszczała, że w ogóle można się tak czuć. Zacisnęła zęby i stwierdziła, że ma usta pełne piasku i żwiru. Oddychanie przychodziło jej wciąż z największym trudem. Usiłowała zbadać rękami konsystencję podłoża, na którym siedziała; piasek, żwir, kamienie, osty, kępki wyschniętej trawy. Co się właściwie ze mną stało? - myślała. Gdzie jestem? Skąd się tu wzięłam? I jak, na Boga, mam się stąd wydostać?

Zaczęła fachowo badać swoje ciało od stóp do głów. Potłuczone i podrapane nogi. Co gorsza, nylonowe pończochy zwisały na nich w strzępach. Poza tym jej futro z nurków miało wielką dziurę na prawym rękawie. Guz na skroni wielkości ptasiego jaja wyjaśnił przyczynę bólu głowy. Dłonie piekły ją dotkliwie, piasek wbił się w podrapaną skórę, paznokcie były zdarte i połamane.

Skończone świństwo, pomyślała ze złością, nie odrosną prędzej niż za dwa tygodnie. Ale, na miłość boską, w jaki sposób znalazłam się w tej sytuacji?

Jak cicho było dokoła, jak strasznie cicho. Z trudem można było znieść tę głęboką, wszystko pochłaniającą ciszę. Po długim czasie poprzez rozległą, pustą noc dobiegł do niej cichy, przyjemny szmer - czyżby woda ściekała po skałach? Dopiero wtedy pani Ambros zdała sobie sprawę, że dręczy ją pragnienie. Bała się wstać, zaczęła więc powoli i ostrożnie pełznąć w kierunku, z którego dochodził szmer; przez piasek, żwir, duże, okrągłe kamienie w korycie rzeczonym i przez mgłę wiszącą nad małą strugą, która w porze deszczowej urastała do bystro rwącej rzeki.

Zaczerpnęła dłońmi wody, wypłukała usta, wypluła piasek, obmyła twarz, ochłodziła obtarte nogi i ranę na lewym policzku. W kieszeni płaszcza znalazła nie podartą chustkę do nosa, umoczyła ją w zimnej wodzie i przyłożyła do guza na



pulsującej skroni. Kompres pozwolił jej powoli zebrać myśli i zaczęła cofać się pamięcią wstecz, krok po kroku, przypominając sobie, że dziś był wtorek, a raczej już środa, bo tuż przed północą minęli Reno. W najbliższy poniedziałek statek wiozący Karola miał zawinąć do Bostonu i w żadnym wypadku nie mogła spóźnić się na jego spotkanie. To pani Ambros wiedziała z całą pewnością. Jednakże, dlaczego jej natychmiastowa rozmowa z synem była taka konieczna, tego mimo najlepszych chęci nie mogła sobie przypomnieć.

Wiedziała również, że Joy zachowała się wobec niej jakoś bezwstydnie. Pani Ambros westchnęła, a echo tego westchnienia odbiło się boleśnie między żebrami. Rzeczywiście współzycie z Joy staje się coraz trudniejsze - myślała - gdyby ojciec wiedział, jak się wszystko potoczyło, na pewno spisałby inny testament. Te nędzne cztery tysiące dolarów, które przynosi rocznie jej sieroca renta, jest naprawdę marnym wynagrodzeniem za wszystko, co znoszę.

Pani Ambros przypomniła sobie nagle pociąg i platformę. Co się stało na tej platformie? Joy była jeszcze trochę bardziej przykra niż zwykle, wynikła między nimi jakaś mała sprzeczka, a potem... Tak, a co potem? Usiłowała to sobie przypomnieć, przy czym pulsowanie w skroniach wzmogło się, a ból w tyle głowy wdzierał się okrutnie w jej ociężałe myśli: potem musiałam wypaść z pociągu. Ależ to kompletna bzdura, coś podobnego nie mogło mi się w ogóle przytrafić.

Nagle jakby rozerwała się jakaś zasłona i Anna Ambros z ostrą wyrazistością zobaczyła chwiejącą się furtkę w barierce platformy i usłyszała dźwięk: klik, klik, klik. Poderwała się, zapominając o bólu. Ależ nie, powiedziała do siebie, ja wcale nie wypadłam z pociągu, to Joy mnie wypchnęła, teraz to sobie przypominam. Joy chciała mnie udusić, zabić i rzeczywiście mnie zabiła. Niewiele brakowało. Mnie, która uratowałam ją wtedy z płonącego domu, mnie, która byłam jej matką, więcej niż matką!

Znowu zobaczyła twarz Joy tuż koło swojej, wykrzywioną

w zawziętej walce. W ciągu sekundy jasnej jak błyskawica raz jeszcze przeżyła kłótnię na platformie. Po czym wyłączyła tę wizję jak aparat projekcyjny i wybuchnęła śmiechem. Zrazu był to tylko chichot tkwiący głęboko w krtani, potem chichot zaczął kipieć, narastał i stawał się coraz głośniejszy, wreszcie zamienił się w nieokiełznany, dziki atak śmiechu, który, niby skurcz, wstrząsał jej delikatnym, wątłym ciałem, obolałym i poranionym.

To nie takie proste pozbyć się mnie ze świata, o nie, panno Joy, to wcale nie takie proste. Teraz będę mogła zrobić z tobą, co zechcę, wpakuję cię do zakładu dla nieuleczalnie chorych, każę cię uznać za obłąkaną i wreszcie się ciebie pozbędę, ciebie i Zuzanny, i wtedy będę miała Karola tylko dla siebie, nareszcie...

Wybuch ten wyczerpał jednak jej siły, tak że osłabiona, pełna współczucia dla siebie samej, runęła ze szczytów podniecenia na samo dno. Dlaczego, na Boga, dlaczego mnie to spotkało? Dlaczego spotkało to właśnie mnie, która nie skrzywdziłaby nawet muchy, dlaczego nawet mój własny syn się ze mną nie liczy? Dlaczego Joy tak mnie nienawidzi? Dlaczego nikt mnie naprawdę nie kocha? Nie, nawet Florian mnie nie kochał, w każdym razie nie tak, jak ja go kochałam. Co ja takiego zrobiłam, że wszyscy są przeciwko mnie? Chyba dlatego, że jestem słaba, dobroduszna i bezbronna.

Przez całe życie litowała się nad sobą, to był jej żywioł. Płacz przyniósł jej ulgę i uczucie miłego znużenia; ustąpił ucisk w głowie. Pani Ambros dla ochłody przyłożyła wilgotną chusteczkę do czoła, oparła się plecami o skałę i zamknęła oczy. Nie "wolno mi tu zasnąć, upomniała siebie. Półprzytomna usłyszała znowu głos, który znów ją zaczął wołać:

- Angelino! Angelino!

- O, mój Boże, czy nie widzisz, że jestem zmęczona? szepnęła, ale głos nie ustępował.

Angelino, nie możesz tu zostać. To sprawa życia i śmierci. No, dobrze, dobrze, nie krzycz na mnie, już idę mruknięła.

Chwyciła się występu skalnego, uklękła najpierw na poranionych kolanach, potem, usiłując wyprostować plecy, z największym trudem stanęła na nogach. Na próbę wysunęła jedną stopę, potem drugą: no, jakoś to szło.

Chwiejąc się, potykając, z na wpół nieświadomym uporem wlokła się po nierównym gruncie, byle dalej od miejsca niepojętego wypadku.

- Będę panią nazywał Angeliną - powiedział Florian Ambros, kiedy po raz pierwszy zobaczył Annę Ballard.

Miała wtedy dopiero piętnaście lat, była pensjonarką w za krótkiej spódniczce, która odsłaniała jej chude nogi w czarnych bawełnianych pończochach w prążki. Podczas gdy obiekt jej zazdrości, osiemnastoletnia Maud, miała długą suknię z lekkiej wełny w kwiatki i dorosłą, wysoko upiętą fryzurę.

- Oto moje dwie panienki - przedstawił je pan Ballard Florianowi Ambrosowi wprowadzając młodego wirtuoza do domu na Clay Street.

- Chodź, Maud, to jest Florian Ambros, wielki Florian Ambros. No, i co dostanę za to, że takiego sławnego człowieka porwałem sprzed nosa staremu panu Bensingerowi i przyprowadziłem go tutaj z Pałace Bar, żeby moje panie mogły go poznać?

- Ach, mój drogi! - zawołała pani Ballard, drżąc z podniecenia.

Zwykle czerwone policzki Maud stały się jeszcze czerwiejsze, zawstydzona usiłowała ukryć duże, szorstkie ręce. Pan Ambros oderwał się od nowego fortepianu, przy którym stał niedbale oparty, skłonił się i pocałował nieśmiało rękę Maud. Był to pierwszy pocałunek w rękę, jaki Anna widziała nie na scenie teatru, toteż patrzyła na to zdumiewające widowisko zdziwionym, chciwym wzrokiem.

Nie zostałem jeszcze przedstawiony drugiej młodej damie

- powiedział Florian Ambros swoją obco brzmiącą, trochę zbyt poprawną angielszczyzną, uśmiechając się teraz do Anny.

- Naszej małej? A więc oto nasza Ania. Zrób ładny dyg, Aniu - powiedziała pani Ballard i Anna najchętniej kopnęłaby ją w ściśnięty gorsetem brzuch.

Podąła jednak Ambrosowi rękę gestem pełnym godności, co miało zatrzeć wrażenie dziecinnego dygu, jakiego od niej żądano. Na szczęście miała tyle przytomności umysłu, że umyła ręce, zanim zbiegła pędem po schodach, i po drodze zdążyła jeszcze rozpuścić ciasno zaplecione pensjonarskie warkocze, tak że jej włosy, jakby od niechcenia, miękkimi falami opadały na ramiona.

- Miło mi pana poznać - powiedziała, zupełnie przypadkowo skupiając na swoich lokach tysiące blasków słonecznego promienia, który ukośnie wpadał przez okno.

Florian Ambros przyglądał się z baczным uśmiechem drobnej figure.

- Ania? - powtórzył, wsłuchując się w głucho brzmiące tego słowa. - Nie, to imię do ciebie nie pasuje. Jeśli pozwolisz, będę cię nazywał Angelina. Wiesz, to znaczy: aniołek.

Anna spojrzała na niego spod złocistych rzęs.

- Bardzo panu dziękuję. Ale ja umiem trochę po włosku

- oświadczyła ze skromną dumą.

- Nauczyła się od swojej niani - powiedziała pani Ballard gdzieś w oddali.

Owo doniosłe pierwsze spotkanie odbyło się w bibliotece, która z racji nabytego niedawno fortepianu przechrzczona została na salon muzyczny. Były tam tańczące amorki na suficie, w każdym rogu barwne bukiety ze sztucznych kwiatów w olbrzymich chińskich wazonach, a w szafie bibliotecznej ozdobne wydanie „Dzieł zebranych Williama Shakespeare'a" oraz „Domowy zasób wiedzy i rozrywek w dwunastu tomach". Mimo widocznych w tym pokoju dowodów wykształcenia i kultury, matka była zła, jak to Angelina zauważyła, że ojciec tak po prostu, bez żadnego uprzedzenia przyprowadził

sławnego gościa. Straciła przez to okazję do zaproszenia paru przyjaciółek oraz wszystkich rywalek ze świata towarzyskiego i urzędników rządu w dużym salonie.

Ojciec nie zwracał uwagi na takie subtelności, które nazywał fumami, i po prostu robił to, co w najlepszych intencjach uważał za słuszne. Chociaż ojciec, jako syn poszukiwacza złota, wzrastał w obozie na bezludziu i nie otrzymał zbyt starannego wykształcenia, cieszył się szacunkiem i sympatią całego miasta. Nie robił bowiem tajemnicy ze swego skromnego pochodzenia, ani się nim nie chełpił, jak to czyniło wielu wzbogaconych ludzi interesu. Krótko mówiąc, ojciec był prawdziwym panem. Miał dobre serce, szeroki gest i w ogóle był wspaniały. Anna była z niego dumna.

Mający się odbyć koncert Floriana Ambrosa był tematem rozmów w całym mieście. Nazwisko artysty pojawiała się wszędzie, na plakatach, w wywiadach, w zrecznie propagowanych anegdotach, pod jego podobiznami w gazetach, w cytowanych wypowiedziach krytyków ze stolic Europy i Ameryki. Namacalnym dowodem jego sławy miała być szerzona wśród publiczności informacja, że za jeden koncert otrzymywał tysiąc, a nierzadko i dwa tysiące dolarów.

- Widziałam w gazecie pana fotografię i czytałam wszystko, co o panu pisano - oznajmiła Anna bez tchu.

Z popularnego pisma „Ladies Home Journal” zaczerpnęła wskazówkę, że pochlebstwo jest najkrótszą drogą do serca mężczyzny. Tego nigdy nie mogło być za wiele. Anna patrzyła więc na Floriana Ambrosa z nie ukrywaną czcią, przyciskając równocześnie wolną rękę do słabo jeszcze rozwiniętych piersi, jakby była bliska zemdlenia. Pan Ballard zaśmiewał się w duchu widząc, jak jego mała córeczka usiłuje grać wielką damę, pani Ballard zaś zmarszczyła brwi, bo dzieci nie powinny przecież mieszać się do rozmowy dorosłych.

Przyniesź lepiej swój album. Widzi pan, nasza mała zbiera autografy. Jestem pewna, że pan Ambros też ci coś wpisze, jeśli go ładnie poprosisz.

..... Będzie to dla mnie wielki zaszczyt - odparł i Anna wyczuła z goryczą, że Florian Ambros kpi sobie z nich wszystkich.

..... Już dawno przestałam zbierać autografy - powiedziała spieszenie. - To przecież niemądry zwyczaj, prawda? - Byłoby zupełnie co innego, gdyby pan napisał do mnie list; bardzo bym chciała dostać od pana prawdziwy list.

- Tak? A jeśli napiszę do ciebie list, to czy mi odpowiesz? - zapytał, wyjmując złotą papierośnicę.

Teraz Maud wmieszała się do rozmowy.

- Ja również widziałam w gazecie pana fotografię, ale uważam, że była fatalna. Pan wygląda zupełnie inaczej.

- Ależ Maud, jak możesz mówić takie rzeczy! - wykrzyknęła pani Ballard z naganą. Maud umilkła, pozostawiając pani Ballard dalsze prowadzenie rozmowy.

- Cieszę się, że mój mąż dość wcześnie postarał się o bilety na koncert; od dwóch tygodni są już wyprzedane.

- No, tak... mam nadzieję, że mój program zbyt państwa nie znudzi... Jest dość ciężkostrawny - powiedział Ambros, instynktownie rzucając okiem na duży fortepian przykryty hiszpańskim szalem z frędzlami, na którym ustawiono mnóstwo fotografii w srebrnych ramkach i małego marmurowego amorka, mierzącego z łuku w przestrzeń. Był to bardzo drogi fortepian koncertowy, wyraźnie tu bezużyteczny.

- Ach, co też pan mówi, na pewno pana program będzie nam się podobał, zwłaszcza teraz, kiedy pana znamy osobiście .....zapewniła pani Ballard, zawsze gotowa podtrzymać rozmowę za pomocą banalnych frazesów. Ambros wcale jej jednak nie słuchał, zajęty jeszcze swoim programem.

- Lombardi, mój impresario. odradza mi koncert Beetho-vena, twierdzi, że San Francisco nie przywykło do poważnej muzyki. Ale, na Boga, czegoż w takim razie ode mnie oczekuje? Paganiniego, Sarasatego, Vieuxtempsa? Te rzeczy gram bardzo źle i nie mogę spełnić życzenia pana Lombardi. Zagram Bacha, Mozarta, Beethovena - albo w ogóle nie będę, grał.

- Bardzo lubię koncert Beethovena - oświadczyła Maud nieoczekiwanie. - Mogłabym go słuchać bez końca. Tyle razy prosiłam pana Heymana, to jest stary nauczyciel gry na skrzypcach, u którego

bierze lekcje jedna z moich przyjaciółek, żeby nam grał ten koncert, aż wreszcie trochę go zapamiętałam. W drugiej części jest taka cudna melodia, że aż na wskroś człowieka przenika.

- O, tak! Prawda, panno Maud? - wykrzyknął Ambros, pełen żywego zainteresowania, ale Maud popadła z powrotem w swoje nieśmiałe milczenie i nie można już było wydobyć z niej ani słowa.

- Nasza Maud jest bardzo muzykalna - zakomunikowała pani Ballard. - Od siódmego roku życia uczy się muzyki. Może byś zagrała coś panu Ambrosowi, Maud?

- Och, niech się pani nie trudzi - powiedział śpiesznie. - A Angelina? Czy i ona jest muzykalna? - zapytał, unosząc lewą brew, jakoś arogancko i drwiąco.

- Bardzo mi przykro, ale ja nie jestem tresowaną małpką. Nie znam żadnych sztuczek, ale strasznie lubię słuchać muzyki.

- No to świetnie. Podczas koncertu będę sobie powtarzał: panna Maud lubi Beethovena, a mała Angelina strasznie lubi słuchać muzyki, i będę się starał, żeby obie panie były zadowolone.

- Właściwie Ani nie zamierzaliśmy zabierać na koncert, to dziecko jest takie wrażliwe - powiedział ojciec. - Nasz doktor Bryant żąda, żeby najpóźniej o dziewiątej była w łóżku. Nasza mała jest delikatna i wątpa. Nie, doprawdy nie zamierzaliśmy jej zabrać.

Gorące łzy napłynęły do oczu, ale Anna uśmiechała się nadal, dzielna i wzruszająca. Pan Ambros musiał to zauważyć. Chwycił jej rękę.

Drodzy państwo, jeżeli bardzo ładnie poproszę, to zrobicie chyba tym razem wyjątek, prawda? Będę grał o wiele, wiele lepiej, jeśli będę wiedział, że mała Angelina znajduje się wśród publiczności - prosił.

Było to najbardziej miłosne wyznanie, na jakie mógł się odważyć naprawdę wytworny pan w obecności rodziców małej damy - może nie?

Oczywiście Ania dopięła swego i poszła na koncert; pokonała wszelkie zastrzeżenia pani Ballard, wyłudziła od Maud zeszłoroczną sukienkę z różowej tafty, rozbroiła ojca, wprowadziła go w zachwyt widokiem małej córeczki w pierwszej długiej sukni.

Od chwili, kiedy cała rodzina przekroczyła próg teatru na Tivoli, Anna nie miała wątpliwości, że wszystkie spojrzenia kierują się ku niej. Muzyki prawie nie słyszała, zbyt była zajęta okazywaniem, jak głęboko jest zasłuchana. Chwilami jednak zdawało jej się, że palce Floriana Ambrosa grają nie na skrzypcach, lecz na wibrujących strunach jej duszy.

Nie przyszło jej na myśl, ani teraz, ani w wiele lat później, że była zazdrosna o jego skrzypce. Od pierwszej chwili ten rozśpiewany instrument, stał się jej rywalem, a sposób, w jaki Florian Ambros go pieścił, układał na ramieniu, tak pochylał ku niemu ucho, jakby słuchając słodkich tajemnic, jak skupiał na nim całą uwagę, jak czule go gładził - wszystko to sprawiało, że Angelina marzyła o tym, by zająć miejsce tego głupiego kawałka drewna.

Wciąż czekała na to, że Ambros ją zauważy i prześle jej jakiś znak porozumienia - spojrzenie, uśmiech, cokolwiek, co by ją w sposób widoczny wywyższyło ponad tłum. Jednakże Florian Ambros na estradzie koncertowej był kimś zupełnie innym niż ugrzeczniony młody człowiek, który zjawił się w ich salonie z zaimprovizowaną wizytą. W jaskrawym świetle reflektorów twarz jego zamieniła się w bladą maskę o ostrych konturach, z czarnymi dołami zamiast oczu, a on sam stał się obcym, nieosiągalnie dalekim i pogrążonym w swoim płomiennym świetle lunatykiem. Dopiero kiedy spadła na niego burza



oklasków, zdawało się, że się obudził, kłaniał się i uśmiechał do publiczności. Podszedł do rampy, żeby coś zapowiedzieć.

- Za łaskawym pozwoleniem zagram teraz dla pani „Melodię na strunie G” Bacha.

Dla pani”, powiedział i nagle jego uśmiech trafił do trzeciego rzędu, w środku, jakby był sam na sam z Angeliną, jak gdyby nikt inny w przepelnionym teatrze dla mego nie istniał. Podczas gdy grał zapowiedziany utwór, ona marzyła. Już była jego żoną i jechali razem do Nowego Jorku, Londynu, Paryża i Rzymu, już paplała po francusku, jak rodowita paryska piękność, w pałacu Buckingham została przedstawiona parze królewskiej i z wdziękiem, ale też z godnością kwitowała niestosowne wyznania miłosne księcia Walu. Miała na sobie ślubną suknię z prawdziwej koronki z Alençon i dwumetrowy tren, a na szyi wzbudzający sensację sznur pereł i gdzie się tylko pokazali, rozlegały się za nimi szepty: „Patrzcie, to jest ta prześliczna młoda żona, którą Florian Ambros przywiózł sobie z Ameryki...”

Potem Ambros skończył grać na bis, publiczność zaczęła opuszczać miejsca i przepychać się do przodu, żeby wyzebrać jeszcze parę bisów.

- Chodź już, Aniu, zaprowadzę cię do powozu, a przez ten czas mama i Maud pójdą do pokoju dla artystów; Beatnce na ciebie czeka - powiedział ojciec, dotykając ramienia Angeliny i podając jej wieczorową narzutkę.

Kielich Anny był po brzegi wypełniony zachwytem, teraz jednak wszystko nabrało smaku żółci i octu. Wiedziała, że jej rodzice i - co było dla niej szczególnie nieznośne - również Maud, zostali zaproszeni na przyjęcie, które państwo Bensinger wydawali na cześć Floriana Ambrosa; nie przypuszczała jednak, że w tak nagły i brutalny sposób zostanie odesłana do domu.

Ależ ojczy... to przecież niemożliwe... Muszę przynajmniej podziękować panu Ambrosowi... Pomyśli, że go lekceważę jeśli nie pójde do pokoju dla artystów - powiedziała drżącymi ustami, całą siłą woli starając się opanować.

- Co ty za głupstwa wygadujesz! Pan Ambros nie pamięta nawet, że ty w ogóle istniejesz. Ma teraz zupełnie inne sprawy w głowie - oświadczyła pani Ballard sucho i denerwująco jak zwykle.

Anna kurczowo chwyciła powietrze, jakby ktoś puścił na nią lodowaty prysznic.

- A skąd wiesz, że pan Ambros na pewno mnie nie oczekuje? - spytała zdławionym głosem.

- Przestań pleść bzdury! Od dwóch godzin powinnaś być w łóżku. Zaprowadź ją, Karolu, do powozu, bo zaraz urządzi nam jedną ze swych scen.

Jak daleko Anna Ballard sięgała pamięcią, zawsze czuła do matki zdecydowaną antypatię. Nie znosiła jej trzeszczącego gorsetu, różowego pudru na błyszczącym, kartoflanym nosie, jej manier, jej żarłoczności i całego wulgarnego, pozbawionego taktu, nieokrzesanego sposobu bycia. Ballardowie, chociaż zamożni i ogólnie szanowani (panowało powszechne przekonanie, że Karol Ballard odłożył już swój pierwszy milion), nie należeli bynajmniej do śmietanki towarzysstwa i Anna odpowiedzialnością za to obciążała matkę, która najwidoczniej nie mogła uwolnić się od piętna sklepiku warzywnego, z jakiego wyciągnął ją pan Ballard. Miała zbyt zdrową cerę, za donośny głos, przesadnie staranne uczesanie, menu urządzanych przez nią przyjęć towarzyskich było zawsze za obfite, a jej dobroczynność zbyt grubymi nićmi szyta.

Częste ataki płaczu, które wynikały z wątłości, przewrażliwienia i skłonności Anny do anemii były postrachem całej rodziny. Nie znaczyły ich krzyki ani wybuchy złości, tylko jasne, cicho płynące strumienie łez, które zalewały jej twarzyczkę i nie dawały się powstrzymać mimo jej wysiłków. Toteż pan Ballard możliwie szybko, łagodnie i bez zwracania uwagi, wyprowadził córkę do westybulu.

- No Aniu, opanuj się, to chyba nie jest takie ważne. , Powinnaś się cieszyć, że są jeszcze rzeczy, na które jesteś za młoda.

Po czym przeszli do foyer, gdzie Beatrice, roztargana, szerokobiodra i ciemnoskóra, nędznie wyglądająca w swojej czarnej wełnianej chustce, czekała, by zabrać Anię do domu, tak jak czekała na nią przez całe życie, przed szkołą, po lekcjach tańca, w czasie wizyt u babci Ballard w Belvedere, po wesołych i hałaśliwych dziecięcych przyjęciach urodzinowych.

Powóz Ballardów z poczciwym starym O'Shaughnessym na koźle ruszył, a Beatrice rozłożyła ramiona okryte czarną chustką niby skrzydła nietoperza i popchnęła Annę w mroczne wnętrze powozu. Serce Anny o mało nie pękło. Przytuliła się do Beatrice, wdychając znajomy zapach wełnianej chustki. Była to wciąż ta sama chustka, w którą otulona Beatrice przysłała piętnaście lat temu do domu Ballardów.

- Co powiedział pan Ambros, kiedy cię zobaczył w tej ślicznej długiej sukni? Założę się, że powiedział: „Angelina jest najpiękniejszą młodą damą w San Francisco” - szeptała niańka.

- Och, zamilknij! Jeżeli powiesz jeszcze słowo, zacznę krzyczeć.

- Czy pan Ambros już cię nie obchodzi?

- Niecierpię go! - powiedziała Anna drżąc jak koń smagany biczem.

Beatrice wciągnęła ją głębiej w ciepło swojej czarnej wełnianej chustki.

I takie było zakończenie wielkiego wieczoru, kiedy to Anna Ballard włożyła swoją pierwszą długą suknię i kiedy po raz pierwszy słyszała Floriana Ambrosa grającego na koncercie.

Na ogólne żądanie zorganizowano drugi koncert i przez najbliższe dni Florian Ambros był tematem wszystkich rozmów w mieście, ośrodkiem plotek na herbatkach eleganckich pań, przedmiotem szczerego szacunku panów zbierających się w barach i piwiarniach. Przez cały ten czas rodzina Ballardów pozwalała się beztrąsko unosić prądowi popularności swego nowego przyjaciela. Wydawano mnóstwo przyjęć, w jadalni Ballardów odbył się wspaniały obiad, który roił się od

bażantów - malowanych na martwych naturach i pieczonych na srebrnych półmiskach. Na obiedzie tym spotkali się wszyscy; a właściwie wszyscy z wyjątkiem rodziny Bensingerów, która wymówiła się zawiadamiając, że pan Bensinger cierpi na atak astmy. Pokazano Florianowi Ambrosowi wszystkie osobliwości San Francisco: Golden Gate Park, Cliff House, Presidio, skałę z psami morskimi. Czasem pani Ballard towarzyszyła muzykowi. Parę razy zaś pozwoliła córkom wybrać się z nim na przejażdżkę powozem. Po pracy pan Ballard brał zwykle gościa pod swoją opiekę, oprowadzał go po lokalach uczęszczanych przez mężczyzn, po klubach, barach, restauracjach, pokazywał mu niebezpieczeństwa czyhające w chińskiej dzielnicy, boczne uliczki, spelunki.

- Dziwne - zauważył pan Ambros. - To jest naprawdę przedziwne miejsce, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę, że całe to miasto jest młodsze od mojej matki! Drapacze chmur! Kolejka linowa! Elektryczne lampy łukowe! Gdyby porównać z tym mój Wiedeń, który istnieje, odkąd Rzymianie go zbudowali, a więc mniej więcej tysiąc osiemset lat, czy znajdzie się tam choć jeden drapacz chmur? Ależ skąd! Z drugiej strony, proszę mi wybaczyć, że się tym trochę chwale, wieża naszego kościoła św. Stefana jest równie wysoka jak wasz Cali Building, a może nawet trochę wyższa. Zbudowali ją budowniczowie z trzynastego i czternastego wieku, kładli własnymi rękami kamień po kamieniu.

Nigdy nie było wiadomo, czy Florian Ambros nie kpi, a Angelina często podejrzewała, że on nic nie traktuje poważnie poza grą na skrzypcach.

- Ćwiczyć, ćwiczyć, ćwiczyć! - zwykł powtarzać. - Czy pani wie, panno Maud, co znaczy dla muzyka dyscyplina? W gruncie rzeczy wszyscy jesteśmy cyrkowcami, wykonującymi sztuki na trapezie, w ciągłym niebezpieczeństwie, wysoko, pod samą kopułą. Jak niebezpiecznym zawodem jest gra na skrzypcach! „Jak cienka i wiotka jest lina, na której tańczymy! Co prawda nic skrećimy karku, jeśli popełnimy omyłkę, ale wolałbym

skręcić kark, niż sknocić koncert Beethovena. Pani to rozumie, prawda, panno Maud?

Kiedy Florian Ambros uskarżał się na hałas i niewygody w Pałace Hotel, pan Ballard zaproponował mu, żeby ćwiczył w ich salonie muzycznym; przyjął ten pluszowy azyl ze skwapliwą wdzięcznością.

Chociaż pan Ballard głośno przyznawał się do tego, że jest niemuzyczny jak rura kanalizacyjna, tkwiła w nim tajona miłość do muzyki. Zdjęto więc z fortepianu hiszpański szal, marmurowego Amora i resztę rupieci, wezwano stroiciela, by doprowadził instrument do porządku, i co dzień rano, punktualnie o dziewiątej Florian Ambros zjawiał się ze swym futerałem i przemykał, jak mógł najciszej, do salonu muzycznego. Za nim wślizgiwała się jego akompaniorka, mała, podstarzała, niepozorne stworzenie o dużych, czujnych, inteligentnych oczach sowy.

- To jest Myszka... po prostu Myszka - oświadczył mimochodem - Okropna z niej osoba, jeśli gram nie według jej gustu, bije mnie po łapach.

Po czym Myszka uścisnęła ręce wszystkich czworga Ballardów, zaskakując ich męską nieomal siłą swych grubych, krótkich palców. Myszka nosiła zawsze czarne suknie, które wyglądały jak podarowane - zapewne tak też było - i z nikim z rodziny Ballardów nie zamieniła słowa. Angelina wysnuła z tego wniosek, że Myszka jest albo głuchoniema, albo też tak tępa, że nie mogła nauczyć się po angielsku.

Wysoce niesprawiedliwe było to, że Maud przez cały ten podniecający tydzień mogła siedzieć w domu i mieć cały teren do swojej dyspozycji, podczas gdy Anna musiała chodzić do szkoły. Rozpaczliwie szukała wykrętów, by też zostać w domu. Niestety - to się nie udawało. Droga powrotna ze szkoły ciągnęła się więc okropnie, kolejka linowa wlokła się o wiele za wolno w górę stromej California Street i Anna była nieuprzejma dla Johnny'ego O'Shaughnessy, który jak w zamierzchłej przeszłości, „przed Ambrosem”, czekał na nią na rogu, by ponieść jej teczkę do domu.

Johnny, syn starego O'Shaughnessy, kończył właśnie ostatni rok szkoły średniej, a w wolnych chwilach spełniał wszelkie możliwe posługi w domu Ballardów. Strzygł trawniki i żywopłoty, mył okna w wykuszach na pierwszym piętrze, naprawiał liczne lampy naftowe, uszczelniał ciekące krany i oliwił rowery panienek. Kiedy odbywały się przyjęcia, Johnny otwierał przed gośćmi drzwi, ubrany dostojnie w stary surdut pana Ballarda, w białych nicianych rękawiczkach na dużych rękach, a przy specjalnych okazjach, kiedy panie Ballard pragnęły zadać wielkiego szyku, występował jako lokaj w liberii. Siedemnastoletni Johnny był wysoki i silny, poważnie zajęty zapuszczaniem dumnego rudego wąsika, jak przystało na prawdziwego mężczyznę i Irlandczyka. Był on zdeklarowanym, uległym i pełnym uwielbienia niewolnikiem Anny.

Kiedy Anna wchodziła do domu, powtarzające się coraz szybsze skrzypcowe pasaże oznajmiały jej, że pan Ambros jeszcze jest. Wbiegając po schodach na górę, wołała Beatrice, by jej pomogła. Prędko, prędko! Zrzucała obrzydliwy szkolny mundurek, zmieniała suknię i bieliznę, wciągała halkę z haftowanymi batystowymi falbankami, którą miała nosić tylko w niedzielę, rozpuszczała i szczotkowała włosy. Nacieraa policzki, żeby się zaczerwieniły. Beatrice musiała polewać jej ręce wodą różaną i gliceryną, ona zaś podnosiła je w górę, by stały się jeszcze delikatniejsze i bielsze. Tak upiększona i pełna oczekiwania, wsuwała się do salonu muzycznego.

- Kto tam? O Boże, po coś tu znowu przyszła? - krzyczał Florian ochryple w niezrozumiałym niemieckim języku, jak lunatyk, wyrwany ze snu.

- Nikt... to znaczy tylko ja. Czy mogę tu cicho posiedzieć i posłuchać? Bardzo proszę! Pan sobie nawet nie wyobraża, co to dla mnie znaczy!

- No dobrze, ale usiądź z tamtej strony, żebym cię nie widział, bo inaczej nie będę mógł się skupić.

Annie słowa te zdawały się mocne, bardzo dla niej pochlebne, niemal namiętne. Starła się być jak najmniejsza, żeby

swoją podniecającą obecnością nie rozpraszać jego uwagi, Ambros zaś wracał do ćwiczeń. Monotonnie, z niewyczerpaną cierpliwością, powtarzał wciąż od nowa ten sam oporny pasaż; Annie to nie przeszkadzało, nie słuchała przecież, tylko patrzyła. Musiała dokładnie poznać człowieka, którego postanowiła poślubić.

Kiedy tak grał na skrzypcach, czarne włosy miał wzburzone, twarz pobladłą i lśniąca od potu. Była to, myślała Anna, zupełnie naga twarz. Wprawdzie pani Ballard zabroniła córkom używać tego nieprzyzwoitego słowa, Annie jednak dawało ono przekorne i dziwne poczucie intymności. Florian nie nosił brody, jak wszyscy inni mężczyźni, ani wąsów, które mogłyby zakryć jego usta i dumny, ironiczny, a jednak melancholijny uśmiech.

- W jego twarzy zawsze się coś dzieje - oświadczyła Anna ciekawej Beatrice. - On wygląda jak aktor.

- Albo jak kelner - dodała Maud, chociaż jej nikt nie pytał o zdanie: zawsze miała panu Ambrosowi coś do zarzucenia, więc Anna postanowiła ją po prostu ignorować.

- Co znowu zaszło między wami, dziewczynki? - spytał ojciec przy kolacji. - Nie rozmawiacie ze sobą?

- Ta smarkata zadręcza pana Ambrosa, czepia się go, jak rzep; nie daje mu spokoju nawet wtedy, kiedy ćwiczy. Ona mu strasznie działa na nerwy, ojczu.

- Czy on się na nią skarżył?

- On jest za dobrze wychowany, żeby się skarżyć, ale dawał to do zrozumienia.

- To kłamstwo... ona kłamie, tatusiu - powiedziała Anna z rozpaczą, łzy jak zawsze na zawołanie napłynęły jej do oczu.

Ojciec spojrział na obie córki.

- No, dziewczynki, co się właściwie stało? Maud? Aniu? Co tu się dzieje?

- Ta gęś zadurzyła się po prostu w panu Ambrosie - odparła Maud. Anna zastanawiała się tymczasem, czy nie dałoby się

uprosić chińskiego kucharza Lee Onga, żeby zdobył w chińskiej aptece jakąś powoli działającą truciznę. Oczywiście dla Maud.

- Czy nie przyszło ci do głowy, że może sprawa wygląda odwrotnie. Może to pan Ambros się we mnie zadurzył - powiedziała z godnością.

- Nie ośmieszaj się!

Maud była jednak nieobliczalna. Jeszcze tego samego wieczoru ofiarowała Annie upragniony sznur koralu.

- Masz, weź je; na tobie będą wyglądały o wiele ładniej, niż na mnie - rzekła pojednawczo. - Bardzo mi przykro, siostrzyczko, nie chciałam cię dotknąć.

Teraz próbuje mnie przekupić, pomyślała Anna. Wskoczyła z łóżka, zsunęła nocną koszulę z ramion i przymierzyła korale. Lusterko, lusterko, powiedz przecie, kto najpiękniejszy jest na świecie? Lustro zapewniło ją, że oczywiście jest jej w koralach znacznie bardziej do twarzy, niż siostrze.

Zdaniem Anny, Maud wcale nie była pociągająca; wysoka i ciężka, włosy miała sztywne jak końska grzywa i w dodatku te szerokie ręce o szorstkim naskórku, który Maud zawdzięczała swojej pracy społecznej w przytułku dla biednych dzieci.

Anna miała na sobie korale w czasie drugiego koncertu Ambrosa, który tym razem ujrzał ją w całej glorii długiej sukni, bo przyjęcie po koncercie odbyło się w domu Ballardów i Anna wywalczyła pozwolenie pozostania do północy i wypicie toastu na cześć Floriana. Była trochę jakby zawiana i miała niewielką gorączkę, tylko parę kresek. Usłyszała za sobą pochrząkiwanie stroskanej Beatrice.

- Idź sobie stąd, zostaw mnie w spokoju. - Anna przepędziła ją z małego zielonego ogrodu zimowego, gdzie ukryła się, żeby pozwolić Ambrosowi się odnaleźć. Było tu chłodno i cicho, woda małej fontanny spadała z przyjemnym pluskiem do marmurowego basenu.

No, mam cię nareszcie! - usłyszała głos Floriana. - Wszędzie cię szukam; mam nadzieję, że nie zamierzałaś zniknąć



z wybiciem dwunastej, jak Kopciuszek, nie powiedziawszy mi dobranoc?

Anna spuściła głowę i obserwowała opasłą złotą rybkę w basenie; była to niema zachęta dla Ambrosa, żeby wziął ją pod brodę i zwrócił twarz ku sobie.

- Czemuś taka zamyślona, Angelino? - zapytał z uśmiechem.

- Ja? Zamyślona? Boja wiem... Może dlatego, że pan jutro wyjeżdża. Oczywiście, dla pana to nic nie znaczy, pan przywykł odchodzić i pozostawiać za sobą ludzi. Mam na myśli ludzi, którym na panu zależy. Ale... wobec tego dobranoc i... żegnam pana.

- Żegnam? Ależ skąd! Wcale nie jestem takim wędrownym Cyganem, jak to sobie wyobrażasz, a poza tym postanowiłem zostać jeszcze parę dni w San Francisco. Nie mogę się po prostu oderwać od tego miasta. Podejrzewam, że ktoś mnie musiał zaczarować... Co ty o tym myślisz?

- Ja? Mój Boże, czy nie musi pan jechać na następny koncert do St. Louis?

- Już to ułożyłem. Myszka pojedzie pierwsza, żeby załatwić wszystkie nudne przygotowania, dzięki temu zyskam cały wolny tydzień. Od wieków nie miałem dla siebie wolnego tygodnia i naprawdę bardzo mi się przyda.

- Przecież to cudowne, cały tydzień - to niemal wieczność, prawda? Ile się może wydarzyć przez tydzień! - jękała Anna bez tchu.

- Powiedz mi, Angelino, czy jeśli ci powierzę tajemnicę, to nie zdradzisz jej nikomu?

- Ależ oczywiście. Pan dobrze wie, że zachowam w tajemnicy wszystko, co mi pan powie. Przysięgam.

Cofnął rękę od jej twarzy, potrząsając głową rozbawiony. O nie, nie zachowałabyś tajemnicy. Zresztą jeszcze... za wcześnie, by o tym mówić.

Myśli pan, że jestem za młoda? Ależ ja nie jestem już dzieckiem, naprawdę, i...

- I nosk ci już zbielał ze zmęczenia, powinnaś iść do łóżka; twoja matka nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym cię tu dłużej zatrzymywał.

Następne dni upływały Annie na błogim oczekiwaniu; coś musiało się wkrótce stać. Nie bardzo wiedziała co, ale gotowa była spełnić wszystko, czegokolwiek by od niej Ambros zażądał: oficjalne zaręczyny, potajemna ucieczka i ślub, walka z matką, bo z ojcem jakoś by sobie poradziła. Był to przedziwny tydzień. W wysokich pokojach rozlegało się echo rozmaitych głosów, szepty za ciężkimi portierami i nagle zatrzasowanymi drzwiami, w dodatku Maud zachowywała się jeszcze bardziej nieobliczalnie niż zwykle, jednego dnia była miła i wesoła, nazajutrz w ogóle się nie odzywała.

Od personelu kuchennego i pokojówki Beatrice zebrała strzępy sensacyjnej rozmowy, które wiernie przekazała swojej Annie. „Nic z tego, mówiła pani Ballard, skąd wiesz, czy on nie jest tylko łowcą posagu? Gwiżdżę na jego sławę. Wielkie mi rzeczy - skrzypek, i to w dodatku cudzoziemiec”. „Gwiżdżę na twoje zdanie, odpowiedział pan Ballard, właśnie kiedy Maggie wniosła śniadanie. - Dość pieniędzy zarobiłem, żeby móc dać naszym dziewczynkom to, czego ich serca pragną. Jeśli on ją naprawdę kocha i jej też bardzo na nim zależy, to nie widzę żadnego powodu...” Tu pan Ballard wziął z półmiska dwa plasterki szynki i Maggie nie mogła się dłużej przysłuchiwać rozmowie, nie zwracając na siebie uwagi.

- Wiedziałaś, wiedziałaś! - zawołała Anna, podniecona. - Wiedziałaś, że on rozmawiał z ojcem. Beatrice, co się teraz stanie? Czy zaręczymy się przed jego odjazdem? Nieoficjalnie, oczywiście, z tym trzeba będzie poczekać, aż skończą przynajmniej szesnaście lat.

Najbliższym wydarzeniem była wycieczka, jaką rodzina Ballardów postanowiła urządzić dla Ambrosa. Pikniki cieszyły się w San Francisco wielkim powodzeniem, bo przy tego, rodzaju okazjach panowała zawsze swoboda i wesołość, a ten radosny, romantyczny nastrój skłonił już niejedną młodą parę

do wypowiedzenia decydujących słów i przypieczętowania wymarzonego związku pierwszym pocałunkiem. Anna dojrzała w tych przygotowaniach życzliwą i zręczną rękę ojca i była mu za to nieskończenie wdzięczna; pan Ballard zaś rzucił się z ogromnym zapalem w wir przygotowań. Na dwa dni przed tym wydarzeniem nastąpił wielki krach.

- Posłuchaj, Aniu - powiedział pan Ballard i przyciągnął ją do siebie.  
- Posłuchaj mnie, kotku. Wolę z tobą porozmawiać wcześniej. Otóż nie możesz z nami jechać, musisz zostać w domu i iść do szkoły. Bardzo proszę, żadnych protestów. Wiem, że sprawiam ci zawód, ale tym razem nic nie poradzę.

Anna była tak zrozpaczona, że ledwo miała siłę protestować.

- Ależ ojczy, to niemożliwe, czy ty tego nie rozumiesz? Pan Ambros następnego dnia po wycieczce wyjeżdża!

- No właśnie. Już i tak o wiele za bardzo go absorbowowałaś, najwyższy czas, żeby inni mogli się do niego dopchać. Dorośli ludzie. Ty zaczynasz być zbyt zuchwała. Nie mogę dopuścić do tego, żebyś sobie za wiele pozwalała i ani ja, ani twoja matka nie chcemy zabrać cię na tę wycieczkę. Nie płacz i nie rób takiej miny. Nie wyobrażaj sobie, że coś tym wskórasz. Będzie tak, jak powiedziałem.

Anna zbyt dobrze знаła ojca, aby zrobić mu scenę. Kiedy ojciec mówił: „Będzie tak, jak powiedziałem”, to wszystko przepadło. „Ale ja i tak wiem, kto w tym maczał palce, powiedziała w duchu z gniewem. Oczywiście Maud! Czeka, już ja ci pokażę! Nie pozwolę się tak traktować, wszystkim wam tego dowiodę”.

Poszła na górę, oczy miała suche i rozpalone, położyła się na łóżku, cisnęła buty na środek pokoju, założyła ręce pod głowę i knuła zemstę. Gong wezwał na kolację, ale ona się nie ruszyła. Beatrice zatroskana stanęła na progu.

- Co się stało, piccolina mia? Źle się czujesz? Może ci przyrządzić gorącą czekoladę?

Trochę później Anna rzeczywiście poczuła się bardzo źle,

choć nie tak źle, jakby tego wymagała sytuacja. Powłokła się do łazienki, zaczęła się dławić, ale bez rezultatu, po czym wyjęła z apteczki termometr. W łazience było okno z kolorowych szkiełek, czerwone, niebieskie i żółte krążki rzucały barwne odbicie na kafłową posadzkę. Wpatrywała się w nie tak długo, aż zrobiło jej się trochę słabo. Cicho jęcząc, wróciła do łóżka, włożyła termometr pod język i czekała z nadzieją w sercu: 36,8 - normalna temperatura. Może termometr jest zepsuty? Jeszcze chwila i dostała dreszczy, zęby zaczęły jej szczekać. „No, teraz jestem naprawdę chora, pomyślała. Dobrze im tak. Zobaczymy, czy pojedą na tę swoją wycieczkę, kiedy ja będę umierała”.

Pani Ballard wezwana przez wystraszoną Beatrice, zjawiała się przy łóżku córki.

- No, co tam, Aniu, znowu ból gardła?

- Nic mi nie jest, mam, naprawdę - powiedziała Anna słabym głosem, bardzo godna współczucia, bardzo dzielna.

- Tylko troszkę zwymiotowałam, głowa mnie boli i strasznie mi zimno. Ale do jutra będę zdrowa.

- Na pewno zjadłaś za dużo tortu czekoladowego. Od razu ci to mówiłam, ale ty mnie nigdy nie słuchasz. - Pani Ballard dotknęła wierzchem dłoni czoła Anny. - Nie masz gorączki. Jeżeli nie będzie lepiej, dam ci oleju rycynowego.

Czy wszystkie matki są takimi potworami - myślała Anna

- czy też jej matka należy do wyjątków. Poczowała się strasznie samotna, opuszczona i oszukana. Nikt jej nie rozumiał, nawet ojciec, nikt jej nie kochał, nawet Florian.

Potem przysłała do niej Maud ze słodką jak miód miną i udawała współczującą siostrę.

- Z ciebie jeszcze zupełne dziecko, taka rozpacz właściwie o nic. Za rok będziesz się z tego śmiała, zapewniam cię. Wiesz, wszystkie dziewczęta przeżywają w twoim wieku takie głupie historie, ale to mija.

- Nie rozumiem, o czym mówisz. Jestem chora i mam gorączkę - oświadczyła Anna z tragiczną miną.

- Gorączkę? Dużą? - spytała Maud sięgając po termometr.

- Nie bardzo; trochę ponad trzydzieści osiem - odparła Anna. Używszy najprzeróżniejszych sztuczek, skłoniła słupek rtęci do podniesienia się o kilkanaście kreszek.

- To nic nie znaczy; ja mam co dzień po południu ponad trzydzieści osiem - stwierdziła Maud.

Anna wpadła w pasję.

- Znowu kłamiesz, zawsze oszukujesz - powiedziała oburzona.

Zamiast odpowiedzi Maud strząsnęła termometr i włożyła go do ust. Zrobiła w pokoju trochę porządku, powiesiła suknię Anny w szafie w ścianie i włożyła buty na prawidła. Po minucie wyjęła termometr i podsunęła go Annie: wskazywał trzydzieści osiem i dwie kreski.

- Widzisz - powiedziała Maud - że to nic nie znaczy. Nie powinnaś udawać chorej. Czy nie zdajesz sobie sprawy, ile przyjemności omija cię przez to głupie udawanie?

„Ależ oczywiście, wyobraź sobie tylko, jaka to będzie przyjemność siedzieć w domu, kiedy ty pojedziesz na wycieczkę” - miała ochotę powiedzieć Anna, ale głos się jej załamał i dała za wygraną. Maud wzruszyła ramionami, pogłaskała Annę po głowie i opuściła pokój. Wtedy dopiero Anna rozchorowała się na dobre.

Była tak chora, że po kolacji posłano po doktora Bryanta. Doktor zapisał te same leki co zwykle: sodę, gorącą herbatę z cytryną, jeśli będzie trzeba, porcję oleju rycynowego. Płukanie gardła nadmanganianem potasu też nie zaszkodzi. Gdyby jednak w ciągu nocy gorączka się podniosła albo gdyby wystąpiły nowe objawy, na przykład czerwone plamy, wysypka, to należy go natychmiast wezwać. W mieście zdarzyło się bowiem, zauważył, kilka przypadków szkarlatyny.

Gdy się rano obudziła i stwierdziła, że przez noc nie pojawiły się żadne nowe symptomy, do głowy jej wpadł nowy pomysł. Ubrała się, oświadczyła ze zrezygnowanym, słabym uśmiechem, że nie jest już chora, tylko trochę zmęczona i dziwnie

zziębnięta od wewnątrz; po czym poszła do szkoły. To znaczy, właściwie nie do szkoły, tylko po raz pierwszy w życiu na wagary. Ileż to rzeczy przeżywała po raz pierwszy, odkąd Florian Ambros przybył do miasta! Zaczaiła się, czekając na Johnny'ego O'Shaugnessy.

- Johnny, wiesz przecież, jak cię lubię, prawda? I ty mnie też lubisz? Wiesz, Johnny, nie ma takiej rzeczy na świecie, której bym dla ciebie nie zrobiła, bo przecież jesteśmy przyjaciółmi, Johnny, naprawdę dobrymi kolegami, prawda?

- Oczywiście, Anno, masz rację - odparł Johnny z głębi serca.

- A gdybym cię poprosiła o pewną przysługę, czy nie odmówiłbyś mi?

- Jasne! Zrobię dla ciebie wszystko, co tylko zechcesz.

- Potrzebuję homara - powiedziała Anna.

- Matko Boska! A po cóż ci homar?

- Ach, tak tylko, dla żartu, rozumiesz? Chcę go włożyć Maud pod prześcieradło. To dopiero będzie krzyk, wyobrażasz sobie? Mam z nią pewne porachunki, ciebie chyba nie obchodzi, jakie. Posłuchaj, Johnny, zejdź na dół, do dzielnicy portowej i kup dla mnie homara.

- Powiedz, Aniu, dlaczego nie poprosisz waszego Lee Onga albo Beatrice, żeby ci kupili? Jest późno i powinienem już być w szkole.

- Ach Johnny, ten jeden jedyny raz możesz gwizdnąć na swoją głupią szkołę. Po raz pierwszy proszę cię o jakąś przysługę i jeżeli odmówisz mi tej drobnostki, to nie chcę cię więcej widzieć, nigdy. Nie mogę nikogo innego o to poprosić, bo ty jesteś jedynym człowiekiem na świecie, któremu ufam. Musisz mi pomóc, Johnny, a poza tym musisz mi dać najświętsze słowo honoru, że nigdy nikomu słowa o tym nie piśniesz. Nikomu poza tobą nie mogłabym powierzyć tajemnicy.

Młody O'Shaugnessy zastanowił się.

- Chcesz żywego homara? - spytał wreszcie.

- Nie, gotowanego.  
- Żywy narobiłby więcej zamieszania.  
- Nie, zaczęłyby łązić, wypadłby jeszcze z łóżka i kawał nie udałby się. Poza tym ja sama śmiertelnie boję się żywych homarów. Śliczny, zimny, gotowany homar - oto, czego potrzebuję.  
- No dobrze - powiedział Johnny. - Przypuśćmy, że dla ciebie zaryzykuję. Proszę o pocałunek.

- Wstydź się, Johnny - odpowiedziała Anna. Tymczasem wspinali się już na Telegraph Hill, gdzie młody

O'Shaugnessy, pod osłoną niewielkiego gaju eukaliptusowego, wycałował Annę, nie napotykając oporu. Potem powędrowali krętymi uliczkami włoskiej dzielnicy w dół ku hałaśliwemu kłębowskiemu łodzi, masztów i ludzi, i Anna zdobyła swego homara. W sumie była to całkiem miła przygoda. Kiedy Johnny jak zwykle pożegnał ją na rogu, zabrała się do najtrudniejszej części zadania. Zaszyła się w ciemny kąt za jakimś domem, zgmiotła homara, wydobyła go ze skorupy i powoli wdusiła w siebie całe to paskudztwo.

Kiedy wróciła do domu, była bardzo blada, czuła się okropnie i od razu położyła się do łóżka. Najchętniej zwymiotowałyby, ale całą siłą woli udało jej się powstrzymać. Pełna nadziei czekała na skutki. W całym nieszczęściu jedna myśl podtrzymywała ją na duchu: „Ja wam pokażę! Beze mnie piknik się nie odbędzie!”

Zmierzyła temperaturę, która niestety nie chciała się podnieść, tak że trzeba było znowu wpłynąć na oporny termometr i doprowadzić do temperatury trzydzieści dziewięć i sześć. W godzinę później pokryła się cała czerwonymi plamami i bąblami, które rysowały się na jej delikatnej skórze niby wyspy i lądy na mapie. Odwróciła się do ściany i chętnie by umarła. Pograżona w mętne, półsenne oszołomienie, słyszała szepty rodziców i Beatrice. Zjawił się także doktor Bryant. Potrząsał nią, potrząsał głową, potrząsał termometrem, po czym trzy razy pytał, czy pani Ballard jest całkiem pewna, że

Anna nie jadła homara w majonezie: Pamięta pani, ile strachu nam napędziła, kiedy miała cztery lata, zanim się okazało, że dostaje wysypki od homara?"

Pani Ballard i Beatrice oświadczyły zgodnym chórem, że Ania z całą pewnością nie jadła nic zakazanego, że od wczoraj w ogóle prawie nie jadła i że poza tym nie tknęłyby homara nawet za tysiąc dolarów. Tak więc doktorowi Bryantowi nie pozostało nic innego jak stwierdzić, ujmując to w oględne słowa, że niestety, nasza mała Ania zachorowała widocznie na szkarlatynę, że przebieg jest lekki, ale jednak...

„Ja wam pokażę. Ja wam pokażę” - myślała Ania.

Po trzech dniach plamy zniknęły i Anna oświadczyła niepewnie, że czuje się już dobrze. Doktor Bryant zauważył, że w pierwszym okresie dziecięcej choroby nigdy nie można postawić pewnej diagnozy, ale - dodał z brutalnym nieco humorem - lepiej o trzy dni za długo leżeć w łóżku, niż o pięćdziesiąt lat za wcześnie w trumnie. Maud chodziła z zapłakanymi oczami, ale poza tym sprawiała wrażenie zadowolonej. Florian Ambros wyjechał do St. Louis, nie pożegnawszy się nawet z Angeliną, a po jego wizycie zostały tylko góry zimnej szynki i zeschniętego ciasta.

- Czy pan Ambros pożegnał się z tobą przed odjazdem? - spytała Anna siostrę.

- Oczywiście - odparła Maud - ale ty mi wszystko zepsułaś, wszystko.

- A co w ogóle było do popsucia? - zapytała Anna.

- Za wiele chciałaś wiedzieć! - odrzekła Maud.

Londyn, 18 maja 1898.

Szanowny Panie,

czy pamięta Pan jeszcze dziewczynę, której zdjęcie załączam? Tak, to ja, Pańska mała Angelina, i, jak Pan widzi, jestem już dorosła, chociaż straciłam nadzieję, że kiedykolwiek będę tak okazała jak moja siostra. Wszyscy Pana wielbiciele" byli bardzo zawiedzeni, że w ostatnim sezonie nie dał Pan



w San Francisco ani jednego koncertu. Ale ja wyszukuję we wszystkich gazetach i czasopismach relacje o Pana triumfach i za każdym razem, gdy trafiam na Pana nazwisko, czuję się dumna, że Pana znam. Czy wspomina Pan czasem chwile, kiedy ćwiczył Pan w naszym salonie muzycznym, a mnie wolno było przysłuchiwać się z zachwytem? Pamiętam każdą najmniejszą nutkę Chaconny Jana Sebastiana Bacha.

Moja siostra i ja wybrałyśmy się tej wiosny w wielką podróż i namówiłyśmy rodziców, żeby pojechać również do Wiednia. Nie potrzebuję chyba mówić, jak okropny byłby to dla mnie zawód, gdybyśmy pana w Wiedniu nie zastali. Czy może Pan zapomnieć nieznośnego podlotka, jakim musiałam być dwa lata temu, i przenieść swoją przyjaźń na rozsądną młodą dziewczynę, jaką się chyba przez ten czas stałam? Chociaż jednak staram się być rozsądna, moje serce bije na alarm, kiedy pomyślę o zobaczeniu się z Panem. Jakie głupie jest to niecierpliwe serce!

Pozostaję  
na zawsze szczerze oddana  
Anna Ballard  
P.S. Dla Pana: Angelina.

Kiedy Anna ułożyła ten list, wydał jej się on po prostu wzorem, był pełen rezerwy, zarazem jednak wymowny i obiecujący. Ale odkrywszy go w trzydzieści lat później wśród papierów po zmarłym mężu, śmiała się głośno z jego żalosnej przejrzystości, z naiwnego stylu i prymitywnego silenia się na kokieterię.

A jednak Florian przechowywał list przez wszystkie lata; nie zgubił go nawet wtedy, kiedy ich dom na Vallejo Street spłonął. Tak więc dziecinny list musiał widocznie spełnić swoją rolę i miał dla Floriana jakieś znaczenie. Mimo wszystko.

Pani Ambros nie wiedziała, czy jej przedzieranie się przez gęstą ciemność nocy trwa minutę, czy godzinę. „Już nie mogę, myślała, po prostu nie mogę iść dłużej”. Stała przy jakimś

krzywym pniu wierzby i, przyciskając plecy do chropowatej kory, zdecydowała chwilę odpocząć. Czuła, że ogarnia ją nieodparta fala wspomnień. Całe życie ujrzała nagle, jak na dłoni. „Muszę teraz wszystko rozważyć, muszę sobie różne rzeczy jasno uświadomić. Muszę sobie przypomnieć, jakim człowiekiem był Florian i dlaczego tak się w nim zakochałam. To był jedyny błąd - jeśli w ogóle można to nazwać błędem - że chciałam go mieć tylko dla siebie. Tamtego lata w Wiedniu każda młoda dziewczyna straciłaby dla niego głowę, jaki on wtedy był promienny, triumfujący, sławny, taki inny niż wszyscy ludzie, których znałam”.

„Te jego zielone oczy” - wzdycha pani Ambros i zaczyna się uśmiechać; obraz Floriana unosi się przed nią, taki wyraźny, taki uchwytny, że mogłaby go niemal dotknąć. Co jeszcze mogłabym sobie przypomnieć? Miał niespokojne ręce, krótko obcięte paznokcie, szczupłe palce o rozszerzonych końcach. Jak żaba - droczyła się z nim w późniejszych latach.

Przed każdym koncertem siedział w pokoju dla artystów sztywny, zapatrzony w przestrzeń, niby posąg; jego ręce w grubych wełnianych rękawiczkach, zrobionych przez matkę na drutach, leżały na kolanach zimne i zaleknione. Kiedy Angelina zobaczyła go po raz pierwszy w tym stanie, była niemile zaskoczona jego strachem i słabością i w gruncie rzeczy nigdy mu tego nie przebaczyła. Maud była w takich sytuacjach pełna współczucia. Myszka zaś odgrzewała za kulisami na prymusie jakiś obrzydliwy płyn, coś na uspokojenie nerwów, zupełnie jakby Florian był rozhisteryzowaną kobietą. Dreszcze przed każdym koncertem i strumienie potu po nim. Boże wielki! Komu przyszłoby do głowy łączyć te objawy z blaskiem i chwałą wirtuoza!

Florian Ambros miał dwa oblicza, jedno dla swej publiczności, drugie w życiu prywatnym. Florian Ambros z lat wielkich sukcesów i sławy był zupełnie inny, niż późniejszy tragiczny Florian Ambros w czasach upadku. Był równocześnie: łaskawy jak król i brutalny; nieznośnie uparty w jednych sprawach

i niemal zbyt uległy w innych, był zimny i namiętny, szorstki i czuły.

- Na miłość boską, Florianie, czy ty zupełnie nie masz charakteru? - oskarżała go.

- Bardzo mi przykro, kochanie, ale obawiam się, że cały zasób siły charakteru pochłania mi muzyka; tak już nas muzyków Pan Bóg stworzył: niewydarzonych dziwaków.

Sprzeczności w jego naturze nie dawały jej spokoju. Błyskotliwy cudzoziemiec, którego spotkała po raz pierwszy w niegustownym, pełnym ozdób i bibelotów, przeładowanym domu swoich rodziców, nie miał prawie nic wspólnego z jej kochankiem, z jej mężem, z jej wrogiem z lat późniejszych, z tym siwowłosym, zniszczonym, chorym człowiekiem, który wegetował w bocznym pokoju ich nędznego mieszkania, milczący i nieprzystępny. Najgorsza jednak była jaskrawa, rozdierająca różnica między mężem Maud a jej własnym. Pierwszy

- przywiązany, serdeczny, czuły, drugi zaś - ironiczny, drażliwy, trudny. A przecież był to ten sam mężczyzna: Florian.

- Co się właściwie z nami dzieje, Flori? Dlaczego nie jesteśmy ze sobą szczęśliwi, kiedyśmy się wreszcie pobrali?

- skarżyła się, usiłując się do niego zbliżyć w ogromnej pustce, która ich dzieliła. - Czy ty mnie wcale nie kochasz?

- Wciąż pytasz o to samo: czy cię kocham. Ależ tak, skarbie, obrzydło mi już powtarzać to w kółko. Mam trochę innych spraw na głowie poza okazywaniem ci uwielbienia, ale ty interesujesz się tylko sobą i to właśnie stoi na przeszkodzie naszemu szczęściu.

Było to w roku 1912, Maud nie żyła już od przeszło trzech lat, pierwszy koncert Floriana w Paryżu okazał się fiaskiem. Drugi on sam odwołał, a cztery tysiące trzysta dwadzieścia cztery dolary, które pochłonęły przygotowania i gigantyczna reklama, po prostu wyrzucił za okno.

Nie mogę cię rozgryźć, Flori, nie wiem właściwie, jak to wszystko między nami wygląda. Czasem wydaje mi się, że każde z nas mówi innym językiem.

- W gruncie rzeczy tak właśnie jest. Powinnaś to była zauważyć już w chwili, kiedy przyjechałaś do Wiednia, pamiętasz? Zawiodłaś się na Wiedniu, podobnie jak teraz zawiodłaś się na mnie. Ty i ja, kochanie, jesteśmy jak dwa różne kontynenty i cokolwiek byśmy robili, zawsze będzie między nami Ocean Atlantycki.

- Błagam, nie mów „zawsze”, bo mnie to doprowadza do rozpacz. Dlaczego tak trudno jest cię zrozumieć?

- Wielka szkoda, kochanie. Allegro non troppo, trio Schuberta, sonata Beethovena, muzyka kameralna - oto moje królestwo. Dla ciebie nie ma ono żadnej wartości. Nie rozumiałaś Wiednia, dlaczego miałabyś mnie zrozumieć? Wiedeń ze wszystkimi drobnymi brakami i wielkimi tradycjami zawsze będzie moją ojczyzną; a dla ciebie to kupa starych rupieci.

- Głupstwa wygadujesz, zostałeś przecież obywatelem amerykańskim. I kochasz Amerykę, prawda? I mnie kochasz, a może mnie już wcale nie kochasz? Florian, och, Florian...

- Nie płacz, chodź, pocałuj mnie... ty, Angelino... I spór niby się skończył...

Lato 1898. Rok, w którym stary cesarz Franciszek Józef obchodził swój pięćdziesięcioletni jubileusz, a syn Thomasa Cooka skierował cienki strumyczek amerykańskich turystów do starego cesarskiego miasta.

- Oto jesteśmy, typowi „Innocents Abroad” Marka Twaina - powiedział pan Ballard, z wyraźną radością potrząsając rękę Floriana Ambrosa. Maud i Angelina stały obok, czekając grzecznie na swoją kolej. Maud miała mocno zarumienione policzki, a na jej odkrytej szyi pulsowała mała żyłka. Angelina miała twarz bladą i przezroczystą, chociaż przed tym doniosłym spotkaniem jeździła konno, żeby nabrać trochę kolorów. Ambros zaniemówił, kiedy zobaczył ją w jasnozielonej sukience, którą podkreślała swą delikatną urodę blondynki.

- Angelino, na Boga, jaka pani dorosła i jaka piękna! powiedział półgłosem, zanim się zorientował, że powinien

pocałować w rękę panią Ballard. Ręki Maud tym razem nie pocałował, potrząsnął nią tylko, zupełnie jakby się witał z młodym mężczyzną. - Pani wygląda o wiele lepiej, Maud, niż podczas naszego ostatniego spotkania - oświadczył i zwracając się do rodziców dodał: - Kiedy ostatniej zimy grałem w Lozannie, Maud była bardzo zaziębiona, ale mimo to przyszła na mój koncert.

Angelina bała się, że pan Ambros może wspomnieć o jej liście, ale on tego nie zrobił i od początku łączyło ich coś w rodzaju tajemnicy. W tym liście wspomniała mimochodem o wielkiej podróży, ale naprawdę istniało poważne niebezpieczeństwo, że zostanie w domu pod opieką babci Ballard. Fakt, że mimo wszystko stała naprzeciw Florianu Ambrosowi w sali recepcyjnej hotelu Bristol, był dowodem zdecydowanego zwycięstwa.

Kiedy usłyszała plan matki odebrania Maud z Lozanny i odbycia z nią podróży po Europie, użyła całej siły woli, żeby nie zrobić sceny, póki się nie znajdzie w swoim pokoju.

- To krzyżująca nieprzyzwoitość, to po prostu oburzające, ale ja im pokażę.

Gdyby pani Ballard nie była taka ciekawa i niedyskretna, nie przeczytałaby listu, który Angelina nabazgrała pośpiesznie i zostawiła między czasopismami na stole w hallu. List ten był zaadresowany do J.W. O'Shaughnessy, Esquire, teraz już nie ucznia, ale motorniczego na kolejce linowej. Ostatnio Angelina odkryła w sobie talent do pełnych wymowy listów, a pismo, które znalazła pani Ballard, było przerażająco wymowne:

„Johnny, mój skarbie najdroższy!

Myślę o tobie dzień i noc i nie mogę dać sobie z tym rady, chociaż wiem, że to źle. Tak, ukochany, możemy się jutro spotkać tam gdzie zawsze, o naszej zwykłej porze. Ale musisz mi obiecać, Johnny, że nie będziesz mnie namawiał ani straszył, że nie zrobisz nic, na co ja ci nie pozwolę.

Twoja na zawsze Mała Ania X X X

P.S. Każdy krzyżyk oznacza - ty sam wiesz co - a jutro będzie ich jeszcze więcej".

Motorniczy z kolejki linowej byli znani ze swych miłostek i nierzadko młode damy z towarzystwa wplątywały się w skandale z tymi chłopcami.

Tak jak Angelina przewidziała, podrzucony list przeniósł ją z czarodziejską mocą z San Francisco do hotelu Bristol w Wiedniu. Johnny spełnił swoją rolę. „Muszę pamiętać o wysłaniu do niego widokówki”, pomyślała Angelina.

- No, i jesteśmy tutaj - powiedziała.

- Tak, jesteście tutaj - odparł pan Ambros niezbyt inteligentnie.

A potem, zupełnie jak w ów niezapomniany dzień w salonie muzycznym, ujął rękę Angeliny w swoją (na szczęście miała dość przytomności umysłu, żeby zdjąć rękawiczki). I wtedy nastąpiło znów to samo, elektryczny szok, pulsująca słodycz, Angelina myślała, że zemdleje.

- Bardzo miły hotelik - zauważył pan Ballard uprzejmie.

- Ale nie ma porównania z naszym Pałace Hotel - powiedziała pani Ballard.

- Jest w nim jakieś „cachet” - dorzuciła Maud swoim starannym pensjonarskim francuskim.

- Możesz to określać jak chcesz, mnie on się wydaje po prostu nędzny. I nie mam wielkiego zaufania do, jakby to powiedzieć, pewnych niezbędnych urządzeń sanitarnych - odparła pani Ballard, czerwieniąc się pod warstwą ryżowego pudru.

Pan Ambros wciąż jeszcze trzymał rękę Angeliny w swoich dłoniach.

W czasie podróży okrętem poznali niejakiego pana Clyde'a Hoppera, dwumetrowego wzrostu, dwa cetnary wążącego Anglika, o rudej czuprynie nad pobrużdżonym czołem. Był to wesoły chłopak, naładowany szalonymi pomysłami, siłą i opowieściami o przeróżnych przygodach. Miał plantacje herbaty na Cejlonie i bardzo zainteresował się śliczną młodszą córką Ballardów. Wobec tego, że Hopper był, jeśli tak można powiedzieć, główną wygraną spośród wszystkich mężczyzn

podróżujących statkiem „Majestic”, Anna znosiła jego trochę zbyt natarczywy podziw. Co rano cztery razy okrążyła z nim pokład, co wieczór tańczyła z nim, a pewnej księżycowej nocy pozwoliła mu się zaprowadzić na górny pokład. W gęstym, czarnym cieniu komina Hopper chwycił ją w ramiona i gwałtownie wycałował. Wprawdzie Angelina odczuła szczerzy wstręt z powodu tego brutalnego ataku, ale pewne zadowolenie wzbudził w niej fakt, że mężczyzna mógł tak dalece stracić dla niej głowę.

- Pan się zapomina - powiedziała surowo.

Hopper, nagle malutki, pokorny i skruszony, błagał o przebaczenie i usiłował jej wytłumaczyć, jak bardzo potrzebne mu jest wytworne towarzystwo młodych dam, którego tak długo był pozbawiony.

Pan Hopper i pan Ballard zdążyli w czasie tej podróży zaprzyjaźnić się przy kieliszku, przy czym pan Ballard podziwiał mocną głowę Hoppera. Angelina zauważyła, że jej rodzice popierają zabiegi pana Hoppera i rzeczywiście wiele przemawiało na jego korzyść.

Pan Hopper był Anglikiem, co już stanowiło jego zaletę, poza tym nie krył się z tym, że odłożył sobie w koloniach sporą sumkę. Pan Hopper opowiadał o polowaniach na tygrysy, jakby chodziło o króliki. Pan Hopper mniej się przejmował swoją malarią niż ojciec najzwyczajszym katarem. Ofiarował Angelinie na pamiątkę skórę olbrzymiego węża i pokazał jej od niechcienia garść szafirów, z których umiejętnie wydobywał ognie, chowając je w stulonej dłoni.

- Nic nadzwyczajnego, u nas można te kamienie zbierać z ziemi.

Stopniowo pan Hopper stawał się coraz bardziej malowniczą postacią, szczególnie kiedy Angelina wyobrażała go sobie jako pana brunatnych niewolników, którzy zajęci byli zbieraniem dla niego szafirów wielkości brukowych kamieni. Bawiło ją, że jednym uśmiechem lub nadąsaną minką mogła wprowadzić tego przeraźliwie silnego i potężnego pana Hoppera

w stan pokornej bezradności. Krótko mówiąc Angelina przekonała się, że takiego mężczyznę jak pan Hopper może sobie owinąć dokoła małego paluszka, kiedy tylko przyjdzie jej na to ochota.

Jednakże w momencie, kiedy Florian Ambros trzymał jej rękę w swoich długich, wysoko opłaczanych palcach, pan Hopper przestał istnieć, rozwiął się jak obłoczek dymu.

- Więc to jest Wiedeń - powiedział pan Ballard. Jechali właśnie z wizytą do matki pana Ambrosa. Trzy panie

wraz ze swymi maleńkimi parasolkami, stłoczone w głębi dorożki, podczas gdy dwaj panowie siedząc na ławeczce naprzeciw nich usiłowali jakoś ułożyć swoje długie nogi.

- Więc tak wygląda pański piękny Wiedeń - powiedział ojciec z gotowością turysty do radowania się wszelkimi osobliwościami.

Ale cóż w nim było nadzwyczajnego? Szare budynki, niskie domy, wąskie i mroczne ulice pogrążone w cieniu. W parkach można było zobaczyć zbiorowisko przedziwnie nierasowych psów, a po ulicach paradowała zaskakująca ilość pewnych siebie umundurowanych mężczyzn; takie przynajmniej wrażenie odnieśli amerykańscy przybysze.

- Nie jest tu tak wesoło w tym pańskim Wiedniu, jak to sobie wyobrażałem - stwierdził pan Ballard lekko rozczarowany.

- Mój Boże, a z jakiej racji mielibyśmy być weseli? - odparł Florian.  
- Jesteśmy narodem melancholijnym i dlatego się ze wszystkiego wyśmiewamy, a zwłaszcza z siebie samych.

- Czy można wiedzieć, gdzie jest wasz modry Dunaj? - zapytał pan Ballard, ale Florian Ambros nie bardzo wiedział.

- Ach, gdzieś tam dalej. Ja go nigdy nie widziałem, ale podobno nie jest wcale modry, tylko żółty, jak grochówka.

- No, no. Ale mam nadzieję, że w Wiedniu tańczy się jeszcze walca?

- powiedział pan Ballard, trochę przygnębiony.

- O tak, zdaje się, że tak. W każdym razie podczas miesiąca jubileuszowego na pewno będzie się go tańczyło. Chociażby na



jubileuszowym balu, na którym będzie obecny cały dwór, arystokracja, najwybitniejsze towarzystwo.

Spostrzegłszy skupione napięcie na twarzy pani Ballard, Florian dorzucił od niechcienia:

- Jeśli łaskawej pani na tym zależy, mogę poprosić Josziego, żeby postarał się o zaproszenie dla państwa. Ostrzegam jednak, że będzie to straszliwie ekskluzywna i straszliwie nudna impreza.

- Jakie to zabawne imię: Joszi. Któż to taki? Cygan? Czy on gra na skrzypcach? A może to jakiś fordanser?

Florian roześmiał się prosto w rozognioną twarz pani Ballard.

- No cóż, rzeczywiście w pewnym sensie łączy on w sobie po trosze każdego z nich. Ale właściwie mój przyjaciel Joszi to arcyksiążę Józef Albert, jeden z siostrzeńców jego cesarskiej wysokości.

Po tych słowach nastąpiło długie, żenujące milczenie, aż wreszcie pan Ballard znalazł mocny grunt pod nogami:

- Podobno wszyscy ci wasi książęta to lekkomyślni nicponie i kobieciarze?

- To się całkowicie zgadza, ale są bardzo sympatyczni i mają dużo wdzięku. Jestem szczerze przywiązany do mego przyjaciela Josziego; ten się rzeczywiście zna na muzyce.

Fiakier toczył się przez most, rozpięty nad cuchnącym strumyczkiem i dalej, obok niesłychanie hałaśliwego targu. Przedzierali się przez gęsty zapach cebuli, kwaszonej kapusty, ryb, sera i gnijących owoców, aż nagle konie stanęły i Florian powiedział:

- Tutaj musimy wysiąść, moja matka mieszka po tamtej stronie, ale przez targ nie można przejechać. Muszę więc państwa prosić o przejście tych paru kroków na piechotę.

Panie Ballard, nieco stropione, uniosły swoje długie suknie i podreptały przez kałuże, po śliskich brukowcach, mokrych deskach i rozkładających się odpadkach. Wokół nich szeroko-biodre przekupki śpiewnie zachwalały swoje towary. Państwo

Ballard pytali się w duchu, czy to możliwe, że z tego ponurego i odrażającego miejsca ich elegancki przyjaciel mógł rozpocząć swoją drogę ku sławie. Właśnie wskazał im wąską bramę zaniedbanego domu na środku rynku. Przeszli przez ciasną, ciemną sień zastawioną pustymi beczkami po winie, dalej znajdowało się niewielkie podwórko o wyboistym bruku, gdzie pełno było nieporządnie poustawianych skrzynek i taczek.

- Tutaj chyba się państwu podoba, prawda? - powiedział Florian z pełnym zachwytem uśmiechem. - Oto miejsce, gdzie stał domek Mozarta. Pamięta pani, panno Maud? Obiecałem pani pokazać kiedyś miejsce, gdzie Mozart skomponował „Zaczarowany flet”. I teraz naprawdę jest pani tutaj; trudno mi jeszcze w to uwierzyć.

Nagle Angelina poczuła się dotknięta i odsunięta na dalszy plan. Uwiesiła się więc na ramieniu Floriana, aby pociągnąć go dalej, spojrzeć mu w oczy.

- Ach, Florianie, jestem taka podniecona, to mnie całkiem oszałamia. Musi mi pan wszystko pokazać i opowiedzieć dużo o Mozarcie i o... o... właśnie o Mozarcie.

Pani Ballard, wtłoczona w swój ciasny gorset, zaczęła sapać, kiedy zapowiedziane parę kroków zaczęły urastać do niekończącej się wędrówki przez najrozmaitsze podwórza, łukowato sklepione bramy, korytarze, przez płataninę stopni i schodów. Aż wreszcie zatrzymali się przed niskimi białymi drzwiami. Otworzyły się one przed nimi jak na skiniecie różdżki i stanął w nich wysoki starszy mężczyzna w zniszczonym, źle leżącym mundurze i w białych rękawiczkach na olbrzymich rękach.

- Czy pani generałowa w domu? - zapytał Florian.

- Tak jest, wielmożny panie. Wielmożna pani oczekuje państwa.

Ballardów nie tak łatwo było teraz wprowadzić w zdumienie, mimo to jednak byli zaskoczeni i trochę zmieszani, kiedy Florian przedstawił ich swojej matce. Generałowa, drobna, wyprostowana jak struna, przyjęła gości pośród pociemnia-

łych ze starości rodowych portretów, zdobiących niskie ściany małego saloniku. Jej wysoko upięte, lśniące czarne włosy przypominały talerz pełen jeżyn, oczy miała czarne i ogniste, tak że Angelinie wydały się podobne do śliwek zanurzonych w brandy. Krótkie, grube czarne cygaro tkwiło między najbielszymi zębami, jakie można sobie wyobrazić. Śmiała się najszerszymi i największymi ustami, na jakie kobieta mogła sobie pozwolić, a w dodatku te szerokie, czerwone usta były umalowane bez opamiętania. W San Francisco nawet kobiety o podejrzanym opinii nie odważyłyby się na coś podobnego. Wesoła, mądra i przerażająco bezpretensjonalna, generałowa była jednak niewątpliwie wielką damą; co prawda, myśleli Ballardowie, dość dziwaczną, jeśli nie trochę zwariowaną.

W pięć minut potem, jak Florian przedstawił swojej matce rodzinę Ballardów, uchyliły się drzwi do sąsiedniego pokoju

i w wąskiej szparze ukazała się niepozorna twarz Myszki, która spojrzała na niego wielkimi, okrągłymi sowimi oczami. Nie zwracając uwagi na gości, a może nawet ich nie dostrzegając, rzuciła po niemiecku parę rozkazujących słów, na co Florian zerwał się, mruknął pod nosem jakieś niewyraźne usprawiedliwienie.

- Ważna próba, nie można jej odwołać... o wpół do piątej będę z powrotem - i bez pożegnania wybiegł z pokoju.

- No, proszę i już mój Flori pognał, jak kot z pęcherzem. Myślałby kto, że ma rendez-vous z Valérienne - chyba państwo o niej w Ameryce słyszeli, to najślawniejsza wiedeńska amantka - a tymczasem nic podobnego, on się tak śpieszy do tego tłustego, łysego starego zrzędy, swego dawnego nauczyciela, który studiował z panem Brahmssem we własnej osobie. Nie mam pojęcia, skąd on się wziął taki muzykalny wśród Ambrosów. Od pięciu pokoleń wszyscy Ambrosowie byli żołnierzami. Weźmy choćby czterech braci Floriana

wszyscy służą w kawalerii. Wszystkie moje trzy córki wyszły za oficerów. Proszę mi wierzyć, droga pani, że mieć synów w kawalerii, a za córki wpłacać kaucję, wydając je za oficerów,

to bardzo droga przyjemność. A więc, jak już mówiłam, Fłori od urodzenia był zupełnie inny, niż tamci.

- Bardzo proszę, może jeszcze kawałek placka, sama go robiłam, a wiedzą państwo, na czym polega jego tajemnica?

- ciągnęła. - Tylko wtedy się naprawdę udaje, jeśli się weźmie dwanaście jaj. A jaką kawę państwo lubią? Dla mnie kawa nigdy nie dość mocna. Ale może młode osoby wołałyby dolać sobie śmietanki? O nie, nie, dla pana mam coś ekstra. Djuro, Djuro! Przynieś butelki tokaju, postawiłam je na parapecie w kuchni, żeby nabrały odpowiedniej temperatury. Djuro, ty baranie, gdzież znowu lecisz? Podaj no czeskie kieliszki, wiesz przecież, które. Cóż to za komiczna figura, ten nasz Djuro Boszy - powiedziała, kiedy służący wyszedł. - Był ordynansem generała, kiedy miał osiemnaście lat. Taki młody dzikus, musiałam go wszystkiego uczyć, jak ma mówić, jak podawać, że trzeba się myć, dosłownie wszystkiego.

Ballardowie siedzieli oszołomieni. Gadulstwo generałowej było absolutnie sprzeczne z ich pojęciami o wytworności towarzyskiej, a mimo to - było w tym „coś”. Ukradkiem przyglądali się urządzeniu mieszkania: nieliczne i nadzwyczaj proste meble, ani śladu jakichkolwiek ozdób, ani śladu koronkowych firanek, efektownie udrapowanych brokatowych kotar. Pokojów nie oddzielały portiery, tylko nagie, białe lakierowane drzwi. Generałowa była też daleka od przejawów postępu w postaci elektrycznego oświetlenia, w jej mieszkaniu nie było nawet światła gazowego. Na szerokiej komodzie między oknami stały dwie lampy naftowe.

- Niebrzydki mebelek, prawda? - powiedziała generałowa.

- Cesarzowa Maria Teresa ofiarowała ją w prezencie ślubnym mojej praprababce, a teraz Joszi chciałby ją ode mnie odkupić, proponował mi pięć tysięcy guldenów, aleja mu na to: „Niech wasza cesarska wysokość wybije to sobie łaskawie z głowy! Nie handluję używanymi meblami, powiedziałam, ale gdyby wasza , cesarska wysokość dał mi swoje skrzypce, to odstąpiłabym mu moją komodę.”

Trzeba państwu wiedzieć, że Joszi ma Stradivarius, za którego mój Flori wyrzekłby się wiecznego zbawienia, ale Joszi wyśmiał po prostu moją propozycję. Jego Stradivarius jest rzeczywiście pięć razy tyle wart, co moja komoda, chociaż obie te rzeczy pochodzą od Marii Teresy.

- Jakież to wszystko interesujące - zauważyła pani Ballard, nic nie rozumiejąc.

Rozmowa prowadzona w różnych językach szła kulawo. Generałowa wypowiadała swoją część szybko, płynnie po francusku (nie wyobrażała sobie zapewne, że są na świecie ludzie nie rozumiejący tego języka). Maud, która z trudem nadażała za tokiem myśli generałowej, tłumaczyła rodzicom to, co najważniejsze, Angelina zaś pomagała sobie trochę włoskim, chociaż od Béatrice przejęła okropny dialekt. Pan Ballard ku własnemu zdziwieniu zaczął sobie przypominać niemiecki, który słyszał w dzieciństwie od dziadków. Fakt zaś, że pani Ballard nie wszystko rozumiała, był okolicznością raczej pomyślną, bo niektóre wyrażenia i relacje generałowej odjęłyby jej mowę.

Zegar na antycznej komodzie wybił wpół do piątej, a Florian Ambros nie wracał.

- Kiedy mój Flori pracuje nad Brahmsem, zapomina o całym świecie - próbowała wytłumaczyć generałowa. - A ten piekielny koncert skrzypcowy to nie bagatela. Droga panno Maud, pani musi to zrozumieć i zdobyć się na dużo cierpliwości. Niedługo już na pewno się zjawi.

- Ja się nie niecierpliwę, madame. Kiedy ktoś musi czekać tak długo, jak ja, to pół godziny nie ma żadnego znaczenia - powiedziała Maud i zabrzmiało to trochę zagadkowo. Angelina była zła, że rozumie tak mało po francusku.

- Muzycy to dziwni ludzie, panno Maud - powiedziała generałowa - i muzyka to dziwna rzecz. Nie można jej dotknąć ani zobaczyć, ani wyjaśnić, muzyka jest właściwie niczym. Ale dla takich ludzi, jak mój Flori, jest ona wszystkim.

Napotkawszy świadczące o niezrozumieniu spojrzenie Angeliny ciągnęła dalej po włosku:

- Właściwie, jak się człowiek nad tym zastanowi, to jest to zupełnie zwariowana historia. Chłopak przesuwając paroma końskimi włosami po wysuszonych baranich kiszkach, i to stanowi treść jego życia. W dodatku może tym swoim rzępoleniem doprowadzić człowieka do płaczu, to znów wprowadzić w radosny nastrój, kiedy zaś zagra coś miłego, to po prostu serce wyskakuje z piersi...

- A poza tym stał się dzięki temu sławny i bogaty... - zakończyła Angelina zdanie, które zawisło jakoś w powietrzu.

Gerałowa roześmiała się i leciutko trzepnęła ją po ręce.

- Oj, piccolina! - powiedziała. - Z pani jest mała realistka, zdążyłam to już zauważyć. Może wypijemy zdrowie realistów, a także marzycieli.

Kiedy o szóstej Floriana wciąż jeszcze nie było, Ballardowie pożegnali się i zupełnie wyczerpani przedostali się pod przewodnictwem Djura przez labirynt przejść do czekającego na nich fiakra. Pani Ballard westchnęła głęboko.

- Zdawałoby się, że pan Ambros, który tyle zarabia, mógłby znaleźć dla matki lepsze mieszkanie.

- My po prostu nie rozumiemy tych ludzi. Może ona dobrze się czuje w takich skromnych warunkach, przynajmniej człowiek nie wplątuje się tam ciągle w coś takiego, jak twoje chwasty i frędzle - odparł ojciec.

- Ach, to widocznie z powodu moich chwastów i frędzli wszystkie weekendy spędzasz w majątku - odcięła się pani Ballard. - Tak jakby nie było gorszych rzeczy, w które mężczyzna może się wplątać.

\*

Wiedeń wypełniał się ludźmi, którzy przybywali do stolicy ze wszystkich zakątków monarchii, aby jako poddani jego cesarskiej wysokości dać dowód wierności staremu władcy. Szlachta i arystokracja opuściła swoje zamki i majątki, cały

świat przysyłał do Wiednia swoich dyplomatów i przedstawicieli. Na ulicach słyszało się różne języki i na każdym kroku można było spotkać najdziwniejsze stroje ludowe. Dzięki przyjaźni z Florianem i z generałową, Ballardowie zwiedzali Wiedeń o wiele dokładniej, niż by to mogli zrobić oprowadzani przez przewodnika. Biorąc udział w przyjęciach, w wyprawach do Prateru, w porannych konnych przejażdżkach i w przedstawieniach teatralnych, weszli do miejscowego towarzystwa. A jednak ukoronowaniem ich udanego pobytu w Wiedniu był cudowny moment, kiedy pewnego dnia spotkali się w hallu hotelowym z rodziną Franklów.

Franklowie byli bowiem również Amerykanami, przyjechali również z San Francisco, kiedy się wspomniało o Sutro Heights, wiedzieli, o czym mowa, przede wszystkim zaś można z nimi było porozmawiać w ojczystym języku. Było to jak spotkanie dawno niewidzianych przyjaciół, zagubionych w dzikiej dżungli Europy. Tak więc cichy hall hotelowy stał się sceną egzaltowanego, naiwnie radosnego widowiska, jakie odbywa się zawsze, kiedy Amerykanie spotykają się za granicą. Teraz, kiedy pani Ballard mogła popisać się przed wścibską panią Frankel swoimi nowymi toaletami i kapeluszami oraz olśniewającymi znajomościami wśród arystokracji, Wiedeń nabrał szczególnego blasku. Franklowie ze swojej strony mówili trochę po niemiecku i orientowali się w Wiedniu, skąd pochodziła ich rodzina i gdzie mieli jeszcze trochę krewnych. Objęli więc przewodnictwo przy dalszych zakupach, zwiedzaniu i układaniu programu rozrywek, wykazując dużą znajomość rzeczy i gotowość roztoczenia pewnego rodzaju opieki.

Ballardowie trochę przesadnie chępnili się swymi wytwornymi znajomościami, w rzeczywistości bowiem gnębiła ich poważna troska. Żyli nadzieją, że Florian wyczaruje dla nich owo zaproszenie na superekskluzywny bal jubileuszowy. Panie zamówiły trzy wspaniałe suknie balowe: pani Ballard marzyła się kreacja z fioletowych atlasów z falbankami

z francuskich koronek, podpiętymi przy pomocy dwudziestu dwóch gron winnych. Angelina doradziła Maud suknię z białej mory, która podkreślała jej żywą cerę, chociaż z tyłu trochę ją może poszerzała.

Dla siebie Angelina walczyła zawzięcie o czarną aksamitną toaletę, która podniosłaby jej urodę. Pani Ballard oświadczyła jednak twardo i zdecydowanie, że tylko wdowy i kobiety o podejrzanym opinii mogą pokazywać się w czarnym aksamicie, wobec czego wybór padł na sukienkę z granatowego szyfonu.

Angelinę ogarniał coraz większy niepokój, bo nigdy nie zostawiano jej samej z Florianem, nawet na pięć minut. Parę razy dawała mu do zrozumienia, że mogliby się spotkać w tajemnicy, ale on to pomijał milczeniem.

Z rosnącym zdenerwowaniem Angelina liczyła dni, które im jeszcze zostały do odjazdu. Już tylko tydzień, a potem nastąpi z góry opłacona podróż do Budapesztu, gdzie miał się odbywać dalszy ciąg uroczystości jubileuszowych. Angelina uważała to za rzecz samą przez się zrozumiałą, że Florian będzie im towarzyszył w drodze do stolicy węgierskiej, jednak raz jeszcze spotkało ją jedno z owych drobnych rozczarowań, z którymi trzeba było się godzić, kiedy się kochało sławnego człowieka.

- Niestety, mój czas nie należy do mnie - tłumaczył Florian. - Jestem związany przygotowaniem do tournée. Musicie mnie zrozumieć, Maud, Angelino, panie Ballard.

Angelina była wściekła. Na przykład pan Hopper, myślała, on na pewno pojechałby z nimi do Budapesztu. Wystarczyłaby najmniejsza zachęta, a przemierzyłby cały kontynent: właściwie niewykłuczone, że nagle gdzieś po drodze się zjawi.

Tymczasem wzdłuż Ringstrasse wzniesiono trybuny, bo tamtędy miał przeciągać pochód dzieci. Drapowano i przybijano całe kilometry płótna w barwach narodowych, gorączka w mieście rosła z godziny na godzinę. Urządzano parady wojskowe i uroczyste procesje dokoła kościoła św. Stefana,



przy dźwiękach dzwonów, z całą pompą kościelną, kardynalskimi fioletami i purpurą, z udziałem nuncjusza papieskiego.

Już za sześć, już za pięć dni miał się odbyć wielki bal jubileuszowy, a zaproszenie nie nadchodziło. Po przechwałkach wobec Franklów i wysłaniu chełpliwych kartek do przyjaciółek w San Francisco groziło to pani Ballard poważną kompromitacją. Angelina także wszystkie swoje nadzieje pokładała w tym balu, balowej sukni, w tańcu z Florianem, w jakimś słowie, pocałunku, w czymś decydującym i nieodwołalnym. Jedną tylko Maud zachowała w owym momencie grożącego kryzysu całkowitą obojętność, ale Maud była pozbawiona temperamentu, a poza tym nie prowadziła wielkiej gry.

- Wygląda na to, że nie pójdziemy jednak na ten bal - powiedziała pani Ballard do Floriana z pozorną obojętnością, tylko jej nos, lśniący jak miedziany guzik, zdradzał nurtującą ją udrękę.

- Ależ oczywiście pójdą państwo na bal - zaprotestował Florian, wracając do rzeczywistości z odległej krainy marzeń.

- Jak to? Przecież nie mamy zaproszenia - wyszeptała pani Ballard bliska łez.

- Zaproszenie! Zupełnie o nim zapomniałem! Od tygodnia już noszę je w kieszeni - powiedział Florian jeszcze bardziej roztargniony i irytujący niż zwykle.

Hopper nigdy nie zrobiłby czegoś podobnego, pomyślała Angelina.

Nadszedł ranek wielkiego pochodu dzieci. Dzięki Florianowi i jego przyjacielowi Joszi, Ballardowie dostali miejsca na trybunie dla wybranych, tuż koło namiotu cesarza. Mijały godziny, a dzieci maszerowały, wydawały starannie wyćwiczone chóralne okrzyki, słońce wstępowało coraz wyżej, upał był coraz dokuczliwszy, grubo ciosane ławki na trybunach stawały się coraz twardsze. Widocznie trzeba było być cesarzem, zaprawionym do przyjmowania tego rodzaju dowodów czci, aby móc to wytrzymać. Angelina jednak czuła, że blednie pod-

rzucającą korzystny cień czerwoną parasolką. Wstała tego dnia znacznie wcześniej niż zwykle, tak że czuła się trochę osłabiona, kiedy więc pochód dzieci ciągnął się bez końca, a Florian zajmował się tylko Maud, zdecydowała się bez trudu wycofać z wyczerpującego widowiska. Z cichym westchnieniem padła zemdlona.

Mdlejąc osunęła się na ramię Floriana, który musiał wreszcie zauważyć, że i ona jeszcze istnieje. Zanim pan Ballard zdążył pośpieszyć jej z pomocą, Angelina osiągnęła tyle, że Florian wziął ją delikatnie na rękę i wyniósł z trybuny.

Było to cudowne uczucie, zwłaszcza jeśli się wzięło pod uwagę, że Florian na ogół wymawiał się od noszenia czegokolwiek poza futerałem ze skrzypcami. Twierdził, że to szkodzi jego rękom. Fakt, że teraz trzymał ją w ramionach, napawał Angelinę rozkoszną świadomością własnej drogocенności. Ponieważ jednak nie miała najmniejszej ochoty dostać się pod opiekę lekarzy i pielęgniarek z najbliższego dyżurnego ambulansu, poczuła się na tyle silna, aby w odpowiednim momencie otworzyć oczy. Spod trzepoczących rzęs ujrziała strapioną, troskliwie pochyloną nad nią twarz Floriana.

- Gdzie ja jestem? Czy zemdlalam? Och, jak to głupio z mojej strony, strasznie mi przykro - szepnęła Angelina.

Na ogół była to udana improwizacja, Florian zapomniał o Maud i o swojej matce, zawiózł Annę do hotelu, trzymał ją za rękę, odgarniał jej z czoła wilgotne włosy i szeptał czule, uspokajające słowa. Wszystko to byłoby cudowne, gdyby pani Ballard nie uparła się z właściwym sobie brakiem taktu, aby im bez przerwy asystować.

Angelina mogła bez trudu wykorzystać słabość po omdleniu, kładąc się do łóżka i uzyskując przesunięcie wyjazdu do Budapesztu, ale ojciec, nieczuły jak zwykle, oświadczył, że nie ma zamiaru przejmować się jej fanaberiami. A pani Ballard dorzuciła z mieszaniną współczucia i złośliwości uwagę:

Byłaby naprawdę wielka szkoda, gdyby nasza Ania czuła się tak źle, że musielibyśmy bez niej pójść na bal jubileuszowy.

- Nie martw się, mamó, za nic w świecie nie popsułabym ci tego balu  
- szepnęła Angelina słaba, ale dzielna.

- Zaprosiliśmy Franklów na obiad w sobotę przed bale - ciągnęła matka. - Chciałabym im zrobić przyjemność obejrzenia nas w nowych toaletach balowych, to będzie dla nich nie lada przeżycie. Postaraj się więc prędko wyzdrowieć, Aniu.

- Oczywiście, że się postaram. Widzisz, jaka jestem rozsądna? Nie proszę cię nawet, żebyś mi pozwoliła pójść dziś razem z wami do opery  
- odparła Ania, w której głowie zaczął się rodzić nowy cudowny plan.

Kiedy cała rodzina wychodziła do opery, Anna udawała, że śpi. Ale kiedy upewniła się, że jest sama, wyskoczyła z łóżka, szybko, ale starannie doprowadziła do porządku twarz, włosy i ręce, ubrała się bardzo skromnie, ale z wyrafinowanym smakiem, policzyła pieniądze - okazało się, że wystarczy na fiakra - i wybrała się w drogę do domu Ambrosów.

Poprzedniego dnia przypadkiem usłyszała, jak Florian mówił do Maud:

- Bardzo mi przykro, że taki ze mnie nudziarz, ale nawet końmi nikt by mnie nie zaciągnął do opery. Nie, zostanę sobie grzecznie w domu i będę się parał z koncertem Brahmsa.

Opatrzność nie mogłaby stworzyć dogodniejszej sposobności dla tak upragnionego przez Angelinę sam na sam z Florianem. Dzielnie przebrnęła słabo oświetlone podwórza i schody olbrzymiego starego budynku, kiedy jednak z bijącym sercem pociągnęła za dzwonek, mieszkanie wydało jej się głucho, ciemne i puste. Nasłuchiwała dźwięków skrzypiec, które zwykle z tak irytującym uporem przenikały przez grube ściany. Nagły atak wściekłości wstrząsnął jej delikatnym ciałem, kiedy pomyślała: skłamał, wcale nie został w domu, Bóg wie, gdzie i z kim się teraz włóczy, podczas gdy ja... ja... chociaż jestem taka osłabiona... tylko żeby jemu dowieść, jak bardzo go kocham...

Właśnie zamierzała odejść, kiedy usłyszała jakieś szuranie

i chrobotanie, po czym Djuro, zaspany, bez marynarki, otworzył drzwi.

- Czy pan Ambros jest w domu? - spytała Angelina i nie zważając na służącego wkroczyła do ciemnego przedpokoju. Stary żołnierz uśmiechnął się, skłonił i złożył zwięzły raport o tym, że pan Florian wprawdzie jeszcze nie wrócił, ale że spodziewa się go lada chwila.

- Dziękuję, Djuro, poczekam na niego - powiedziała Anna z godnością i weszła do znanego już, ale wciąż jeszcze onieśmielającego salonu.

Djuro zapalił lampy naftowe i po paru minutach zjawił się z powrotem, już w liberii i białych rękawiczkach, niosąc kieliszek wina i kawałek ciasta: poza tym w dowód gościnności podsunął Angelinie album z rodzinnymi fotografiami.

Pochylona nad fotografiami udała, że nie słyszy, jak ktoś otwiera drzwi. Wstrzymała oddech, czuła straszliwe podniecenie. Co on też powie na taką niespodziankę?

- Czeka pani na Floriana? Jeśli wolno, dotrzymam pani towarzystwa - wdarł się czyjś głos w upozorowaną zadumę Anny.

Była to Myszka, która dotychczas nie potrafiła powiedzieć po angielsku nawet „dzień dobry”. Anna spojrzała na nią zaskoczona i trochę zła. Układając swój plan, Anna zupełnie zapomniała o Myszcze.

- Jak mnie pani przestraszyła! Ja... ja chciałam tylko oddać panu Ambrosowi rękawiczki, które zostawił w hotelu. Co się stało, że pani nagle zaczęła mówić po angielsku?

- A dlaczego miałabym nie mówić? Urodziłam się w Brooklynie i tam chodziłam do szkoły. Ale nie mówmy o mnie. Są ważniejsze sprawy, o których już dawno chciałam z panią porozmawiać.

Ze mną? Chciała pani o czymś porozmawiać? - spytała Anna z rosnącą niechęcią.

Z panią, skarbie. Otóż chciałabym, żeby pani oderwała trochę Floriana od jego pracy. On już wpada w przesadę; robi

się pedantyczny i druga część koncertu staje się przez to coraz bardziej sucha. Jeśli pani go od tego nie oderwie, to koncert Brahmsa zrobi klapę.

- Ja mam go oderwać? Pani żartuje. W jaki sposób można Floriana oderwać od skrzypiec?

- Mnie nie powinna pani o to pytać, złotko! Niech pani robi do niego słodkie oczy, są wystarczająco duże i wzruszające, niech się go pani uczepi z całą swoją bezradnością, niech pani zagra rolę zakochanej młodziutkiej narzeczonej, niech mu pani obieca taniec z siedmioma zasłonami...

- Może źle rozumiem dialekt z Brooklynu, ale naprawdę wydaje mi się, że nie dałam powodu, aby mnie pani obrażała

- powiedziała Angelina gniewnie.

- Mój Boże, przecież ja pani wcale nie obrażam, przeciwnie, mówię same komplementy. Moja mała, my dwie możemy nie grać przed sobą komedii. Zastanawiałam się długo, która z was dwóch byłaby lepszą żoną dla naszego Floriana

- oznajmiła Myszka ubawiona. - Niewątpliwie pani siostra jest o wiele łagodniejsza i ma znacznie lepszy charakter od pani, ale żona, która składa się z samej dobroci, jest jak sałata bez octu. Zresztą pogodne życie i spokojne nerwy to koniec dla takiego artysty jak Florian. Pani świetnie umiałaby go podniecać. Niech go pani doprowadza do wściekłości, niech go pani dręczy, bo on musi znać cierpienie, inaczej jego adagia będą zawsze opadać. Wracając do tematu - ciągnęła Myszka

- doszłam do wniosku, że Florian lepiej zrobi, jeśli ożeni się z panią, a nie z pani siostrą, mimo wszelkich kłopotów, jakie z tego powodu wynikną. Poza tym dla artysty zawsze jest dobrze, kiedy ma ładną żonę...

- Mówi pani tak, jakby chodziło tylko o to, którą z nas dwóch Florian raczy wybrać - powiedziała, usiłując przybrać ton tak arogancki, jakiego czasem używał Florian.

Tak i on powinien to zrobić, nawet jeśli nie zdaje sobie z tego jeszcze sprawy.

Pani zdaje się nie bierze w ogóle pod uwagę, że być może

ani mnie, ani mojej siostrze wcale nie zależy na wyjściu za mąż za pana Ambrosa - powiedziała Angelina z wielką godnością. Myszkę niesłuchanie to rozbawiło.

- Ależ oczywiście obie chcecie wyjść za Floriana, to nie ulega najmniejszej wątpliwości - odpowiedziała wesoło.

I nagle poważniejąc pochyliła się ku Angelinie i zapytała poufnym tonem:

- Czy pani wie, ile wasz ojciec zamierza dać wam w posagu? Jest przecież milionerem, prawda? Czyżby pani mnie nie rozumiała? Florian musi jak najprędzej zdobyć dużo pieniędzy. Czy pani myśli, że generałowa z innego powodu robi z wami tyle ceregieli? Już ona wie, co robi, ta kuta na cztery nogi stara kobieta, a chociaż tak często drwi sobie z Floriana, kocha go bardziej niż wszystkich innych synów razem wziętych.

Proszę mi wierzyć, że generałowa postara się o to, żeby Florian zdobył pieniądze, których potrzebuje na cesarzową.

Przez chwilę Angelina była w strachu, że Myszcze coś się w głowie pomieszało, ale okrągłe oczy patrzyły na nią uporczywie z wyrazem bystrej inteligencji.

- Cesarzowa to skrzypce, Stradivarius, najcenniejsze skrzypce, jakie istnieją na świecie - ciągnęła - nazwa pochodzi stąd, że hrabia d'Artot ofiarował je w prezencie cesarzowej Marii Teresie, on sam zaś odziedziczył ten instrument wraz z kolekcją skrzypiec po swoim ojcu. Obecnie „cesarzowa” jest własnością Josziego, który od czasu do czasu pozwala Florianowi na niej pograć. Otóż ten wariat Florian zakochał się w tych skrzypkach, wbił sobie do głowy, że jego kariera zależy od tego, czy zdobędzie „cesarzową”.

- Ale dlaczego miałby jej nie dostać? Książę jest przecież jego przyjacielem, a jeżeli dla Floriana to ma tak wielkie znaczenie...

- No pewnie, wszyscy tak myśleli. Tymczasem zjawił się jakiś Gibbons, człowiek, który ma więcej pieniędzy niż sam sobie z tego zdaje sprawę i zrobił Joszemu wspaniałą propozy-

cję. Teraz już pani wie, dlaczego Florian musi zdobyć pieniądze, i to bardzo szybko, zanim pan Gibbons sprzątnie mu „cesarzową” sprzed nosa. Sprawy tak stoją i chyba lepiej, żeby pani dokładnie wiedziała, czego się trzymać, prawda?

- Okropna z pani osoba - powiedziała Angelina bliska płaczu.

- Jeszcze jedno powiem: tego, kto zdobędzie dla niego te skrzypce, będzie kochał i czcił do końca życia. Ach! Ale się rozgadałam!

Prawie minutę Angelina siedziała pogrążona w głębokiej zadumie.

- Ile kosztują te skrzypce? - spytała wreszcie z chłodną rzeczowością.

- Księżę twierdzi, że pan Gibbons proponuje mu dwadzieścia tysięcy dolarów. Wydaje mi się, że gdyby ojciec dał pani tę sumę w posagu, nie musiałby iść z torbami. Jak pani sądzi? Ale teraz cicho - szepnęła nasłuchując - bo on właśnie idzie. Powodzenia, moje dziecko! Serwus, Flori, dlaczego przychodzisz tak późno?

- Angelino, kochanie - powiedział zaskoczony. - Co... pani tu robi?

- Przyniosłam panu rękawiczki, zostawił je pan u nas w hotelu.

- Pewnie jesteś głodny, Flori, zobaczę, co tam Djuro ma dla ciebie w kuchni - powiedziała Myszka i znikła.

Ambros stał nieporadny, myślami wyraźnie nieobecny.

- Florianie - rzekła Angelina z naciskiem - ja trochę oszukuję. Nie przyniosłam żadnych rękawiczek, ale... po prostu musiałam dzisiaj wieczorem z panem porozmawiać. Jeszcze trzy dni i... odjedziemy. Florianie, czy pan mnie słucha?

- Ach tak, cieszy się pani na Budapeszt? Przełknęła jakby kroplę goryczy, po czym zagadnęła:

Rozmawialiśmy właśnie o tych skrzypcach, o „cesarzowej”. Myszka mówi, że pan chciałby je kupić, czy to prawda?

- Och, więc Myszka pani o tym opowiadała?

- Niech pan na mnie spojrzy, Florianie: zdobędę dla pana te skrzypce. Już to sobie postanowiłam, a co sobie postanowię, to zawsze przeprowadzam.

Florian odszedł od okna, przy którym stał, zbliżył się do niej i ujął jej twarz w obie ręce.

- Jakiż z pani kochany mały głuptasek, Angelino.

- Pan mnie jeszcze nie zna. Nie jestem głuptaskiem. Kiedy czegoś chcę, to postanawiam to zdobyć... i zdobywam. Nieodwołalnie.

Florian był wyraźnie ubawiony.

- Nieodwołalnie? Tak po prostu, prawda?

- Dlaczego pan mnie nie traktuje poważnie? Dlatego że nie jestem taka duża, silna i dorosła, jak moja siostra? Czy pan mnie nie lubi?

- Co też pani, Angelino...

- Czy pan mnie lubi tak, jak ja pana lubię? Uparcie patrzył w jej twarz.

- Co pani chciałaby właściwie ode mnie usłyszeć? Że za parę lat będzie pani wielką piękną? O tak, niebezpieczną piękną, o tym pani przecież sama wie. Co pani właściwie tutaj robi? - zapytał, jakby dopiero teraz zauważył jej obecność. - Czy Maud o tym wie? Czy pani czuje się już dobrze? Nie powinna pani biegać po mieście tak późnym wieczorem. Chodźmy, Angelino, odprowadzę panią do dorożki. Wygląda pani na śmiertelnie zmęczoną, a nie chciałbym, żeby pani raz jeszcze padła zemdlona w moje ramiona.

- Muszę pana za to bardzo przeprosić. Czy bardzo się pan tym zaniepokoił?

Stała tuż przy nim i czekała.

- Tak, do licha, bardzo mnie pani zaniepokoiła, bo pani jest w ogóle niepokojącą małą osobką. Chodźmy, zaprowadzę panią do dorożki. Myszka! Za chwilę wracam.

Księżyc nasycił podwórze swoim światłem, ale Florian zdawał się nie zauważać zachęcającego nastroju letniej nocy.



Obudził zaspanego dorożkarza, który z kolei obudził zaspanego konia, i Angelina została bez ceremonii odesłana do domu.

Leżała już od dwóch godzin w łóżku, kiedy rodzina wróciła z opery.

- Śpi mocno - szepnęła Maud do pani Ballard, która odeszła na palcach.

Angelina jednak nie spała, zagłębiona w zawile obliczenia możliwości zdobycia „cesarzowej”.

„Dziadek odłożył dla mnie dziesięć tysięcy dolarów, ale muszę jeszcze długo czekać do skończenia dwudziestu jeden lat. Może mogłabym na to konto pożyczyć pieniądze, porozmawiam z ojcem. A może sprzedać perły odziedziczone po babci Ballard? Udałabym, że je zgubiłam. Czy to starczy, bodaj na zaliczkę? Muszę poznać arcyksięcia osobiście... Jutro na balu... Jest podobno kobieciarzem... Jeśli się do niego sprytnie zabiorę?” I Angelina zasnęła z błogim uśmiechem rafałowskiego aniołka na słodkiej twarzyczce.

Nazajutrz już od rana zjawił się pan Fessl, nadworny c.k. fryzjer we własnej osobie; bo tego dnia trzeba było spiętrzyć setki kunsztownych fryzur na głowach setek pań i zapach maszynek spirytusowych, spalonego papieru i gorących żelazek wypełniał cały hotel. Walczono o dostęp do olbrzymich, staroświeckich wanien, wkrótce zabrakło ciepłej wody, po czym okazało się, że w łazience na drugim piętrze rozsadziło piec.

Przymierzano nowe gorsety, matki i córki sznurowały je sobie wzajemnie na próbę, aby osiągnąć tak cienką talię, jak tego wymagała balowa suknia. Zaraz potem zdejmowano gorsety, aby mieć miejsce na lekki posiłek. O drugiej pan Ballard wpadł do pokoju i rozkazał swoim paniom, żeby, do diabła, zamiast się szamotać, położyły się i wypoczęły.

O piątej zaczął padać deszcz, o szóstej Angelina przywdziała rynsztunek, a przed siódmą, o wiele za wcześnie, była już całkowicie gotowa. Miała jeszcze godzinę na to, aby wprawić się w kokieterijnym posługiwaniu się wachlarzem, zbieraniu

trenu, szeleszczeniu duszkami halek i chodzeniu w niewygodnych, o wiele za małych trzewiczkach na o wiele za wysokich obcasach. Dziś wieczorem, dziś wieczorem, dziś wieczorem -biło jej serce. Dziś wieczorem musi stać się coś decydującego, bo jutro będzie za późno.

W późniejszych latach Angelina często myślała, że ów wieczór był punktem zwrotnym w jej życiu. Gdyby tamta noc inaczej się zaczęła i inaczej skończyła, może ona stałaby się innym człowiekiem i różne złe rzeczy, które spotkały ją i innych, nigdy by się nie wydarzyły. Bo tamtej nocy huragan zerwał dach i osłonę z jej rodzinnego domu i odtąd musiała żyć osierocona na świecie, na którym nikomu nie można było ufać...

W parę minut po siódmej przeszła do salonu, sąsiadującego z sypialnią rodziców. Między oknami stało wysokie lustro i przez chwilę Angelina stała przed nim jak urzeczona, pytając jak dawniej: lusterko, lusterko, powiedz przecie, kto najpiękniejszy jest na świecie?

Na wieszaku wisiała wieczorowa zarzutka ojca, przygotowana na bal. Angelina zamierzała właśnie zapukać do drzwi rodziców, kiedy jakieś dziwne odgłosy, dochodzące z wnętrza ich pokoju, skłoniły ją do zatrzymania się i nastawienia uszu.

- Powinieneś się wstydzić - dochodziło szlochanie pani Ballard - powinieneś się wstydzić. To hańba i skandal, żeby człowiek w twoim wieku i na twoim stanowisku zadawał się z taką, z taką... Nie, mam dla siebie zbyt wiele szacunku, żeby nazwać ją tak, jak na to zasługuje. Czy zapomniałeś, że jesteś czterdziestosześcioletnim człowiekiem? Ta osoba mogłaby być twoją córką. Tancerka na linie! Cyrkówka! To już przechodzi wszelkie granice!

- Do diabła, znowu ta sama litania! Setki razy ci tłumaczyłem, że nie mogę na to nic poradzić. Wiesz, że my dwoje nie bardzo dobraliśmy się pod tym względem - odparł pan Ballard tonem raczej poirytowanym niż skruszonym. - A ostatecznie cóż to wielkiego, że z Coby'm Frankiem i paru innymi

znajomymi wypilem o jeden kieliszek ponad miarę? Przecież to nie przestępstwo, postawić kolację biednej dziewczynie. Jednego możesz być pewna, że ona lepiej umiała ocenić mnie i szampana, niż ty to kiedykolwiek potrafiłaś. Naprawdę nie widzę powodu do skarg. Robię dla was wszystko, co mogę, jestem dobrym ojcem, troszczę się o ciebie i dzieci... Wiesz przecież, jak kocham nasze dziewczynki. Więc przestań beczeć, Marge, i ubieraj się.

- Karolu Ballard, godziłam się z tym, jak umiałam, ale teraz sytuacja stała się niemożliwa. Na co drugi weekend wymykasz się do majątku. Może wyobrażałeś sobie, że ja nic nie wiedziałam o twoim stosunku z tą niechlujną Meksykanką, z tą brudną, tłustą żoną Gomeza. Nie mogę po prostu pojąć, co cię w niej może pociągać.

Angelina szybko wycofała się spod drzwi, które się po chwili otworzyły. Stał w nich jej ojciec, wysoki i tęgi, o mocnych mięśniach i dostojnej brodzie, ojciec, z którego przez całe życie była taka dumna; jej własny ojciec, rozpustny, zakłamany człowiek. Stał teraz przed nią w koszuli ze sztywnym gorsem, o byczym karku, jeszcze bez kołnierzyka, i właśnie przypinał szelki do frakowych spodni. Jego szerokie bary uwydatniały się pod cienką batystową koszulą, pachniał pomadą, stał w drzwiach z szeroko rozstawionymi nogami. I wszystko to było bezwstydną, bezwstydną i brudną, i podłe. Angelina chciała krzyknąć, ale czuła się zamrożona, jak bryła lodu.

- Na Boga, Aniu, wyglądasz jak zjawisko, spójrz tylko na naszą małą Anię, mamó - powiedział wesoło pan Ballard. - Założę się, że będziesz królową balu.

Mówił ze zwykłą serdecznością. Płomienie gazowe zamigotały niebiesko i niewyraźnie przed jej oczami, gaz syczał głośnie, coraz głośnie, potem wszystko zaczęło pogrążyć się w mroku i przez ten mrok pan Ballard zbliżał się, żeby pocałować swoją córeczkę.

Angelina nie wiedziała, jak dotarła do drzwi na korytarz, przez które uciekła i które zatrzasnęła za sobą. Nie pamięta nic

poza zdumioną twarzą pana Ballarda. Jeśli nie można ufać własnemu ojcu, to komu? - pytała sama siebie.

Czuła się śmiertelnie chora, zrozpaczona, drżąca z ponurej wściekłości. Ani przez chwilę nie pomyślała o matce. Nie przyszło jej do głowy współczuć pani Ballard i podziwiać ją za taktowny sposób, w jaki znosiła i ukrywała podwójne życie męża, aby wobec świata i córek utrzymać fikcję szczęśliwego małżeństwa i pogodnej atmosfery domu. Nie jej matka została zdradzona przez ojca, ale ona sama, Angelina. Błada pod warstwą rózu, balansowała na granicy prawdziwego omdlenia, zimny pot spływał jej z czoła, kiedy na wpół przytomna schodziła po schodach.

O tej samej porze Florian Ambros wszedł do hallu hotelowego, rzucił okiem na zegar nad lożą recepcji, stwierdził, że zjawił się za wcześnie na kolację przed balem, na którą pan Ballard go zaprosił, spacerował więc, zatrzymując się to tu, to tam.

Wtedy ujrzała go Angelina. Stał u stóp schodów niby wysłannik niebios. Ten jedyny, jedyny raz Angelina nie kierowała się wyrachowaniem. Z ostatnich stopni zbiegła pędem, rzuciła się w ramiona Floriana, z gwałtownym szlochem przytuliła się do niego, wobec wszystkich eleganckich ludzi, wypełniających o tej porze hall hotelowy.

- Na miłość boską, co się stało, dlaczego płaczesz? No, opanuj się. A gdzie Maud? - spytał, zaskoczony.

- Nie mogę nic powiedzieć, nie mogę o tym mówić, to straszne, Florianie, chciałabym umrzeć...

- No, no, nie rób scen przy ludziach. Co się właściwie stało? Czy rodzice nie chcą cię zabrać na bal? Chodź, pójdziemy na górę, wszystko mi spokojnie opowiesz - zaproponował, bezwiednie wracając do formy „ty” z pierwszego okresu ich znajomości.

Angelina, szlochając rozpaczliwie, powiedziała, że nigdy już tam nie wróci, a kiedy próbował poprowadzić ją ku windzie, zesztyniała jak pod wpływem nagłego skurczu mięśni. Florian nic chciał dopuścić do tego, żeby hall hotelowy stał się

areną jego zmagania z płaczącą młodą dziewczyną, nie mógł też przemocą zawlec Anny na górę, do jej pokoju. Podjął więc wyjątkowo, jak na niego, szybką decyzję.

- Chodź, pojedziemy na mały spacer. Przeprowadził ją przez cały hall i dalej przez obrotowe

drzwi, minęli pełniącego służbę przy wejściu olbrzymiego Murzyna w śmiesznych bufiastych spodniach, po czym Florian zatrzymał fiakra.

- Do usług, wielmożny panie... Słucham, panie baronie... Dokąd ekscelencja rozkaże?

Chór usłużnych głosów, mżący deszczyk, parę kroków pod ogromnym parasolem Murzyna i Angelina poczuła się delikatnie wniesiona do wnętrza powozu.

W mroku i bliskości Floriana, owinięta jego peleryną, otoczona jego opieką, przy delikatnym akompaniamencie kropli deszczu, Angelina pograżyła się w atmosferze głębokiego wytchnienia. Wszystko było już znowu dobrze, piekło zamieniło się w raj. Przez chwilę jeszcze Angelina szlochała, ale tylko z powodu nieprawdopodobnej błogości. Kiedy Florianowi wydawało się, że się już wypłakała, odsunął się od niej, zapalił papierosa i tylko gwałtowny sposób, w jaki się zaciągał, zdradzał jego zdenerwowanie.

- Teraz będziemy rozsądni i pomówimy o tym, co się właściwie stało - zaproponował. - Przestań płakać, bo twoja śliczna buzia będzie źle wyglądała na balu.

Angelina wykrztusiła przez zaciśnięte zęby, że w ogóle nie pójdzie na bal, że raczej umrze, raczej zabije się, niż wróci do rodziny...

- Czy pokłóciłaś się z Maud? - dowiadywał się. - Może Maud ci coś powiedziała...

- Maud? Skąd panu to przyszło do głowy? My się nigdy nie kłócimy, za bardzo się kochamy, a Maud jest taka miła, taka dobra, ona by nawet muchy nie skrzywdziła. Nie, tu chodzi o mojego... ale zatrzymała się przed słowem „ojciec” i kiedy łonem sztucznie oficjalnym zakończyła:  
- To pan Ballard

sprawił mi przykrość i nie chcę go już nigdy widzieć - brzmiało to, jak echo słów jej matki.

Z początku twierdziła stanowczo, że woli umrzeć, niż wyjawic, jaką krzywdę ojciec jej wyrządził, ale już po chwili przedstawiła całe bezwstydné i oburzające przestępstwo pana Ballarda.

- Posłuchaj mnie - Florian z trudem opanował wyrozumiálny uśmiech - jesteś tak cudownie młodziutka i naiwna, że nie możesz jeszcze zrozumieć pewnych rzeczy. Ale musisz mi wierzyć: twój ojciec ma prawo do swojego własnego życia, tak jak ty kiedyś będziesz je miała. I nie powinnaś tak poważnie traktować tych jego drobnych przygód. Kto wie, czy później, kiedy lepiej zrozumiesz swego ojca, nie będziesz mu nawet trochę współczuła. I matce również. Życie skazuje na samotność, Angelino.

- Dobrze, Florianie, mów dalej, czuję się taka zagubiona - szepnęła prawie niedosłyszalnie.

Florian trochę niecierpliwym ruchem odsunął firanki, otworzył okienko i wyrzucił papierosa; nie objął już Angeliny.

- Przyznaj się, dokąd biegłaś, kiedy cię pochwytiłem w hallu?

- Nie wiem. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, co robię.

Podniosła wzrok ku niemu i spojrzała mu w oczy. W powozie było ciemno, ale w regularnych odstępach przesuwały się za oknem jedna po drugiej latarnie uliczne, oświetlając bladą i niewyraźną twarz Floriana, wydobywając z ciemności ostro odcinającą się biel gorsu, kamizelki i mankietów.

- Chciałam biec do ciebie. Do kogóż by innego? Zapalił następnego papierosa i wziął ją za rękę. Słyszała

tylko strzępy z tego, co mówił, pogrążona w łagodnej, ciepłej, sennej atmosferze przebywania z nim, sam na sam. Latarnia i znowu ciemność. Latarnia i ciemność.

- Pomóż mi, błagam, pomóż mi, nie zostawiaj mnie samej szepnęła.

- Nie jesteś sama. Jestem przy tobie, biedna maleńka, maleńka Angelino jego głos jak gdyby ochrypl.

Był to chyba jedyny w jej życiu moment miłości bez wybiegów, podstępów, bez wyrachowania, całkowicie szczerzej. Westchnęła, jak dziecko przez sen, i zarzuciła Florianowi ręce na szyję. Pochylił się nad nią i pocałował ją - a może to ona go pocałowała, to nie miało znaczenia. Otworzyła oczy i zobaczyła, jak drzewa o mokrych, błyszczących liściach przesuwają się obok leniwo człapiącego fiakra, z niezwykłą dokładnością widziała wzór, jaki krople deszczu tworzyły na szybie, i usłyszała jakby przekleństwo z ust Floriana. Ale przycisnął ją mocniej do siebie i znów pocałował. Olbrzymia karuzela świateł zaczęła się kręcić wokół niej, potem Florian odepchnął ją i nagle wróciła do rzeczywistości.

- Florianie, mój najmilszy, co my teraz zrobimy? Odsunął się w drugi kąt fiakra i zapalił papierosa.

- Teraz musimy się przyzwoicie zachowywać i czym prędzej wracać do hotelu. I tak już o wiele za długo jeździmy tym podejrzanym fiakrem, nie możemy wywoływać skandalu.

Angelina zdała sobie sprawę, że przejażdżka z mężczyzną, i to w zamkniętym fiakrze, bez przyzwoitki, była najbardziej kompromitującą rzeczą, jaka mogła się wydarzyć młodej dziewczynie. Jeżeli tego rodzaju przygoda nie kończyła się zaręczynami, dziewczyna była nieodwołalnie zgubiona. Anna przygryzła wargi. „Czy jesteśmy zaręczeni? Miejmy nadzieję, że tak. Niewątpliwie jesteśmy zaręczeni, przynajmniej nieoficjalnie. Florian będzie musiał porozmawiać z ojcem”. Zabawne, jak nieważne wydały jej się nagle drobne przygody ojca.

- Bardzo mi przykro, Angelino, że na chwilę straciłem głowę: przebacz mi i zapomnij o tym - oschły głos Floriana wytrącił ją z zadumy.

Nim się zorientowała, dojechali do hotelu.

Ledwo weszli do hallu, natknęli się na Maud, która patrolowała na korytarzu; miała zimne i wilgotne ręce, twarz czerwoną i spoconą, podbiegła do Angeliny.

Anno, na miłość boską, gdzieś ty się podziewała? Czyś ty oszalała, żeby zniknąć w ten sposób, właśnie dzisiaj?

wieczoru, i w dodatku w balowej sukni, bez szala, bez płaszcza! Tłumaczyłam cię, jak tylko mogłam, naprawdę, przez cały rok nie powiedziałam tylu kłamstw, co w ciągu ostatniej pół godziny, żeby nie dopuścić mamy do naszego pokoju. Naopowiadałam jej niestworzonych rzeczy, że dostałaś okropnego bólu głowy, że zażyłaś proszek i zasnęłaś, i nie można cię pod żadnym pozorem budzić. Gdzieś ty była? W jaki sposób ją znalazłeś, Florianie? Naprawdę, Aniu, czasem zachowujesz się zupełnie jak mała, niegrzeczna dziewczynka. Wiesz przecież, jakie ten bal ma dla mamy znaczenie, ale ciebie to zdaje się w ogóle nie obchodzi, że jej i nam wszystkim psujesz wieczór...

- Przestań, Maud - powiedziała Angelina. - Jeśli chodzi o popsucie mamie wieczoru, to już inni członkowie rodziny postarali się o to. Gdybyś wiedziała, co ja przeżyłam, to byś się wstydziła zwać na mnie odpowiedzialność za cokolwiek.

Maud spojrzała na Floriana i nagle ogarnęło ją zakłopotanie.

- Co się stało, Florianie. Spóźnił się pan, dlaczego tak dziwnie oboje wyglądacie? A może... może pan jej powiedział?

- Wszystko potem wytłumaczę, Maud. Angelina strasznie czymś się przejęła, ale wszystko jest już w porządku; ja, ja... sam się trochę zdenerwowałem. Potem pani wszystko opowiem.

- Jak ty wyglądasz! Twoje uczesanie! Jesteś zupełnie potargana, idź, doprowadź się do porządku. I jakie ty masz oczy, płakałaś? - Maud objęła Angelinę ramieniem. - Chodź, zrobimy ci okłady z rumianku i położysz się na parę minut, tylko nie za długo, bo już wszyscy czekają na ciebie z kolacją.

- Powiedz im, że ból głowy już mija i że za pięć minut będę gotowa - szepnęła do Maud i przemknęła się szybko do ich sypialni. -1 słuchaj, Maud, dziękuję ci, że mnie kryłaś. Flori ci wszystko wytłumaczy...

Odbyła się wspaniała kolacja we wspaniałej jadalni wspaniałego hotelu. Florian siedział między Angeliną a Maud. U jego boku Angelina czuła się jak aktorka, która gra główną



rolę na galowym przedstawieniu i skupia na sobie wszystkie spojrzenia. Kiedy wniesiono deser, ułożony na cukrowym filigranie i maître d'hôtel zapalił armagnac, pan Ballard wstał, gotów do wygłoszenia toastu. Wokół zapanowała cisza, kelnerzy w niemym oczekiwaniu stanęli za krzesłami. Uwaga innych gości skierowała się ku przeładowanemu kwiatami stołowi, na którego środku stała płonąca salaterka, oraz ku amerykańskim paniom w olśniewających balowych toaletach.

- Moi drodzy przyjaciele i szanowna pani generałowo, która stałaś się dla nas więcej niż przyjaciółką - zaczął pan Ballard. - Jest to właściwie pożegnanie, bo jutro musimy opuścić Wiedeń, chociaż przyjdzie nam to z wielkim trudem. Zarazem jednak jest to najszczęśliwsza chwila ze wszystkich, jakie danym nam było przeżyć. Mówię to nie tylko we własnym imieniu, ale także w imieniu mojej drogiej towarzyszki życia, którą mam zaszczyt i szczęście nazywać moją żoną. Trudno byłoby o odpowiedniejszy moment na ogłoszenie wiadomości, jaka dla wielu z nas nie będzie wielką niespodzianką, chociaż młodzi ludzie, których dotyczy, od dawna starannie ją ukrywali. Flori i ty, moja Maud, wnoszę toast za wasze zaręczyny. Ufam i życzę wam, żebyście zawsze byli tak szczęśliwi jak obecnie!

Flori i Maud, Flori i Maud. Wiwaty i uściski. Szampan perlący się w kieliszkach, małe niebieskie płomyczki nad talerzykami, promienny uśmiech na wszystkich twarzach. I młot, który ugodził serce Angeliny i rozbił je w kawałki. Czuła, jak jej serce pęka, słyszała nieomal trzask, z jakim się rozpadało. I ci Frânklowie, specjalnie zaproszeni na świadków jej ukrzyżowania. W osobach tych pięciorga hałaśliwych ludzi całe San Francisco oglądało jej klęskę. Siedziała oto w swojej prześlicznej balowej sukni, ze śladem pocałunku Floriana na dolnej wardze, podniosła kieliszek i piła zdrowie pary narzeczonych, i uśmiechała się.

Młodziutka Angelina miała pewną przedziwną zdolność. Umiała zachorować albo zemdleć, kiedy jej to było na rękę; ale

też potrafiła powstrzymać się od zemdlenia, kiedy rzeczywiście miała do tego powody. O tak, mogła bez trudu paść martwa i zepsuć cudowny wieczór zaręczynowy Floriana i Maud, zamiast tego jednak wstała, ucałowała siostrę, spojrzała Florianowi prosto w oczy i uśmiechnęła się mówiąc:

- Życzę ci szczęścia, na jakie zasługujesz.

Nie, nie zemdląca ani nie zdradziła się owego wieczoru, kiedy ogłoszone zostały zaręczyny jej siostry, i była z tego dumna do końca życia. Poszła na bal i tańczyła z arcyksięciem Józefem Albertem nie tylko jednego walca, ale trzy; gazety zrobiły wokół tego wiele szumu i następnego dnia cały Wiedeń o niej mówił. O zaręczynach Maud zaś wcale nie wspomniano.

Anna potrzebowała trzech dni na powzięcie decyzji, po czym napisała list do Clyde'a Hoppera Esq.

„Wielce Szanowny Panie,

Czy przypomina Pan sobie dziewczynę, której zdjęcie załączam? Tak, to ja...

\*

Maud Ambros przyglądała się krytycznie portretowi nieżyjącej pani Ballard, który po rozmaitych wędrówkach wylądował w salonie na ścianie nad kominkiem.

- Nie uważasz, że to jest najlepsze miejsce dla niej. Ma stąd widok na zatokę, tak jak do tego przywykła.

Angelina obojętnie skinęła głową. Zarzuciła na ramiona odziedziczony po babci Ballard kaszmirowy szal i przesunęła krzesło do bursztynowego żaru na kominku; mimo to było jej zimno.

- Zimno tu, prawda? - powiedziała, wzdrygając się. - Już prawie zapomniałam, jak zimno może być w San Francisco. Dotknij moich rąk. Czy uwierzysz, że odkąd opuściłam Hawaje, ani razu mi się nie rozgrzały.

Biedna siostrzyczko! Podobno w tropikach krew staje się rzadsza. Maud wciąż patrzyła na portret matki: fioletowy

atłas, srebrne winogrona, długi tren, głęboki dekolt, ogromny wachlarz ze strusich piór. - Czy to nie straszna moda? Pamiętasz tę suknię, Anno?

- Jak przez mgłę... - odparła pani Hopper. Nie mogła zapomnieć goryczy tego wieczoru w Wiedniu, goryczy ośmiu lat, które od tamtej pory upłynęły.

- Biedna mama! Taka była zawiedziona, kiedy pan Merryl odmówił wymalowania wszystkich dwudziestu dwóch winnych gron.

- Jej pokolenie nie miało zbyt dobrego gustu - orzekła Angelina z pobłażaniem.

- Oczywiście... Ale ona wkładała w to tyle wysiłku.

- Nie chodziło jej o siebie; marzyła tylko o tym, żeby nas dwie wychować na wytworne młode damy i wydać za dobrze sytuowanych panów...

Angelinę zmęczyły te wspomnienia. Czowała się od lat słaba; zapewne jej serce nigdy już nie przyszło do siebie. Na Hawajach, na plantacji Leihana, często ogarniał ją strach, że pewnego dnia znajdą ją umierającą na podłodze, zupełnie samą i bez pomocy na tym pustkowiu, daleko od miasteczka Hilo.

- Opowiadaj dalej, kochanie - usłyszała słowa Maud. - Mówiłaś o waszej posiadłości na wyspie...

- To była cudowna posiadłość! Wielka szkoda, że nie udało wam się nas odwiedzić. Zakochałabyś się w naszym domu.

...wielki, przestronny, lęk budzący dom, wysokie pokoje, puste ściany, zielonkawe, dzięki ruchliwym cieniom olbrzymich roślin tropikalnych. Wewnątrz panuje przygnębiający, bezsłoneczny półmrok. Na dworze zaś, przeszywające sztylety światła albo szare kłęby chmur, eksplodujące strumieniami deszczu z takim hałasem, jakby brygada doboszów bębniła dachu, jak okiem sięgnąć zniecierpliwiona monotonia niezmiernych pól trzciny cukrowej, ocean nudy, który o wschodzie słońca wchłaniał Hoppera wraz z jego ogromnym koniem, a o zachodzie wyrzucał go z powrotem zmęczonego, spragnio-

nego, brudnego. Moskity, muchy, jaszczurki i wszelkiego rodzaju robactwo. Nieznośna jednostajność, od czasu do czasu urozmaicona katastrofami: niespodziewany przypływ morza, wybuch wulkanu Mauno-Loa, pożar w cukrowni i to akurat wtedy, kiedy Hopper pożeglował na którąś z sąsiednich wysp w celu przeprowadzenia jednej z licznych inspekcji. Po powrocie zastał Annę we łzach, szlochającą, udręczoną.

- Powiedz mi, maleńka, dlaczego tak się denerwujesz? - pytał. - Jeśli czujesz się samotna, możesz przecież kazać osiodłać konia i pojechać w odwiedziny do sąsiadów. Albo zaproś sobie moich chłopców na kolację. Dlaczego czujesz się samotna, kiedy masz szesnaścioro służby, a każde z nich odgaduje twoje życzenie!

- Szesnaście osób służby domowej i nawet nie wiem, ilu ogrodników i chłopców stajennych - opowiadała Angelina siostrze. - Oczywiście, musieliśmy urządzić przyjęcia. Rozumiesz, właściciel plantacji - to pozycja na wyspach...

...Czasem bała się do szaleństwa tych obcych szesnastu służących, a plotki, jakie Beatrice zносиła nieustannie z kuchni na werandę, jeszcze pogarszały sprawę. Czuła, że ta gromada Japończyków, Chińczyków i tubylców, skradająca się bezszelestnie na bosych stopach, uniżona w jej obecności, staje się wroga i niebezpieczna, kiedy tylko się odwraca. Zżerała ją przy tym tęsknota do mgieł nad zatoką, do wiatru w San Francisco, do rodzinnego domu na Clay Street, i wielkie, przejrzyste łzy spływały jej po twarzy.

- Nie zniosę tego dłużej, po prostu nie wytrzymam - skarżyła się mężowi - zabierz mnie z powrotem na ląd. Hoppy, błagam cię, zabierz mnie do domu, póki mam siłę, by odbyć podróż...

- Posłuchaj, maleńka, wyszłaś za mąż za plantatora, który jest stworzony tylko do takiego życia. Leihana wspaniale się przecież rozwija, naprawdę nie znam piękniejszego miejsca na świecie. Te wyspy to istny raj i wszyscy są tutaj szczęśliwi. Dlaczego nie starasz się, żeby i tobie się tu podobało? Zrób to

dla mnie... A jak tylko zjawi się mały Hopper, będziesz miała towarzystwo.

...W trzecim roku zaczęły się kłopoty na plantacji. Plaga owadów wyżarła dziury w trzcinie cukrowej i w zyskach Hoppera. Przygnębiony troskami, coraz częściej spędzał noce na hałaśliwych naradach ze swoimi chłopcami.

- Opuśćmy Leihanę, wracajmy na kontynent, zrujnujesz zdrowie sobie i mnie - dręczyła męża Angelina.

Ale Hopper czuł się dowódcą na polu walki i nie chciał słuchać o odwrocie. Owady zostały pokonane, jednak w dwa lata później powstały nowe trudności. Tym razem wybuchł bunt w chatach robotniczych, zaś w domu państwa zapanował z trudem ukrywany niepokój. Ogarnięta paniką Angelina wysłała raz chłopca do cukrowni, by natychmiast sprowadził Hoppera. Kiedy przygalopował pokryty kurzem i pyłem, zastał ją leżącą na łóżku, żałośnie drobną i słabą, obezwładnioną strachem.

- To tylko moje głupie serce! Beatrice mówi, że w kuchni Takato chciał zakłuć nożem Ah Wonga, a ja jestem zupełnie sama. Wciąż jestem sama.

- Posłuchaj, nie jesteś wcale sama. Przecież ja zawsze jestem przy tobie. Wystarczy, żebyś mnie zawołała...

Ale nie było go przy niej, kiedy o pięć tygodni za wcześnie urodziła dziecko, przerażająco malutką, przerażająco brzydką dziewczynkę, której przyjście na świat wymagało czterdziestu ośmiu godzin bólów porodowych i zastosowania całej sztuki medycznej chińskiego lekarza z plantacji. Nie było Hoppera i wtedy, kiedy epidemia dyfterytu przeniosła się ze wsi Leihana do dworu i zabrała bliźnięta japońskiego ogrodnika, a potem także ich dziecko. Po pośpiesznym powrocie z jednej z sąsiednich wysp, Hopper płakał nad małą trumienką rozpaczliwie, a następnie upił się ze swymi chłopcami do utraty przytomności.

...odkąd straciłam moje dzieciątko, wszystko się dla mnie zmieniło. A potem ten mój wypadek, żeby już dopełnić miary

nieszczęścia... - powiedziała Angelina tak cicho, z takim rozziewającym uśmiechem, że tym razem Maud nie mogła powstrzymać się od łez. Położyła rękę na ramieniu Angeliny, jakby chciała pocieszyć młodszą siostrę i roztoczyć nad nią opiekę.

- Wiem, siostrzyczko, wiem wszystko. Ale poczekaj, niech upłynie trochę czasu, jesteś przecież taka młoda, będziesz jeszcze na pewno miała dziecko.

Kiedy Angelina stwierdziła, że już ani dnia dłużej nie wytrzyma swego wygnania w Leihanie, użyła szalonego podstępu. Raz kozie śmierć, powiedziała sobie, dosiadła nieujędzonego wierzchowca i zmusiła go do skoku przez o wiele za wysoki płot. Mogła skrócić przy tym kark (byłoby to słuszną karą dla Hoppera - myślała), ale złamała tylko parę żeber i odniosła lekkie obrażenia. W każdym razie jednak wypadek ten wywołał pożądany skutek: tak przeraziła swego męża, a on tak mało miał zaufania do szpitala w Hilo, że zdecydował się zawieźć ją na kontynent. Tylko na jakiś czas, usiłował sam siebie przekonać.

Angelina jednak miała całkiem inne plany.

- Czy rzeczywiście zamierzacie osiaść na stałe w San Francisco? Czy nie będzie ci brakowało Leihany? - spytała Maud. - A Clyde? Nie wydaje mi się, żeby on się dobrze czuł tutaj.

- Z czasem się przyzwyczai... będzie się musiał przyzwyczaić. Wiesz, strasznie się tym martwię, ale doktor Bryant orzekł, że nie wolno mi wracać do tropików. Uważa, że nie jestem dość silna, że tamtejszy klimat by mnie wykończył.

Maud spojrzała na nią z zadumą.

- Co się właściwie z nami obiema dzieje? Kiedy ja spodziewałam się urodzenia Joy, lekarze zawyrokowali, że podróżowanie mi zaszkodzi i odtąd muszę siedzieć spokojnie na jednym miejscu. Co prawda i podczas tournée Floriana niewiele było ze mnie pociechy. W Rzymie jest gorąco, w Sztokholmie lodowato, i zaziębienie, którego się człowiek

nabawił w Hamburgu, wlecze się za nim aż do Rio de Janeiro. Muszę Bogu dziękować, że Flori nie ma nic przeciwko temu, aby główną kwaterę zrobić w San Francisco. Wydaje mi się nawet, że mu się tu podoba.

- Naprawdę? Ale to miasto nie jest już takie, jak dawniej... Nawet nasz dom nie jest taki, jak dawniej, odkąd ty zaczęłaś w nim gospodarować - powiedziała Anna, licząc spojrzeniem wszystkie zmiany.

Gazowy żyrandol owijały teraz przewody elektryczne, imitację brokatu zastąpił teraz kwiecisty perkal, a między pokojami wisiały kotary.

- Trzeba było to wszystko pozdejnować ze względu na akustykę; Flori nie może ćwiczyć w pudełku wyłożonym watą.

- Czy nie wydaje ci się, że teraz ta akustyka jest czasem aż za dobra?  
- roześmiała się Angelina.

Cały dom rozbrzmiewał bowiem odgłosami ulubionych zajęć pana Ballarda, w których zagustował wkrótce po śmierci pani Ballard. Jeśli nie heblował i nie zbijał w suterenie okropnych krzeseł, to nastawiał w gabinecie swój nowy, luksusowy gramofon i z upodobaniem słuchał przeraźliwie głośnych tonów, jakie wydobywały się z tuby. W przerwach następowały małe, bezpretensjonalne intermezza na organkach, także w wykonaniu pana Ballarda.

- Czy nie marzysz czasem, żeby ojciec zaczął kolekcjonować znaczki? - spytała Angelina z lekkim rozbawieniem. - Dlaczego na litość boską Florian pozwala na te muzyczne popisy?

- To całkiem proste, kiedy Flori wraca do domu, ojciec zachowuje się cicho, jak myszka. Zresztą coraz więcej czasu spędza w majątku.

- To jeszcze jedno hobby, które ci nie przeszkadza?

- Co masz na myśli?

- Wiesz dobrze: tę babę, żonę Gomeza. Czy ona jeszcze tam jest?

- O tak! Od śmierci męża Lupita jest niezastąpiona:

troszczy się o majątek i o wszystko. To dobra, dzielna kobieta. Cieszę się, że ją mamy, bez niej ojciec czułby się bardzo samotny. r .

- Cieszysz się?... No tak, wiadomo, jacy są mężczyźni pod tym względem... - powiedziała Anna pobłażliwie. Ostatecznie była teraz mężatką, i to żoną Hoppera...

- Czy Clyde przyjdzie do domu na kolację? - spytała Maud przerywając jej.

- Nie, nie sądzę. Johnny O'Shaughnessy miał mu pokazać parę placów budowlanych, gdzieś daleko na Westend, a potem mieli zamiar pójść do klubu.

- Czy widziałas Johnny'ego? Zdziwiłabyś się, jak on się zmienił - powiedziała Maud z nieznacznym uśmieszkiem.

Odkąd pan Ballard dał młodemu O'Shaughnessy posadę w swojej firmie, prowadzącej handel nieruchomościami, John-ny'emu dzięki szczęśliwym spekulacjom zaczęło się dobrze powodzić. Jego otwarta irlandzka twarz, szczerze niebieskie oczy, mocne łokcie i umiejętność przekonywania stanowiły przy kupnie i sprzedaży placów poważną zaletę; Anna pozwoliła mu się już zaprosić na małe śniadanko do restauracji, ale nie uważała za potrzebne informować o tym siostry.

- Ojciec jest zdania, że młody O'Shaughnessy mógłby zrobić również karierę polityczną - powiedziała wymijająco.

- Hm, jeśli się wie, co ojciec sądzi o politycznej korupcji w naszym zarządzie miejskim i we władzach prowincjonalnych, to trzeba to uznać za wątpliwy komplement - zauważyła Maud. - Co on proponuje Clyde'owi?

- Nie mam pojęcia. Zdaje się, że chodzi o jakiś dom, który moglibyśmy wynająć na rok. Już najwyższy czas, żebyśmy mieli własne mieszkanie. Jeśli w ciągu tego tygodnia nie dostaniemy nic odpowiedniego, to postanowiłam przenieść się do hotelu. Nie możemy wam się naprzykrzać.

- Głupstwa mówisz, Anno! Nie ma mowy o hotelu, a poza tym liczyłam na to, że będziesz w domu, kiedy ja... Maud zdawała się szukać odpowiednich słów. Z pewnych przy-



czyn... myślałam, że wiesz... Opowiem ci to później... - przerwała, bo na schodach rozległo się szybkie dreptanie, chichoty i w drzwiach ukazała się Myszka.

- Jest tu ktoś, kto chciałby powiedzieć swojej mamusi dobranoc - oznajmiła i mała Joy, już w płaszczyku kąpielowym, wtoczyła się, jak miękka piłeczka. Za nią przyzeglowała Beatrice.

Joy była silnym, żywym trzyletnim stworzonkiem, z gęstwiną lśniących loczków. Wiatr wysmagał na spacerze jej puciołowate policzki, tak że były teraz ciemnoczerwone. W zaciśniętej piąstce trzymała wymiętoszone narcyzy.

- Joy przyniosła mamie kwiatki! - zawołała; umiała zupełnie dobrze mówić, jak na swój wiek.

Maud stała w głębi pokoju.

- Jakie śliczne kwiatki, dziękuję ci, moje złotko, połóż je tam na stoliku, dobrze?

- Bambino chce pocałować mamusię na dobranoc - powiedziała Beatrice i popchnęła dziecko ku Maud. Jednakże Myszka zagarnęła małą ramieniem, niby bosakiem okrętowym. Spojrzenia Myszk i Maud skrzyżowały się, i Maud powiedziała prędko:

- Nie chciałabym, żeby się Joy zanadto do mnie zbliżała, Beatrice, bo wciąż jeszcze nie pozbyłam się tego paskudnego przeziębienia. Spójrz, córeczko, rzucam ci całuska... O, już leci przez cały pokój... Czujesz go?... Bo teraz właśnie doleciał do twojej buzi.

- Skoro ja nie jestem zaziębiona, to może pozwolisz dziecku mnie pocałować na dobranoc, zamiast siebie? - spytała Angelina i aż ciarki ją przeszły z niecierpliwości.

Myszka puściła małą i Joy, zachęcona przez Beatrice, zbliżyła się z wahaniem do Angeliny, która wzięła miękkiego, ciepłego grubaska na kolana. Przyjemnie było trzymać dziecko w ramionach. W stosunku do własnego dziecka nie doznawała takiego uczucia. „Gdybym nie wyszła za mąż za Hoppera, ale za Floriana, Joy byłaby moim dzieckiem” - pomyślała.

- Posłuchaj tego tik-tak, dziecinko - powiedziała, usiłując pozyskać sympatię małej. Joy dała się przekupić, przyłożyła uszko do emaliowanego zegarka, przypiętego do bluzki Anny, i pograżyła się w zachwycie.

- Joy lubi Angelinę - szepnęła.

Wyciągnęła tłusciutkie, krótkie rączki, jak się tylko dało, żeby objąć Angelinę. Maud wciąż stała w głębi pokoju i patrzyła na tę scenę z roztargnionym uśmiechem. Rozżarzone węgielki osypywały się w kominku, hiacynty rozsiewały dokoła ciężki, słodki zapach, z pokoju ojca dobiegały pierwsze tony Habanery z Carmen, po czym szczęknięły drzwi wejściowe.

- To Flori - powiedziała Maud.

Angelina trzymała Joy w ramionach, póki Flori nie wszedł do pokoju: była to taka wdzięczna poza.

- Tak wczesnie wracasz? Miła niespodzianka! - powiedziała Maud cicho.

Trzepocząc się jak rybka, Joy ześlizgnęła się z kolan Angeliny i pobiegła ku ojcu.

- Najgorsze, że wpadłem tylko na chwilę. Muszę spędzić wieczór z koncertującym u nas Janem Kubelikiem i jego żoną. Oni bardzo by chcieli ciebie poznać, Maud. Myślałem, że może mi się uda ciebie namówić? No, dobrze, dobrze, kochanie, jeśli nie masz ochoty, to dam ci spokój. Myszka! Proszę cię, przynieś mi „cesarzową”, Jan ma ogromną ochotę je wypróbować. Joy, przestań mnie łaskotać, bo cię ugryzę. Beatrice, zabierz ją. Ależ oczywiście, przyjdę ci powiedzieć „dobranoc”, gdy będziesz w łóżeczku - i dopiero kiedy oddał roześmiane, popiskujące dziecko i ucałował ręce Maud, czule i długo, dopiero wtedy jak gdyby dostrzegł Angelinę.

- Dobry wieczór, najpiękniejsza na świecie - powiedział z mieszaniną uznania i żartobliwej ironii.

Dobry wieczór panu - odpowiedziała, usiłując dostroić się do jego tonu. - Nie mogę sobie przypomnieć, gdzieśmy się ostatnio widzieli?

Stanął za Maud, obejmując ją ramieniem, jakby pozowali

do ślubnej fotografii. Wyglądali jak najszcześniejsze małżeństwo. Był to radosny widok; rozdzierająco radosny, kiedy człowiekowi nie pozostawało nic innego, jak patrzeć na nich uśmiechać się dobrotliwie i życzyć wszystkiego najlepszego ' - Masz tu swoje skrzypce - oznajmiła Myszka, wnosząc czarny futerał. <sup>4</sup>

Florian otworzył pudełko, jakby się chciał upewnić, czy „cesarzowa” jest odpowiednio ubrana na tę uroczystą okazję Wyraz jego rąk zmienił się natychmiast, gdy spoczęły na instrumencie; ani kiedy dotykał Maud, ani kiedy głaskał córeczkę, nie promieniowała z nich tak żywa tkliwość i namiętność Angelina nie mogła oderwać wzroku od tych rąk rozchylających trzy jedwabne chustki: jedna biała z monogramem, druga barwy czerwonego wina, trzecia z miękkiego kwiecistego brokatu, spowijały cenne skrzypce. Florian przesunął palcem po strunach - plunk, plank, plink. Potem zawinął instrument i ułożył w wybitym ciemnozielonym aksamitem futerale.

- Ależ z ciebie łajdak, Flori - powiedziała Myszka. - Chcesz Kubekowi pokazać „cesarzową” tylko po to, żeby zzieleniał z zazdrości.

- Umiesz czytać myśli, Myszko! - żartował Florian Zamknął futerał.

- Dobranoc, moje złotko. Serwus, Myszko. Ciao, Beatrice - Dotknął ręką jej dłoni: - Do widzenia, Angelino

Hopper nie miał rąk, tylko łapy: rude włoski porastały jego grube palce. Był cały owłosiony jak zwierzę, budził w niej wstręt od pierwszej nocy, kiedy została jego żoną

Drzwi wejściowe zatrzasnęły się, Florian wyszedł. Ojciec znów zaczął grać na organkach.

- Może posiedzimy jeszcze trochę przy kominku - zaproponowała Maud. - Chciałabym z tobą o czymś porozmawiać. Chodzi o moje przeziębienie. O tę chroniczną historię z oskrzelami. To się już strasznie długo ciągnie, pamiętasz, żartowałyśmy zawsze z mojej podwyższonej temperatury? Doktorowi

Bryantowi bardzo się to nie podoba. Wczoraj wezwał mnie do siebie i orzekł, że mam zajęte nie tylko oskrzela, ale i szczyty płuc. Tym katarem, oczywiście. To nie jest gruźlica, na pewno nie, ale doktor Bryant ostrzegł mnie, że może się ona wywiązać, jeżeli w porę nie zaczniemy działać.

- Nie chce mi się w to wierzyć - odpowiedziała Angelina. - Nie wierzę ani jednemu słowu doktora Bryanta i ty też nie powinnaś mu wierzyć. To szarlatan! Pamiętasz, jak zapakował mnie do łóżka stwierdziwszy szkarlatynę, chociaż najprawdopodobniej była to po prostu jakaś drobna dolegliwość żołądkowa.

Maud uśmiechnęła się spokojnie.

- Dobrze, dobrze, siostrzyczko, nie potrzebujesz mnie pocieszać. Czuję się o wiele lepiej, odkąd wiem, co powinnam robić. Pojadę do sanatorium Quisisana w Catskills. Stosowana tam nowa metoda leczenia działa cuda. Czytałaś może o tym w gazecie? Cebulki z Bermudów. Żadne bakterie nie mogą istnieć w pobliżu tych cebulek. Zwykle kuracja trwa nie dłużej niż cztery do sześciu tygodni.

Zapisałam się na piętnastego marca, żebym była zdrowa, kiedy zacznie się nowy sezon koncertowy Floriana. Tu i tak nie mam chwili spokoju, ciągle się boję, żeby Joy się nie zaraziła.

W głosie Maud zadźwięczała niepewność, wstała nagle z krzesła i poszła do wykuszu, udając, że ogląda hiacynty.

- Czy Flori o tym wie?

- Jeszcze nie. Rozmawiałam tylko z Myszką. Ona pomoże mi zawiadomić o tym Floriana, umie z nim postępować. Na pewno go to porządnie wytrąci z równowagi... Cóż za idiotyczna historia... i to akurat w momencie, kiedy on musi się skupić na przygotowaniu programu przed najbliższym sezonem.

- Nie martw się o niego, kochanie, to ci może zaszkodzić. Musisz teraz myśleć tylko o sobie. Możesz na mnie polegać, już ja się nim zaopiekuję, jak ciebie nie będzie...

Dziękuję ci, siostrzyczko, ale to najlepiej zrobi Myszka.

Tak go zajmie pracą, że nie będzie miał czasu na rozmyślenia. Ale pozostaje jeszcze dom i moja mała Joy.

- Nie martw się tym. Postaram się, żeby nie odczuła braku ciebie, przynajmniej nie za bardzo. Będę się z nią bawiła, chodziła na spacerki do parku i... wiesz, jak ją kocham, będę jej strzegła, jakby była moim własnym dzieckiem, obiecuję ci to. Będę się troszczyła o twoje dziecko, a ty powinnaś się troszczyć o siebie, zgoda? Postaraj się jak najprędzej pozbyć tego głupiego kataru, a za parę tygodni wrócisz i zapomnisz o wszystkim. Taka duża, silna kobieta! Nie rób z tego wielkiej historii. To przecież głupstwo, tylko katar, sama to chyba rozumiesz.

Pocieszała Maud serdecznie, miała jednak w duchu nadzieję, że kuracja może potrwać trochę dłużej. Trzy miesiące na pozyskanie sympatii dziecka; trzy miesiące pod jednym dachem z Florianem, który będzie osamotniony i wdzięczny jej za dotrzymanie mu towarzystwa - to też nie do pogardzenia.

Cebulki z Bermudów? - myślała. Przypuśćmy, że te błogosławione cebulki nie działają? Przypuśćmy, że Maud jest nieuleczalnie chora, tylko doktor Bryant nie powiedział jej prawdy? Jak długo może żyć człowiek chory na gruźlicę? Anna przypomniała sobie nagle to, co wyczytała w „Lady's Home Journal”: że ta straszna choroba szerzy największe spustoszenie wśród osób w wieku dwudziestu do trzydziestu lat. Jeszcze zanim wstała i czule uściskała Maud, zdążyła ją pogrzebać i siebie ustawić przy boku Floriana.

\*

Maud wyjechała, a w domu wszystko toczyło się niezmiennym trybem, aż do owej nocy, kiedy Florian zmuszony był znokautować Clyde'a Hoppera.

Angelina wzięła gorącą kąpiel i położyła się już do łóżka. Dobrze się czuła w tym pokoju, który dawniej dzieliła z Maud.

Teraz dzieliła go z Hopperem, ale na szczęście nie tej nocy. Kiedy wracał późno do domu, co mu się często zdarzało, słano mu na kanapce w okrągłym pokoju w wieży. Im trudniej mu było znosić miejskie życie, tym bardziej wzrastał dręczący go niepokój, tym rzadsze były noce, kiedy wracał na Clay Street o przyzwoitej porze. Anna obserwowała to stopniowe staczanie się męża bez wielkiego żalu ani współczucia. Mroźne milczenie, z jakim znosiła jego i jego pieszczoty, sprawiało, że czuł się wciąż łajdakiem i niepoprawnym przestępcą, to zaś pchało go coraz głębiej w circulus vitiosus, gdzie żal i skrucę można było utopić w sztucznie wywoływanym poczuciu własnej wartości. Szczęście znajdował w pijaństwie i coraz to nowych wybrykach. Od czasu do czasu Hopper nieporadnymi słowami usiłował wyjaśnić istotę swoich kłopotów.

- Czy ty tego nie rozumiesz, maleńka? Mężczyzna musi się jakoś żyć. Gdybym był na plantacji, mógłbym to z siebie wypocić, wypracować, ale wysiadywanie w biurze - fatalnie na mnie wpływa. Znasz mnie przecież, Aniu, nie jestem taki zły...

- Nie, nie uważam cię za złego człowieka - odpowiadała Ania - tylko po prostu okropnie się na tobie zawiodłam. Gdybym domyślała się niskich stron twojego charakteru, nigdy nie wyszłabym za ciebie... Nie mam o to najmniejszej pretensji do ciebie, to tylko moja wina. Byłam wtedy takim niedoświadczonym, młodym stworzeniem, a teraz brak mi sił, żeby się z tym wszystkim uporać.

To zaś, czego nie powiedziała, dała mu wyraźnie do zrozumienia: jestem po prostu za dobra, za delikatna, za czysta dla takiego gruboskórnego, nieopanowanego potwora, jak ty.

Ogień trzeszczał na kominku, Angelina zgasiła światło. Myślała o Florianie. Zasypiała już prawie, kiedy w przedpokoju na dole rozległ się dzwonek telefonu. Zanim wstała i narzuciła kimono, już Myszka i Florian pędzili po schodach na dół. Podeszła do lustra i rozpuściła włosy, potem dopiero wyszła na schody i spojrzała z góry na hall. Myszka mówiła coś z ożywieniem w słuchawkę. Florian stał za nią, był jeszcze ubrany, a jego biała twarz wyraźnie odcinała się od czarnej aksamitnej kurtki.

- Ci przekłęci idioci napędzili mi strachu swoim dzwonieniem... Myszko, gdzie jest mój płaszcz?... Myślałem już, że coś się stało Maud. Myszko, przygotuj mocnej kawy i trzeba porządnie napalić w łazience... Pewno przyda mu się kąpiel - usłyszała Angelina, kiedy pędem zbiegała ze schodów. Myszka podawała już Florianowi płaszcz.

- Kto to dzwonił? Czy ktoś z majątku? Może ojcu coś się stało?

- Nie, nie, to nic ważnego. Cholernie głupia historia! A ty kładź się spać, Angelino, nie będziesz nam potrzebna - powiedział dość nieuprzejmie. Zdawało się, że dopiero po chwili ją naprawdę zauważył, jej jasne włosy spływające na plecy, jej kimono odsłaniające długą, cieniutką nocną koszulę.

- Burza w szklance wody - dodał trochę grzeczniej. - Już ja to wszystko załatwię.

Otworzył drzwi z łańcucha i wyszedł.

- Co się stało, Myszko, dokąd on pognął?

- Nic takiego - odparła sucho Myszka. - Może to panią zdziwi, ale tego rodzaju historie to dla niego nie nowina. Od siedemnastego roku życia musiał raz po raz wyciągać swoich braci z podobnych paskudnych sytuacji i dbać przy tym o zachowanie nieskazitelnej opinii i honoru rodu.

- Kto się znalazł w paskudnej sytuacji? - spytała Angelina. Ale z góry znała odpowiedź.

Co prawda miałyby dość czasu na ubranie się, zanim Florian przywiezie jej męża, ale postanowiła tego nie robić. Wyszczotkowała i spryskała perfumami włosy, po czym związała je luźno czarną aksamitką. Zrobiła przed lustrem próbę z różem, ale doszła do wniosku, że jej naturalna bladość, podkreślona przez ciemne wzorzyste kimono lepiej pasuje do tej przykrej sytuacji.

Nagle usłyszała, że przed dom zajechał powóz. Miała lodowate ręce. Wyszła z pokoju i spojrzała w dół na hall, włosy

jej zwisały przez poręcz schodów, jak czyjeś tam długie włosy w jakiejś tam bajce. Hopper był w gorszym stanie, niż się spodziewała. Pozwolił się zawlec do hallu jak worek mąki, jak brudny worek, który spadł z wozu i został podniesiony z ulicznego błota.

- Położmy go tutaj - zwrócił się Florian do woźnicy i tymczasem umieszczono Hoppera na ławce w hallu.

Angelina poruszyła się i Florian spojrział w górę:

- Dlaczego nie śpisz, Angelino?

- Jakże mogłabym spać? Byłam przecież okropnie niespokojna.

- Nie ma powodu do niepokoju. Clyde'owi zdarzył się mały wypadek, ale jutro rano wszystko będzie dobrze. Proszę cię, zrób mi tę przyjemność i wróć do swego pokoju, już ja się nim zajmę. To są czysto męskie sprawy.

- Nie potrzebujesz być taki piekielnie taktowny. Już nieraz widziałam Hoppera w podobnym stanie - powiedziała spokojnie i zeszła ze schodów.

Hopper zgubił płaszcz i kapelusz, marynarkę miał podartą, szelki odpięte. Obrzęknięta powieka zwisała nad jego prawym okiem, ktoś zakleił mu plastrem ranę biegnącą od czoła przez całą czaszkę. Najgorsze jednak było to, że lekarz na posterunku policji uznał widocznie za konieczne ostrzyć go do skóry. Bez swej zuchwałej czupryny, Hopper przypominał owych podejrzanych osobników, których podobizny widnieją na listach gończych. Drżąc z obrzydzenia i bez cienia litości Anna oglądała to spustoszenie. Hopper usiłował otworzyć oczy i wykrzywił się okropnie, kiedy prawe oko odmówiło mu posłuszeństwa.

- Ach, więc to tak... - stwierdził rzeczowo, po czym dostrzegł Angelinę.

Bardzo mi przykro, maleńka, słowo daję - bełkotał, starając się panować nad spółgłoskami. - Fatalne piwo podają w tym klubie! Po prostu ohyda!

Angelina najchętniej powiedziałałaby mu otwarcie, co ó tym



wszystkim myśli, i tylko obecność Floriana powstrzymywała ją od tego.

- Możesz sam wejść po schodach, czy mam ci pomóc? - spytała tylko.

- Daj spokój, Angelino, ja go zaprowadzę do łóżka. Chodź Clyde, trzymaj się mnie - mówił Florian.

Chciał pomóc Hopperowi wstać z ławki, ale tamten odepchnął go z nieopanowaną i zaskakującą siłą pijanego.

- Idź do diabła, obejdę się bez ciebie - warknął ze złością. Ruszył sztywnym krokiem naprzód, ale już po trzech krokach runął jak długi.

- Szkoda! - stwierdził obojętnie i zaczął mozolnie podnosić się z ziemi.

Szukając wokół siebie oparcia trafił na kimono Angeliny, podciągnął się przy jego pomocy w górę, aż ukląkł przed nią. Dreszcz ją przebiegł, ale jeszcze się trzymała; rzuciła tylko Florianowi błagalne spojrzenie, które było niemym, a jednak głośnym wołaniem o pomoc.

Florian zareagował natychmiast:

- Dość już tego, Clyde - powiedział i ujmując Hoppera pod ramiona, próbował dźwignąć go na nogi.

Hopper jednak stawiał opór. Na kolanach, obejmując nogi Angeliny w jedwabnym kimonie, spoglądał ku niej z psim oddaniem, które nie bardzo pasowało do jego zniekształconej twarzy.

- Błagam o przebaczenie, przepraszam... złamałem słowo honoru... zachowałem się jak świnia... nie jestem wart być twoim mężem.

- Nie dotykaj mnie - odpowiedziała zimno.

Ale teraz dokonała się jedna z owych gwałtownych przemian, które przerzucają pijanych z jednej krańcowości ich żalosnego stanu w drugą. Stał wyprostowany w całej swej okazałości, śmiertelnie urażony.

Odgadujesz moje życzenia - powiedział. - Bądź spokojna, nie mam najmniejszego zamiaru cię dotykać. Niczego od

ciebie nie potrzebuję. Co ty masz na zbyciu, mogę dostać w mieście o wiele taniej i w lepszym gatunku.

To, co zaczęło się pokornym usprawiedliwianiem, zamieniło się w gwałtowną napaść. Chwiejnym krokiem, wygrażając pięściami zbliżał się do Angeliny. Rzuciła się po schodach na górę, tak przerażona, że nie próbowała nawet krzyżeć. To Myszka krzyknęła:

- Uważaj, Flori! Twoje ręce!

W tejże chwili hukiem runęła ze słupka u stóp schodów brązowa statua z kolorowymi lampkami. Angelina obejrzała się i zobaczyła Hoppera, który na uginających się kolanach, machając rękami stał oparty o ścianę, ranny i tym groźniejszy. Florian wydawał się natomiast zdumiewająco spokojny.

- Bardzo mi przykro, Clyde, ale... - powiedział wymierzywszy celny lewy prosty w szczękę Hoppera.

Hopper osunął się po ścianie na ziemię i upadł jak zmięty łachman. Oprzytomniał, potrząsnął głową, dotknął podbitego oka, brody, bez słowa, czepiając się poręczy schodów, wdrapał się na górę, jak ślepy wyminął Angelinę i zniknął w swoim pokoju na końcu korytarza. Zaraz potem Florian stanął obok Angeliny. Uśmiechnęła się do niego drżącymi ustami, nigdy nie była bardziej bezradna niż w owej chwili.

- Angelino - powiedział - nie miałem pojęcia, jak twoje sprawy wyglądają...

- No, to teraz już wiesz - odparła ledwo dosłyszalnie. - Teraz wiesz, jak wyglądało moje życie przez te wszystkie lata...

I wtedy dopiero pękły wszelkie zapory: kryjąc twarz w czarnej aksamitnej kurtce Floriana pozwoliła wreszcie płynąć swym bezgłośnym, jasnym i tak urzekającym łzom. Objął ją ramieniem i gładził po włosach.

- Czy Clyde traktował cię kiedy tak, jak dzisiaj?

- Ach, Florianie, gdybyś wiedział, jaki on bywał. To brutal!

- Nie zależy ci na nim?

Potrząsnęła głową na znak gwałtownego protestu.

- Na miłość Boską, więc dlaczego za niego wyszłaś? Wyprostowała się, ujrzała w lustrze swoją bladą, czarującą twarz i patrząc nieruchomo w odbite w lustrze oczy Floriana szepnęła:

- I ty mnie pytasz, dlaczego za niego wyszłam? Jak możesz o to pytać, Florianie? Jak gdybyś sam nie wiedział...

- Zrobiło się okropnie późno i wszystkim nam potrzebny jest sen - powiedział Florian z niezręcznym pośpiechem.

- Nie będę mogła zasnąć. Proszę cię, Flori, nie zostawiaj mnie teraz samej...

- Czekaj, przyniosę ci proszek nasenny, mam parę w swoim pokoju - powiedział.

Uczepiła się go drżąca i zrozpaczona.

- Okropnie mi zimno, to ze strachu, co ja zrobię, jak on tu przyjdzie i zechce wyładować na mnie wściekłość za to, że go znokautowałaś? Nie wiesz, jaki on potrafi być gwałtowny po pijanemu. Nie możesz mnie teraz zostawić samej, musisz mi pomóc. Ach, Flori, tak się boję i jest mi przeraźliwie zimno.

- Cicho, cicho, uspokój się - powiedział raczej do siebie, niż do niej. Zaprowadził ją delikatnie do łóżka, poprawił poduszki i przykrył ją z taką samą tkliwością, z jaką kładł do łóżeczka małą Joy. Wreszcie Angelina uspokoiła się, zamknęła oczy, czuła słoneczne ciepło na powiekach.

- Myślałam, że jestem na ciebie zła - szepnęła. - Wiem, że powinnam. Nie, nie jestem na ciebie zła Florianie.

- Teraz musisz starać się zasnąć. Dobranoc, kochanie - powiedział prędko. - Z rana wszystko inaczej wygląda.

Kiedy doszedł do drzwi, jeszcze raz go zatrzymała.

- Słuchaj, Florianie, czy mi się zdaje, czy ty zawsze ode mnie uciekasz? Dlaczego? Czy się mnie boisz? - zapytała.

- Tak, boję się ciebie. I siebie samego, jeśli już koniecznie chcesz wiedzieć. Dobranoc. Oboje jesteśmy teraz trochę wytrąceni z równowagi. Rano wszystko będzie wyglądało inaczej.

I drzwi się za nim zamknęły.

Nazajutrz ani Hopper, ani Florian nie zjawili się na śniadanie. Nie było nikogo prócz Myszki.

- Mąż panią przeprasza, ale nie zejdzie - powiedziała, sypiąc do kawy o wiele za dużo cukru.

- A Florian?

- Ach, byłabym zapomniała: Flori przesyła serdeczne pozdrowienia. Popłynął pierwszym promem do Tiburón. Ma zamiar posiedzieć teraz w willi w Belvedere i popracować nad koncertem Mendelssohna. Muszę kazać nastroić to przekłete stare pianino babci Ballard i zobaczyć, czy dam sobie z nim radę. Flori bał się, że Hopperowi byłoby nieprzyjemnie spotkać się z nim po wczorajszym wieczorze.

- Nieprzyjemnie? Hopperowi? - wykrzyknęła Angelina.

- Oczywiście. Nie może pani wymagać od tych dwóch mężczyzn, żeby przebywali pod jednym dachem. W każdym razie dopóki pani tu jest, moje złotko.

Jak się później okazało, Hopper był zamieszany w mały skandal w związku z bijatyką, z powodu której policja musiała wkroczyć do jaskini gry Lung Foha. Było z tej racji trochę szumu w gazetach, trochę plotek w klubach i trochę oburzonych szeptów w gronie pań. W tydzień później Hopper wyjechał na Hawaje.

\*

18 kwietnia przypadały urodziny Angeliny. W ciągu ostatniego tygodnia Florian wrócił raz ze swej pustelni na przeciwległym brzegu, żeby zobaczyć córeczkę. Razem z Angeliną zaprowadził małą Joy do sklepu w dzielnicy handlowej, żeby jej kupić buciki, razem bawili się z nią i dokazywali, a potem siedzieli na podłodze w dzieciennym pokoju i mała Joy między nimi, jakby była ich wspólnym dzieckiem. Rozmawiali ze sobą, jak para dobrych, starych przyjaciół. Przykrego tematu nocy upamiętnionej pijaństwem Hoppera w ogóle nie poruszano.

- Dostałem telegram od Maud - powiedział Florian. - Z surowym poleceniem uczczenia twoich urodzin, ponieważ ona nie może tego zrobić, a ojciec zapewne nie przyjedzie z majątku. Serdeczne życzenia i tak dalej.

- Bardzo dziękuję, Flori. Jak to miło ze strony Maud, że o tym pomyślała! Już sama się nad sobą litowałam, bo nie przypuszczałam, że ktokolwiek będzie pamiętał o moich urodzinach, a strasznie lubię, kiedy robi się dużo szumu w związku z tym, że staję się o rok starsza.

- No, to świetnie! A w jaki sposób wasza wysokość raczy obchodzić tę uroczystość? Proszę wyrazić swoje specjalne życzenia, nie przekraczając granic możliwości biednego muzyka.

- A gdybyś mnie tak wziął w czwartek do opery? Oh, Flori, zrobisz to?

Wahał się przez sekundę, a potem powiedział z obojętną uprzejmością:

- Ależ oczywiście, Angelino, z największą przyjemnością.

Całe San Francisco stawiało się na wielkim galowym przedstawieniu „Carmen”, z którym zespół Metropolitan przybył na gościnne występy do starego gmachu opery przy Mission Street. Angelina w wieczorowej sukni z czarnego velour chiffon, z nagimi ramionami i w olbrzymim czarnym kapeluszu, pod którym jej drobna twarzyczka jarzyła się niby biały płomień, odbyła u boku Floriana swoje wielkie entrée. I oto rozległy się owe szepty, owe słowa podziwu, o których marzyła przez wszystkie te lata: - Nie wiesz, kto to taki? - Kim jest to prześliczne stworzenie, któremu Ambros towarzyszy? Młodsza z sióstr Ballard? Czy pani widziała jej naszyjnik? Takie szafiry to rzadkość. Nadzwyczajne! Uderzająco piękna para z tych dwojga! Jakby byli stworzeni dla siebie...

Przez pierwsze dwa akty Angelina zajęta była przede wszystkim oczekiwaniem na główny antrakt, który dla niej, jak i dla wielu innych widzów, stanowił najważniejszą część wieczoru. Mimo to żywiołowość opery wytrącała ją chwilowo

z równowagi. Podczas arii z kwiatem Don Josego poczuła gwałtowną potrzebę dotknięcia ręki Floriana i znalazła ją ogołoconą z rękawiczki, jakby czekała na jej dłoń.

Je ne sentais qu'un désir,  
un seul désir, un seul espoir.

Błogość! Cztery minuty błogości! Potem oklaski. Brawo, Caruso, bis, bis! Wybuch entuzjazmu omal nie rozsadził gmachu. Cały teatr, od najwyższej galerii aż po najdroższą lożę, połączył się w jedną symfonię zachwyconych głosów i frenetycznych oklasków.

Przedstawienie nie skończyło się jednak, gdy po ostatnim ukazaniu się, wywoływanych przez publiczność śpiewaków, zgasły światła w wielkim żyrandolu. Dalszy ciąg przedstawienia odbył się w Palace Hotel, gdzie wspaniały bankiet zgromadził całą elitę miasta, gdzie wszyscy pili zdrowie wszystkich, gdzie Florian wypił za wiele szampana, a Angelina u jego boku bez trudu zapomniała, że nie jest jego żoną. Ten wieczór był szczytem najwyższych uniesień, apoteozą wielkiego widowiska San Francisco.

Stary O'Shaughnessy czekał z powozem. Była ciepła noc, wiatr uspokoił się, powietrze było nieruchome. Angelina wyjęła szpilki i uwolniła włosy od wielkiego kapelusza, zdjęła zapięte na osiemnaście guziczków rękawiczki i wsunęła dłoń w dłoń Floriana.

- Zdaje się, że się trochę wstawiłam - oświadczyła. - Proszę cię, Flori, uważaj na mnie, nie pozwól mi robić głupstw.

- Ja też chyba jestem wstawiony.

- Nie przejmuj się tym, dziś są moje urodziny i jestem strasznie szczęśliwa. Czy ty też jesteś szczęśliwy?

Florian zdawał się poważnie zastanawiać nad tym pytaniem.

- Tak, jestem szczęśliwy, bo dostałem bardzo pocieszający list od Maud - powiedział, nagle trzeźwiejąc.

Angelina знаła ten list. Dwa dni leżał na srebrnej tacy w hallu, zanim Florian przyjechał do miasta. Oczywiście

otworzyła ów list nad parą i przeczytała go. Maud czuła się lepiej... „już tylko trzy czy cztery tygodnie... niech Peggy nie zapomni włożyć kulek przeciwmolowych do twego zimowego płaszcza... pozdrów ode mnie Anię... Joy będzie niedługo potrzebowała większych buczków, kup je u Ingersolla...” i tak dalej. Niezbyt pasjonujące, pomyślała Angelina, zakleiwszy starannie kopertę. Typowy list małżeński. Ach, do diabła, dlaczego on właśnie teraz przypomniał o Maud.

Przed podjazdem nie paliło się światło.

- Czy masz klucz od domu? O, w hallu jest ciemno. Myszka zapomniała zostawić światło...

- Poczekaj, zapalę lampę. No, już! Dobranoc, Angelino, serdeczne dzięki za ten wieczór. Muszę się śpieszyć, bo Jake Watts czeka na mnie ze swoją łodzią, obiecał mnie przewieźć na drugą stronę.

- Kto to taki ten Jake Watts? Czy ja go znam?

- Chyba tak. Jest właścicielem małej gospody w Tiburon. Zaprzyjaźniliśmy się.

- Twój przyjaciel Watts może parę minut poczekać. Proszę cię, Flori, nie uciekaj tak prędko. Ja wiem, że to dziecinada... aleja się zawsze boję sama wchodzić do domu w nocy. Tak mi się teraz w głowie kręci, że nie wiem, jak zdołam wejść po schodach!

Dawne, odwieczne marzenie: weź mnie na ręce. Zobaczyła swoje niewyraźne odbicie w lustrze koło wieszaka, Florian stał za nią: zrzuciła z ramion pelerynkę z szynszyli. Ramiona załśniły matową bielą na tle czarnej sukni.

- Słuchaj, Flori, od dawna chciałam cię o coś zapytać. Ale musisz mi odpowiedzieć prawdę. Dlaczego ożeniłeś się z Maud?

Dlaczego ja... Cóż to za pytanie? Bo ją kocham.

To nieprawda i ja ci nie wierzę! Maud jest miłym, dobrym człowiekiem, ja ją też kocham, i jest najlepszą siostrą pod słońcem, ale ona jest siostrą dla wszystkich, tak, tak, także dla ciebie. Dlaczego nie jesteś szczery? Ożeniłeś się z nią z wdzięcz-

ności, bo pomogła ci zdobyć skrzypce, które koniecznie chciałeś mieć. Miłość to zupełnie co innego... Chwycił ją za ramiona i zaczął potrząsać.

- A co ty wiesz o miłości? - spytał, z trudem panując nad sobą. - Czy kobieta taka jak ty, może zrozumieć Maud? Maud... to znaczy dawać, dawać i jeszcze raz dawać. Ona rozdaje samą siebie. Jest bogata i hojna bez granic. Maud to cisza i spokój... Do diabła, nie mówmy lepiej o Maud, jeżeli nie masz nic przeciwko temu. Ty jej nigdy nie zrozumiesz. Ale chciałbym, żebyś jedno wiedziała i uwierzyła mi: kocham Maud.

- No dobrze, więc kochasz Maud! W takim razie zapytam cię o co innego. Jeżeli kochasz Maud, to dlaczego mnie pocałowałeś w Wiedniu?...I nie mów mi, że to nie miało znaczenia i że tego nie pamiętasz, bo ja wiem: ty o tym nie zapomniałeś. Dlaczego?

- Mogę ci powiedzieć, dlaczego. Bo ty tego chciałaś, bo mnie sprowokowałaś. Bo postawiłaś mnie w sytuacji, w której mężczyzna nie może powiedzieć: nie.

- Aha. Z żadnej innej przyczyny! A ty nie miałaś ochoty mnie pocałować? I teraz nie masz na to ochoty?...

Wciąż jeszcze stali przed lustrem w słabo oświetlonym hallu. Zamykając oczy Angelina widziała ich stapiające się ze sobą odbicie. Pograżali się w czerwonej jak wino, wirującej ciemności, tak spragnieni, pomyślała, wciąż beznadziejnie spragnieni. Florian pierwszy się ocknął. Cofnął się gwałtownie, odepchnął ją niemal od siebie.

- No tak. Teraz już wiesz - powiedział ochryple. - Wiedziałaś o tym od początku, prawda? Jesteś wreszcie zadowolona?

Wiedziałałam o tym... zawsze. Nie kochasz Maud, kochasz mnie.

To zupełnie co innego. Nie róbmy głupstw, Angelino, oboje nie jesteśmy przecież wolni. Ja... wybacz mi, znowu na chwilę straciłem głowę. To się już nigdy nie powtórzy. Śpij dobrze. Przebacz mi i zapomnij o wszystkim. Dobranoc!



Później nigdy nie mogła sobie uzmysłwić, czy obudziła się na parę minut przedtem, czy też pierwszy wstrząs wyrwał ją ze snu. Nigdy sobie dokładnie nie przypomniała tych pierwszych minut trzęsienia ziemi. Było to dudnienie, ale niepodobne do grzmotu, tylko raczej do groźnego warczenia. Wszystko tańczyło, pokój, dom, miasto, może cała ziemia. Wszystkie buteleczki z perfumami i pudełka z pudrem zostały z hałasem zmiecione z toaletki, za nimi poszła kasetka z biżuterią, pękła spadając, tak że wyleciały z niej szafiry. Potem lustro runęło na spiętrzającą się podłogę. Obraz znad łóżka spadł ze ściany prosto na jej pierś, kawałek gipsu oderwał się od sufitu i uderzył ją boleśnie w twarz. Oczy bolały ją od gruboziarnistego kurzu, zęby zgrzytały o trzeszczące jak piasek kawałki gipsu. Angelina była jak sparaliżowana i nawet gdyby przyszła jej do głowy myśl o ucieczce, nie byłaby w stanie ruszyć się z miejsca.

- Wielki Boże, to trzęsienie ziemi - powiedziała głośno.

Nie było to pierwsze trzęsienie ziemi, jakie przeżyła w San Francisco, ale obecne przybrało znaczenie większe rozmiary. Z dziecinnego pokoju słychać było żałosny płacz małej Joy

i dreptanie Beatrice, wzywającej wszystkich świętych. Hałas trzeszczącego, grzmiącego zniszczenia narastał w ciągłym, nieopisanym crescendo: pęknięcie drewnianych belek, zgrzyt metalu, dzwoniąca lawina tłukącego się szkła.

Było to przed wschodem słońca, niebo miało zieloną barwę niedojrzałego jabłka. Dwie wygięte ramy okienne wypadły i z cienkim brzękiem wylądowały na daszku nad podjazdem. Sztywność członków nieco ustąpiła, Angelina wstała i przeszła ostrożnie po gruzach pokrywających podłogę. Jej emaliowany zegareczek, który wisiał obok łóżka w małym haftowanym pantofelku, jakimś cudem ocalał, ale w chwili gdy trzęsienie ziemi się zaczęło, stanął. Była wtedy piąta trzynastka. Drżącymi palcami machinalnie go nakręciła. Płacz Joy umilkł i w chwilę potem Beatrice otworzyła drzwi.

Bardzo silne - zawołała - bardzo silne trzęsienie ziemi! Stań pod drzwiami, tam najbezpieczniej!

Trzymała na ręku Joy, owiniętą w starą, czarną wełnianą chustkę. Dziecko miało oczy rozszerzone ze strachu, dostało czkawki ze zdenerwowania i szukało pociechy we własnym paluszku, który włożyło do buzi.

- Przyjdę za chwilę. Zajmij się przez ten czas dzieckiem - powiedziała Angelina spokojnie. - Wstrząsy już mijają.

Minutę stała na środku pokoju i usiłowała się skupić. Co powinna najpierw ratować? Biżuterię. Futra, nowe foki i oczywiście narzutkę i mufkę z szynszyli. Wyciągnęła z szafy suknie, a potem wszystko rzuciła, bo przyszło jej do głowy, że powinna zamknąć kosztowności w sejfie, zamaskowanym jako gustowna mahoniowa komoda, stojąca na górnym podeście schodów.

Bogu dzięki, że to już minęło - szepnęła, ale to wcale nie minęło. Albo ziemia jeszcze drżała, albo podłoga usuwała jej się spod nóg, dość że Angelina potykając się, ześlizgnęła się w kierunku schodów. Drzwi od saloniku otworzyły się gwałtownie, w głębi pokoju wisiał krzywo, jakby wylękniony, dostojny portret pani Ballard, a wszystkie doniczki z hiacyntami były potłuczone. Pokój pograżył się w mroku, przesłonięty olbrzymim cieniem i równocześnie dał się słyszeć nowy trzask miażdżonych belek, ogłuszający huk, jak eksplozja. Po chwili wzniosła się w górę gęsta chmura kurzu przypominającego dym. Tylna ściana domu graniczącego z ich ogródkiem runęła i nagle można było zajrzeć do wnętrza rodzinnego życia sąsiadów, podobnie jak na scenie ogląda się pokoje bez czwartej ściany.

Następnym odkryciem Angeliny było, że stoi na ulicy. Chociaż sama siebie zapewniała, że jest całkiem spokojna i opanowana, najwidoczniej jednak zapomniała włożyć sukni. Była w nocnej koszuli, na którą narzuciła tylko w pośpiechu niebieski atlasowy szlafroczek. Wlokła za sobą narzutkę z szynszyli, a w rękach wciąż jeszcze trzymała naszyjnik z szafirów. Beatrice z Joy na ręku rzuciła się ku niej, wykrzykując po włosku:

- Stańże w drzwiach, to jedyne bezpieczne miejsce. Nie biegaj po ulicy, wariatko, nie widzisz, jak się domy walą?

Joy wyciągnęła do niej tłuste rączki.

- Annelina, Annelina, Joy chce do Anneliny.

W ciągu paru tygodni nieobecności Maud Angelina robiła, co mogła, żeby pozyskać serce dziewczynki. Na dźwięk cienkiego głósiku odwróciła się i wzięła dziecko z rąk Beatrice.

Przed każdym domem stały grupki ludzi, niepewnych i wahających się, większość miała na sobie przedziwne zaimprovizowane stroje i na wszystkich szarych jak popiół twarzach malował się ten sam wyraz zakłopotania. Bruk był popękany, a na rogu zwisały porwane szyny kolejki linowej, niby splątane nici.

- Zobaczymy, czy trzęsienie ziemi dostało się do porannej gazety - powiedział jakiś dowcipniś, wyciągnął z kupy gruzów zmięty kawałek papieru i rozpostarł go.

Rzeczywiście poranny numer gazety rozniesiono tuż przed trzęsieniem i ten zwykły fakt podniósł wszystkich na duchu. Ludzie zaczęli powoli wracać do domów, żeby uprzątnąć gruz.

- Wolałabym, żeby roznieśli mleko zamiast porannej gazety - powiedziała jakaś kobieta w o wiele za dużym męskim płaszczu w kratę. - Co ja dam dzieciom na śniadanie?

Zjawił się policjant, Joe Salinas, do jego rejonu należały cztery bloki domów między California Street i Jackson Street.

- Co tam nowego, Joe? Jak wygląda śródmieście? Czy dużo szkód?

- To było największe małe trzęsienie ziemi, jakie pamiętam - odparł Joe jowialnie. - Zdaje się, że runęło tylko parę starych domów na dole, w dzielnicy misji, ale wy tu na górze nie macie się czego bać.

Powietrze, dostatecznie szare i gęste od kurzu, stało się jeszcze gęstsze, jeszcze ciemniejsze, ludzie zaczęli nieufnie i lękliwie pociągać nosami, wyczuli coś nowego, ich usta wypełnił dziwny smak. Był to gorzki zapach spalenizny i dymu. Niebo nie było już zielone, a słońce nad zatoką nabrało

barwy czerwonej, jak malinowa pomarańcza. Nagle dziki wrzask setek głosów, oddalony, jak krzyk zza sceny, przeniknął ciężkie powietrze.

- Jezus, Maria! Całe miasto się pali!... Jesteśmy zgubieni... Wszyscy jesteśmy zgubieni... San Francisco się pali!

Na małym zegareczku Angeliny, który machinalnie przypięła do nocnej koszuli, była piąta trzydzieści dwie.

Tak zaczęły się trzy dni grozy i zniszczenia. Tkwiła w domu, który lada chwila mógł się na nich zawalić, zdana tylko na siebie, z dzieckiem, za które była całkowicie odpowiedzialna, pośród trzęsienia ziemi. I podczas kiedy ona skazana była na to piekło, Hopper zabawiał się pewnie wesoło ze swymi chłopcami w Leihanie. Ojciec był daleko od niebezpieczeństwa; on zawsze potrafił dbać o swoje przyjemności u boku tego babsztyla w majątku.

A Maud pewnie za chwilę podadzą do łóżka śniadanie i będzie rozkoszowała się miłym porankiem. No tak, ale gdzie się podziewa Florian? Ostatecznie Joy nie jest dzieckiem jej, tylko Floriana i gdyby on wczoraj został na noc, zamiast uciekać jak wariat, byłby przynajmniej na swoim miejscu w tych krytycznych chwilach. Oczywiście wsiądzie na pierwszy prom i wkrótce się tu zjawi, pocieszała się, a potem zobaczymy, co dalej...

Godziny wlokły się powoli, a Floriana nie było; jego dziecko czekało i ona czekała, a on się nie zjawiał. Z początku była o to wściekła, ale potem niepokój zamienił się w drżący strach i udrękę. Tymczasem jednak wróciła do spraw codziennych, jakby się nic nie stało. W całym San Francisco panowała ta sama tendencja; postanowiono po prostu zignorować trzęsienie ziemi. Ponieważ minęło, ludzie udawali, że nic niezwykłego się nie stało, jak gdyby w konsekwentnej i żalosej nadziei, że można zapobiec gorszemu nieszczęściu.

Piec w łazience działał lepiej, niż Angelina się spodziewała. Jednakże kiedy zaczęła się odprężyć pod ciepłym prysznicem, rozległ się syk, woda przestała lecieć i gdyby Beatrice nie

wpadła i nie zakręciła gazu nastąpiłby wybuch. Była to zapowiedź nowej klęski; zabrakło wody. Nie było wody ani mleka, piekarz nie dostarczył chleba, nie można było kupić nic do jedzenia. Władze w osobie policjanta Joe Salinsa ogłosiły w każdym domu, że naj surowiej zabrania się rozpalać ogień, używać gazu i elektryczności, nie wolno nawet zapalać w domu świec ani zapalek.

- Wszystkie rury diabli wzięli: wodociągowe, gazowe, kanalizacyjne, całe to przeklęte miasto się pali - oznajmił krótko i węzłowato.

- To dobry dowcip - odparła Anna ponuro. - Teraz, kiedy całe miasto stoi w płomieniach, mówią nam, że niebezpiecznie jest zapalać zapalną! No, dobrze, Beatrice, ja nie potrzebuję śniadania, ale dla małej Joy musimy zdobyć trochę mleka.

Dom był w stanie kompletnego rozkładu. Peggy zniknęła jak duch po pierwszym pianiu kogutów. Bardziej godny Lee Ong okazał się mniej bezwzględny i uprzedził o swym odejściu. Włożył na siebie wszystkie swoje chińskie stroje jeden na drugi, worek mąki zwisał mu na plecach, poleć słoniny obejmował jego pierś jak pas z nabojami, a pęk jakimś cudem ocalałych butelek brzęczał u paska. Obojętnie oznajmił o swoim odejściu.

Angelina wydobyła lornetkę teatralną, która ocalała w twardym futerale i wdrapała się po schodach na strych, żeby obejrzyć zniszczenie. Przed jej obolałymi oczami rozpościerały się płonące dzielnice. To tu, to tam migotały czerwone języki ognia na południe od Market Street. Jednakże zuchwale stercząca, smukła wieża przystani promów wznosiła się jeszcze, a to był chyba dobry znak. Wciąż jeszcze promy pełzły po powierzchni zatoki, wciąż jeszcze można było, gdyby sprawy przyjęły zły obrót, wsiąść na prom do Tiburón i przedostać się na drugi brzeg do Belvedere, Beatrice błagała:

Dlaczego nie uciekamy, póki jeszcze czas, Angelino? W willi babci Ballard będzie nam znacznie lepiej, tam jest pan Ambros i signorina Myszka, a jeżeli dłużej tu zostaniemy, zamienimy się w pieczone kasztany.

Angelina postanowiła pozostać w domu i czekać. Tutaj było jej miejsce, tylko tutaj czuła się w pewnym sensie bezpieczna pośród całej tej katastrofy. Tutaj ojciec będzie jej szukał, na pewno wsiądzie w pierwszy pociąg jadący ze Stockton, kiedy dotrą do niego złe wiadomości. A jeśli nawet ojciec nie przyjedzie, to Florian wróci na pewno. A jeśli i Florian z jakiejś niepojętej przyczyny się nie zjawi, to zawsze jeszcze pozostaje poczciwy stary O'Shaughnessy, który z pewnością się o nią zatroszczy. Zamiast niego zjawił się młody O'Shaughnessy. Miał na rękę opaskę zorganizowanej w pośpiechu gwardii obywatelskiej.

- Chciałem tylko zajrzeć, jak się wiedzie mojej królownie, i myślałem, że mi może przygotujesz coś orzeźwiającego, bo jestem tak wyschnięty, że mam gardło jak tarka. Ale jakoś uporamy się z ogniem, nie martw się, Aniu.

Miał zaczerwienione oczy od dymu i gorąca, ale poza tym był w całkiem niezłym nastroju, widocznie już przedtem usiłował zaspokoić pragnienie, i to nie wodą. Anna poszła do jadalni, żeby poszukać czegoś do picia. Obie kryształowe karafki spadły z bufetu i rozbiły się, a wino wsiąkło w dywan, jednak w barku ojca znalazła dwie nie uszkodzone butelki i Johnny sporządził sobie jakiś piekielny trunek.

- Twoje zdrowie, Aniu, mój skarbie! Co nam sądzone, to nas nie minie.

- Co mi radzisz, Johnny? Czy mam zostać w tym domu? Czy wsiąść na prom i zaszyć się w jaskini babci Ballard?

- Wsiąść na prom? Sama nie wiesz, co mówisz? Siedź tutaj i nie ruszaj się pod żadnym pozorem! Nie masz pojęcia, co się dzieje na przystani, zebrali się tam wszyscy Japończycy, Chińczycy, Meksykanie i inni kolorowi, na pół oszaleli z przerażenia. Naokoło wszystko się pali, a oni wyją, popychają się, tratuja nawzajem w dzikiej panice. Tu ci na razie nic nie grozi, a jeśli sytuacja się pogorszy, przyjdę po ciebie i zabiorę w bezpieczne miejsce. A teraz czas na mnie... Słuchaj, Aniu, nie uważasz, że należy mi się mały całus, tak tylko, na szczęście? Nie? No dobrze, jak chcesz, do widzenia!

Angelina znowu wdrapała się na dach. Trzęsienie ziemi wydawało się łagodnym wydarzeniem w porównaniu z bezlitosną, furią ognia. Ogień był uosobieniem zła, ten ogień, który to tu, to tam wyszarpywał olbrzymie kęsy z udrezonego miasta. Rozlewał się niby czerwona, gorąca, dymiąca ciecz, łączył się z innym płonącym kompleksem budynków, jakby realizując złośliwie przemyślany plan zniszczenia.

O trzeciej po południu kierunek wiatru zmienił się i pędził teraz płomień ku północy. Angelina patrzyła na rozszerzające się pożary przez swoją elegancką lornetkę teatralną z perłowej masy i wydawało jej się niepojęte, że jeszcze wczoraj wieczorem oglądała przez tę lornetkę wspaniałe przedstawienie w operze. Co chwila ocierała z palących oczu łzy, co chwila schodziła po omacku na dół, do kuchni i do łazienki, żeby wycisnąć z kranu chociaż parę kropel wody, ale na próżno. Oczy ją paliły, usta miała spieczone. Skóra jej popękała, uszy ogłuchły, myśli wygasły. Czekwała na Floriana.

Ale Florian nie zjawiał się. Jeśli Johnny mógł ją znaleźć, to dlaczego Florian nie może? Ale właśnie Johnny był mężczyzną Florian tylko artystą; słaby, niezdecydowany, bezmyślny, nieodpowiedzialny, dziwaczny i niepojęty. Po Florianie można się było wszystkiego spodziewać; kto wie, czy w tej chwili nie siedzi w willi babci Ballard i nie pilnuje, żeby jego skrzypcom nic się nie stało. Wcale nie wykluczone, że te skrzypce znaczą dla niego więcej, niż własne dziecko. Jeśli jednak czeka na nią na tamym brzegu zatoki zrozpaczony, tak jak ona tutaj czeka na niego, i żadne z nich nie może przedostać się przez zatokę?

Mała Joy płakała bez przerwy.

- Joy jest gorąco, chce się pić, Joy oczy bołą. - A tu ani kropli wody w kranach, ani kropli mleka w całym domu. Nawet mała fontanna w ogrodzie zimowym była rozbita i pusta, tylko trochę zielonego szlamu pozostało na dnie i cztery trzepocące się, umierające złote rybki. Angelina, stojąc po kostki w szkle z potłuczonych szyb, przyciskała ręce do uszu, aby nie słyszeć płaczu dziecka.

- Halo, tu Myszka. Co się dzieje? Dlaczego nie przeprawiliście się na ten brzeg z Jake Wattsem? Mówi, że absolutnie nie mógł dłużej czekać, jego łódź była tak naładowana ludźmi, że zatonąłaby. ...Niech pani poprosi Floriana, on chce sam z nim porozmawiać!

- Z Florianem? Jak to? - Angelina próbuje całą siłą woli zapanować nad głosem, który ochryple wydobywa się z jej wyschniętego gardła. - Skąd pani dzwoni? Z gospody w Tiburón? I Floriana tam nie ma? Nie, nie, tu go także nie ma, w ogóle się tu nie pokazał. Kiedy on opuścił Belvedere?

- Pognał na przystań, ledwie minął pierwszy wstrząs! Nie mogę tego zupełnie zrozumieć.

W słuchawce, chwila milczenia.

- Miejmy nadzieję, że mu się nic nie stało. Angelino, musi pani natychmiast wszcząć poszukiwania, zebrać informacje. Gdzie? Do licha, kobieto wszędzie... u wszystkich... w Bohemian Klub, tam ma wielu przyjaciół, a może w jakimś szpitalu? Czyja wiem... Nie ma listy rannych? Niech pani słucha, Jake radzi, żeby pojechać do pawilonu wystawowego, tam jest podobno lazaret. Angelino? Czy pani mnie słyszy? Dlaczego się pani nie odzywa?

Angelina nie mogła wykrztusić ani słowa, poczuła się całkowicie bezradna wobec nieświadomości Myszkki.

- O czym pani mówi? Pani sobie nawet nie wyobraża, jak miasto wygląda. Przecież nie ma w ogóle ulic, nie ma powozu, a pawilon podobno spalił się razem z tysiącami ludzi. Dlaczego pani sama tu nie przyjedzie szukać Floriana? Ja nie mogę się stąd ruszyć, muszę zostać przy małej Joy. Obiecałam to Maud...

- A ja obiecałam Florianowi pilnować jego skrzypiec, odpowiadam życiem za to, że im się nic złego nie stanie. A zresztą do San Francisco nikogo teraz nie wpuszczają.

I znowu wstrząs, silniejszy niż poprzednie, znowu wybuch, bliższy od ostatniego. Słuchawka wypadła Angelinie z ręki, huśtała się teraz na sznurze, rytmicznie uderzając o ścianę; głos



Myszki trzeszczał i pokrzykiwał w niej jeszcze, a potem telefon ogłuchł z powrotem. Angelina ruszyła z miejsca, ale po paru krokach przystanęła i rozejrzała się wokół siebie.

I co dalej? Co dalej? Podeszła do drzwi, których framuga wygięła się podczas wstrząsów tak, że się nie zamykały. Nie możemy tu zostać na noc, pomyślała, to zbyt ryzykowne. Miasto jest pełne pijanych i przestępców. Będą plądrować, napadać. Chociaż nie, przypomniała sobie, musimy jednak wytrwać w tym domu. Jeżeli Florian żyje, będzie nas tutaj szukał. Nawet jeśli jest ranny, każe się tutaj przywieźć. Jeśli... jeśli jeszcze żyje.

A jeśli już nie żyje, to co wtedy - tak. Angelino, co wtedy? Wtedy ja też nie mam po co żyć - uświadomiła sobie nagle. Potem kolana się pod nią ugięły i wszystko zgasło. Nie wiedziała, jak długo trwało to jej pierwsze prawdziwe omdlenie, kiedy Beatrice obudziła ją, potrząsając jej ramieniem.

- Pij, bambina - powiedziała, podsuwając jej pełną szklankę.

- Wino? - spytała Angelina, zdumiona. Poczula się lepiej, w głowie jej się rozjaśniło. - Skąd zdobyłaś wino?

- Znalazłam oplatany gąsiorek w pokoju Lee Onga, a także trzy pomarańcze... - odparła Beatrice. - Małej dałam soku z pomarańczy. Przykro mi, że musiałam cię zbudzić, piccolina mia, ale teraz pali się i nasz dom.

- Co ty mówisz? Pali się? Chyba oszalałaś... gdzie się pali? Co się pali?

- Na dachu - odparła Beatrice, wskazując na sufit. - Nie możemy tu dłużej zostać... ale to nie powód, żeby tracić głowę. Mamy jeszcze czas. Zapakowałam twoje rzeczy do torby podróżnej, ty możesz nieść torbę, a ja wezmę dziecko; dla ciebie mała byłaby za ciężka.

- Dlaczego Johnny nie przyszedł nas ostrzec? - krzyknęła Angelina nie posiadając się z wściekłości.

Ze zdumiewającą szybkością przysła do siebie, kiedy niebezpieczeństwo zaczęło trzeszczeć i syczeć nad jej głową

czerwony odblask drgał w rozbitej szybie drzwi wejściowych. Znalazła się w swojej sypialni nie wiedząc nawet, w jaki sposób weszła po schodach na górę. Mimo wszystko zużyła parę cennych chwil na zbadanie zawartości torby podróżnej. Szkatułka z biżuterią, narzutka z szynszyli, elegancka zielona suknia spacerowa, trochę bielizny, para butów. A gdzie mufka z szynszyli? I nowa suknia wieczorowa? I foki? A gdzie jest mój portfel, moje pieniądze?

Spróbowała wcisnąć cenną mufkę do torby, ale musiała z tego zrezygnować. Będę ją po prostu niosła w ręku. Włożyła kapelusz i mocno go przypięła, bo nawet pośród zagłady świata nie do pomyślenia było, żeby dama pokazała się na ulicy bez kapelusza. Narzuciła futro z fok, wsunęła mufkę na rękę, wzięła torbę. Kiedy jednak otworzyła drzwi, cała klatka schodowa wypełniona była dymem, a schody wyglądały jak wnętrze komina. Angelina omal nie udusiła się.

- Beatrice! - wrzasnęła. - Na pomoc, Beatrice!

- Kuchennymi schodami do sutereny, prędko! - dobiegł ją z dołu głos Beatrice.

Kaszłąc i dławiąc się Angelina zatoczyła się z powrotem do pokoju. Chwyciła mały dywanik sprzed łóżka, był nasiąknięty słodkawym, mdlącym zapachem perfum ze wszystkich potłuczonych buteleczek. Owinęła nim sobie szczelnie głowę i twarz. - Oby tylko moje włosy nie zajęły się od ognia - pomyślała. Teraz była jak w ciasnym, gorącym namiocie, i tak ruszyła ledwo dysząc, przez łazienkę i korytarz, potem w dół kuchennymi schodami, i jeszcze dalej, zataczając się, osuwając, ześlizgując, aż do sutereny, gdzie wpadła jak tobolek brudnej bielizny do prania. Z ciemności odezwał się głos Beatrice, z trudem chwytającej powietrze, ale dużej i mocnej jak skała:

- Masz, придержи małą, bambina; muszę czegoś spróbować.

Czy nic jej się nie stało?

Nic a nic! Spuściłam ją na dół windą do potraw, nic było tam ani trochę dymu. Mądra Beatrice, co?

Słyszała jak Beatrice drepcze gdzieś za nią i coś mruczy, a potem dobiegł z ciemności cudowny, odświeżający odgłos, jakieś pluskanie, kapanie.

- Co ty tam wyprawiasz, Bea?

- Va bene! Teraz możemy iść! Dalej! Przez ogród! Beatrice zmoczyła swoją wełnianą chustkę skradzionym

przez Lee Onga winem, a teraz wylała resztę z opłataney butelki na dywanik Angeliny. Zabrała dziecko z jej kolan i zawinęła je starannie w swoją wilgotną chustkę. Wino było letnie i nawet jego kwaskowaty zapach działał odświeżająco po tym dniu pełnym dymu i ognia.

- Avanti! - zakomenderowała Beatrice, wspinając się na stopnie wiodące ku bocznym drzwiczkom. - Ja będę szła przodem, a ty weź małą pod swój dywanik i idź tuż za mną. Musimy ją trzymać między sobą, tak będzie najbezpieczniej. Nie bój się, to nie takie trudne. Jakoś przejdziemy.

Ułożyła milczące, opatulone dziecko w ramionach Angeliny. W ostatniej chwili wahania Angelina usłyszała, jak Beatrice zaczerpnęła głęboko powietrza, jak do miecha, po czym otworzyła drzwi do ogrodu.

Były to ich najcięższe chwile. Z chłodnej, ciemnej osłony piwnicy wyszły między podstępne, kąsające, niskie ogieńki, biegające po ziemi jak wilki. Wędrowały przez kłębowisko jasnych iskierek i deszcz spalających wszystko czarnych sadzy, przez zamieć gorącego popiołu i latające wszędzie ogniste strzępki, pomiędzy płonącymi drewnianymi belkami, które zewsząd spadały i pękały z dziwnie miękkim odgłosem, siejąc coraz to nowe pełgające grządki małych niebieskich ogieńków, gdzie tylko się znalazły. Beatrice szła na przodzie, zarzuciła sobie spódnicę na głowę i jej szerokie plecy stanowiły mur obronny, za którym chroniła się Angelina z dzieckiem. Ciężkie nogi Beatrice stapały pewnie i miarowo poprzez ogień, który wszystko zakrywał.

Viene, viene, chodź, bambina mia... va bene, va bene

zawodziła śpiewnie, a Angelina szła za nią, wylękniona,

a jednak z uczuciem, że nic jej się nie może stać, podobnie jak w dzieciństwie szła na Beatrice przez niebezpieczeństwa ciemnych pokoi i obcych miejsc. Wreszcie zatrzymały się...

- Już po wszystkim. Teraz jesteśmy bezpieczne - oznajmiła Beatrice.

Gdyby gęste chmury dymu, sunące od strony dzielnicy chińskiej, nie zaciemniały wszystkiego, byłoby jeszcze trochę światła dziennego. Ogień objął już sporo domów na Clay Street i kordon policji kierował mieszkańców w stronę Nob Hill.

- Dokąd teraz, Beatrice?

- Na Telegraph Hill, do moich krewnych.

- A może spróbowałybyśmy przedrzeć się do przystani promu? Chciałabym, żebyś zawiozła Joy do Belvedere, do Willi. Ja zostanę w mieście. Muszę znaleźć pana Ambrosa.

- Nie wydaje mi się, żeby prom kursował, ale mam kuzyna, który mieszka na Telegraph Hill i ma łódź rybacką na dole. On mnie zanadto nie szanuje, ale szanuje pieniądze. Masz chyba pieniądze, piccolina?

Znowu kordon policji zatrzymuje pochód uchodźców: - Zawracać! Nikt tędy nie przejdzie. Nie ma po co. Prom nie kursuje. No, dalej ruszać się. Zawracać w kierunku parku, do prezydium. Rozkaz generała: Ogłasza się stan wyjątkowy. W parku zostanie rozbita dostateczna ilość namiotów.

Posłusznie i niemal z nadzieją tłum zawrócił, żeby powlec się z powrotem tą samą drogą, którą tu przybył. Większość ludzi była zbyt zmęczona, zbyt ogłuszona, aby działać z własnej inicjatywy.

Angelina szła razem z tłumem: był to coraz straszniejszy koszmar: ona, Angelina Ballard, pani Clyde Hopper, nieszczęsny uchodźca pośród innych nieszczęsnych uchodźców: ona, wczoraj jeszcze najelegantsza kobieta w całej Operze, ona, z którą arcyksiążę trzy razy tańczył walca. Całe ciało miała obolałe, oczy zapuchnięte, stopy pokryte pęcherzami, ramiona jej niemal opadały, tak ciężka była torba podróżna, którą

przerzucała co chwila z jednej ręki do drugiej. Plecy pochyliły się pod ciężarem futra, dręczył ją pulsujący ból głowy, gardło miała zaognione, język suchy i spuchnięty, a mózg stał się pustką, w której kłębiła się pełna żalu wściekłość przeciwko wszystkim i wszystkiemu.

Od czasu do czasu ostre, jak nóż, wspomnienie budziło ją z otępienia: Florian! Florian! Florian zaginął bez wieści. To było właśnie do niego podobne: zgubić się w drodze między promem a Clay Street! Bogu niech będą dzięki, że udało jej się uratować dziecko. Naraziła własne życie, żeby dotrzymać obietnicy danej Maud. Nikt nigdy nie doceni tego, ile przecierpiała, żeby uratować dziecko znienawidzonej siostry, która zabrała jej jedyne dziecko, jakiego kochała...

- Dlaczego Joy jest taka cicha, chyba nic jej się nie stało?

- Po prostu zasnęła, moja biedna mała księżniczka, była taka zmęczona. Ty też jesteś zmęczona, bambina mia. Chodź, usiądź sobie i odpocznij chwilę.

- Muszę zrezygnować, nie pójdę dalej, po prostu nie zdołam przejść tych kilku mil aż do parku... Nie mam na to sił, upadnę, nie mogę się już dalej wlec, Beatrice.

Pan Jakub Frankel natknął się na Angelinę, wracając ze swego dyżuru w straży obywatelskiej. Siedziała na jakiejś przewróconej kolumnie, sama również jak powalony, żałośnie mały i znużony posążek. Pan Frankel zabrał ją i raczej zaniósł niż zaprowadził do swego prawie nie uszkodzonego domu przy O'Farrel Street.

- Weź torbę, Beatrice, a ja wezmę dziecko - powiedziała Angelina z resztką zwykłej przytomności umysłu. Dzięki temu przestępując próg domu Franklów niosła efektownie w ramionach śpiące dziecko.

- ...może mi pani wierzyć, moja droga, że ta młodzianka pani Hopper to niezwykle stworzenie. Zna ją pani na pewno, to młodsza z córek Ballardów. Przed wielu laty byliśmy razem z nimi w Wiedniu i zapewniam panią, że gdyby Anna palcem kiwnęła, mogłaby wyjść za arcyksięcia. Ale to jeszcze nic, ona

uratowała dziecko swojej siostry podczas trzęsienia ziemi i wielkiego pożaru! Nigdy nie zapomnę, jak stanęła w drzwiach naszego domu, taka delikatna i śliczna. Owinęła dziecko w chustkę, którą nasączyła winem, niezwykle mądry pomysł, prawda? Stary dom na Clay Street spalił się do fundamentów i ona zginęłaby w nim razem z dzieckiem, gdyby go nie wyniosła z ognia na własnych rękach. I proszę sobie wyobrazić, że nie zapomniała nawet zabrać ulubionej zabawki małej, pluszowego króliczka bez jednego oka. „Halo, Aniu, na miłość boską!” zawołałam, a ona na to uprzejmie, z owym nieznacznym brytyjskim akcentem, który przywiozła z Hawajów: „Dobry wieczór pani. Naprawdę ogromnie mi przykro, że tak się państwu narzucam...” i nagle, padła, jak martwa. Godne podziwu stworzenie!

Tak opowiadała pani Frânkel. I tak zrodziła się legenda.

\*

Wśród gęstego dymu i swądu wstawał drugi dzień katastrofy. Ogień obejmował coraz to nowe tereny i jeśli nie uda się go powstrzymać na Van Ness Avenue, na której właśnie wysadzano domy w powietrze, to całe San Francisco będzie zgubione. Nowa fala uchodźców, nowa wędrówka ludów. Tysiące bezdomnych rozłożyło się obozem na wybrzeżu i pośród pagórków wokół płonącego miasta.

Dom państwa Franklów też został zburzony. Angelina znowu podążała naprzód wraz z innymi, w zgryzocie i odurzeniu.

Tępyim wzrokiem obserwowała prymitywny, niepojęcie przedsiębiorczy nastrój, jaki panował w całym obozie, powstającym w sosnowym lasku wokół budynku, gdzie mieścił się garnizon dawnego prezydium. Kto nie posiadał namiotu, kleił sobie byle jaką budę z płótna żaglowego, starych końskich derek, skrzynek. W obozie panował głód i pragnienie. Ponieważ brakowało wody, pito wszystko, co udało się zdobyć.

toteż było wielu pijanych, nawet wśród pań z najlepszego towarzystwa. Nie było ustępów, tylko nocniki, i to w niedostatecznej ilości. Ten obóz będzie wkrótce cuchnął jak klatki dzikich zwierząt w ogrodzie zoologicznym - myślała Angelina.

W tłoku zapomniała o Franklach, straciła ich z oczu i dziwnym trafem znalazła się wśród gromady pobudliwych, hałaśliwych Włochów. Zapewne ze względu na Beatrice przyjęto ją i dziecko do przepelnionego namiotu. Beatrice była z tego wyraźnie zadowolona, a mała Joy, obsypywana pocałunkami i błogosławieństwami, huśtana na kolanach, czuła się w tym hałaśliwym, brudnym tłumie szczęśliwa jak nigdy dotąd.

- Na pewno wszy ją obleżą albo i co gorszego - powiedziała Angelina z goryczą do Johnny'ego O'Shaughnessy. - Zlituj się, Johnny, zabierz nas stąd. Nie możemy przecież siedzieć w tym chlewie, to jest nie do zniesienia.

Ale Johnny wzruszył tylko ramionami. Stał się ważną osobistością, był okropnie zajęty. Przyjechał jednym z zarekwirowanych przez magistrat samochodów i z dumną miną przeprowadzał inspekcję obozu, zapoznając wszystkich z najnowszym surowym zarządzeniem: „Każdą kroplę wody należy przegotowywać, wszelkie odpadki palić”. Także wobec Angeliny stał się nadęty i nieuprzejmy.

- To nie jest odpowiednia chwila, żeby robić z siebie księżniczkę, moja droga. Powinnaś się cieszyć, że w ogóle żyjesz, ty i to małeństwo. Spójrz na tych ludzi, których spotkały o wiele gorsze rzeczy niż ciebie.

- Ale ci ludzie nie są sami... - skarżyła się.

- No cóż, moja droga, tylko ty jesteś temu winna. Gdybyś wyszła za mnie, nie odstępowałbym cię na krok. Nie chcę mówić nic złego o moim przyjacielu Hopperze, ale w obecnej sytuacji byłby dla ciebie tylko ciężarem. A co się tyczy twojego ojca, to pozwoliłem sobie wysłać do niego telegram, żeby chwilowo pozostał w majątku. Dla starego człowieka tak będzie lepiej, wiesz przecież, że cierpi na tę małą wadę serca,

a to co się tu dzieje, mogłoby być dla niego zbyt wielkim wstrząsem. Gmach firmy Ballardów wraz z całym biurem został wysadzony w powietrze, wszystkie nasze akta i dokumenty spalone, z domu na Clay Street także nic nie pozostało. A gdzie się podziewa ten wzniosły marzyciel, twój szwagier? Dlaczego, u diabła, pan Ambros nie zatroszczy się o ciebie

i swoje dziecko?

- Zaginął wczoraj rano. Nie wiem nawet, czy jeszcze żyje.

Johnny umilkł na chwilę.

- Bardzo mi przykro, Aniu, ale może me jest tak zle - rzekł i pochylił się, żeby zobaczyć czy ona płacze. Nie płakała i to wzbudziło w nim jeszcze większe współczucie.

- Powiedz no mi, kochanie, dlaczego nie starasz się przedostać do Belvedere? Jeśli się nie mylę, twoja rodzina ma tam swój letni domek? Zdradzę ci pewną informację, Aniu, scisle poufną. Wiem z najpoważniejszego źródła, że z Fortu Mason wyruszy na drugą stronę szalupa marynarki wojennej z pewnymi wysokimi osobistościami. Dziś po południu, około piątej albo trochę później. Bądź tam. Kiedy zobaczą ciebie i małą i kiedy im powiesz, że jesteś córką starego Ballarda, pewno zabiorą was na tej łodzi.

- Jakże ja się tam dostanę - Anna załamała ręce. - io przecież daleko, nie dam rady, jestem tak wyczerpana, tak potwornie zmęczona, Johnny. Spójrz tylko na moje stopy... Padnę w drodze, czuję to wyraźnie...

Johnny spojrzał na jej stopy, były bosc, śmiesznie małe, pokryte pęcherzami i bardzo brudne.

- Okey, moja droga - powiedział z rezygnacją. - Pakuj manatki i ładuj się do mojego samochodu.

- Och, Johnny, jesteś cudowny! - zawołała Angelina; był to od lat jej stały refren, powtarzany, ilekroć z powodzeniem zwracała się do Johnny'ego o przyjacielską przysługę. Spłukawszy twarz rześistymi łzami, zarzuciła mu ręce na szyję i zapłaciła zwykłym, szybko inkasowanym przez niego pocałunkiem.



Poufne wiadomości Johnny'ego O'Shaughnessy miały tę właściwość, że nigdy nie były zupełnie prawdziwe, chociaż rzadko też bywały całkiem fałszywe.

Angelina przybywszy w stanie krańcowego wyczerpania do Fortu Mason, przekonała się, że roztrwonila resztki sił w pogoni za fatamorganą. Była tam wprawdzie jakaś szalupa marynarki wojennej, płynęła jednak w zupełnie innym kierunku. W dodatku było rzeczą absolutnie wykluczoną, aby jakikolwiek cywil mógł wejść na pokład. Poza tym szalupa odpływała o godzinie piątej rano, a nie o piątej po południu.

- To już koniec. To koniec wszystkiego, Beatrice - powiedziała Anna. - Nie mam już sił. Poddaję się. Idź, zostaw mnie, możesz sobie robić, co ci się podoba.

Beatrice namyślała się chwilę. Mgły zataczały coraz ciaśniej-sze koła, pochłonęły już wybrzeże razem z wydhami i skałami, a także niskie pagórki porośnięte sosnami, wraz z niezliczonym tłumem ludzi, którzy obsiedli je niby termity.

- Bene, Angelina, więc pójdę i poszukam mego kuzyna Adriano, ale na to potrzebuję pieniędzy. Muszę mu pokazać pieniądze, kiedy będę z nim rozmawiała. On nas przewiezie na drugą stronę. A jeśli Adriano nie zechce, to znajdę jakiegoś rybaka. Dla moich dużych nóg to niedaleka droga, ale małej nie mogę z sobą zabrać, muszę ją zostawić przy tobie. Odpocznij sobie, ale pamiętaj, żebyś nie zasnęła, dobrze? I nie ruszaj się z tego miejsca, dopóki nie wrócę.

Angelina zdjęła z nóg podarte pantofle i wysunęła ku Beatrice swoje poranione drobne stopy.

- Ja? Ja miałbym się stąd ruszyć? Jakżeż mogłabym iść z takimi nogami... i dokąd? - pytała rozdzierającym głosem.

Beatrice posadziła jej małą Joy na kolanach.

- Uważajcie jedna na drugą, moje dwie małe dziewczynki - powiedziała i zniknęła we mgle.

Joy próbowała wyrwać się Angelinie.

Chcę do Beatrice. chcę, żeby Beatrice mnie niosła - zaszlochała.

W ciągu ostatnich godzin często pochlipywała. Zginał jej króliczek Bunny, zabrano ją z tego wesołego namiotu od nowych miłych przyjaciół. Beatrice ją opuściła, a ona czuła się tak obco w drżących ramionach ciotki. Angelina zacisnęła zęby. Ale płacz nie ustawał.

- Uspokój się! Bądź wreszcie cicho, bo dostaniesz lanie. Jeśli nie przestaniesz płakać, wrzucę cię w krzaki, przyjdą wilki i zjedzą cię! - krzyknęła. . .

Wtedy dziewczynka zamilkła, jeszcze raz i drugi dał się słyszeć gwałtowny szloch i nerwowa czkawka. Angelina nagle osłabła i łagodna, zaczęła szeptać słowa skruchy i całować ciepłą, okrągłą główkę. r

- Przebacz mi, kochanie, jestem zupełnie wykończona. Przenikało ją ciepło powoli odprężającego się ciała i wkrótce potem Joy zasnęła.

\*

- Człowieku, wałęsa się pan tutaj, a pańska mała szwagiereczka zamartwia się o pana! Czy nie uważa pan, że należałoby się zatroszczyć o swoje dziecko, a nie zostawiać wszystkiego biednej Ani?

Johnny O'Shaughnessy powiedział dobitnie swoje zdanie Florianowi Ambrosowi, kiedy dostrzegł go w autobusie, którym grupa dziennikarzy objeżdżała coraz dalsze peryferie objętych pożarem części miasta. Zatrzymali się przed zaimprovizowaną kwaterą główną zarządu miejskiego, żeby zebrać najświeższe meldunki i przewieźć je specjalną łodzią do Oakland, ponieważ wszystkie drukarnie w San Francisco zamieniły się w bezkształtną masę stopionego ołowiu.

- A co pan sobie wyobraża, że ja od wczoraj zajmuję się czymkolwiek innym poza szukaniem Anny i dziecka? odparł Ambros z gniewem. - Do diabła, i bez pana wiem, co mam robić! Niech pan się nie gniewa - ciągnął odzyskując panowanie nad sobą. - Jest pan pierwszym człowiekiem, od którego

dowiaduję się, że obie są bezpieczne... bo tak przecież jest, prawda? A więc na pewno nic im się nie stało? I zamiast całować pana po rękach, wściekam się na pana... Gdzie one się znajdują?

- Mogę się z panem podzielić poufną wiadomością. Jeśli się pan pośpieszy, może je pan jeszcze zastać w Forcie Mason, gdzie próbują przeprowadzić się na drugi brzeg szalupą marynarki wojennej, która odpływa około piątej. Radziłem Annie udać się na razie do Belvedere.

Ambros spojrział na twarze swoich przyjaciół dziennikarzy: zmęczone, nie umyte, rozpalone, usmolone, brudne i nie ogolone twarze tych odważnych, twardych, cynicznych, dobroduszných desperados, którym zawód kazał uganiać się nie tylko za niebezpieczeństwem i grozą, ale także za odpowiednimi przymiotnikami, którymi je opisywali.

- Chłopcy, zlitujcie się nade mną i zawieźcie mnie czym prędzej do Fortu.

- Zrobilibyśmy to, ale nic by ci z tego nie przyszło, mój drogi - odparł jeden z nich. - Głupstwa pan gada, panie O'Shaughnessy o tej szalupie. Jeśli chcesz się dostać na tamten brzeg, Florianie, możesz to zrobić tylko przy pomocy naszej łodzi prasowej.

Autobus ruszył, głośno warcząc.

- Ten Ambros, jakoś nietęgo wygląda; gdzie on się dorobił takiej dziury na czole? - O'Shaughnessy zwrócił się do dziennikarza, którego koledzy zostawili na nocny dyżur.

- Coś musiało naszemu poczciwemu Ambrosowi spaść na głowę zaraz po jego przybyciu tutaj promem wczoraj rano. Nie potrzebuję panu chyba opowiadać, co się wtedy działo koło przystani. Jakaś dobra dusza znalazła go i odstawiła nieprzytomnego do prywatnego szpitala na Sutter Street. Lekarze byli naturalnie zbyt zajęci, żeby się interesować rannym, który już i tak miał własną narkozę. Uważali widocznie, że kipnąć może i bez ich asysty, jeżeli ma pękniętą czaszkę, a jeżeli nie, to i tak przyjdzie do siebie. No i przyszedł do siebie. Pewnie miał lekki

wstrząs mózgu, bo kiedyśmy go zeszłej nocy znaleźli, ciągle jeszcze rzygał w regularnych odstępach czasu jak ciężarny

<sup>W</sup> Kiedy wreszcie dotarł na Clay Street, nie zastał już domu starego Ballarda. Wtedy dopiero zaczęły się zmartwienia. Nikt nie wiedział, czy jego córeczka żyje, przez kilkanaście godzin Ambros biegał tylko w kółko i wypytywał wszystkich, czy coś wiedza albo nie słyszeli o jego dziecku. Wypytywał i szukał. Aż trafił na nas i na pana.

\*

W parę minut po siódmej Florian Ambros zjawił się w dużej sali gospody Tiburón.

- Wszystko w porządku, Jake, nic im się nie stało - powiedział - W każdym razie jestem prawie pewien, że nic im się nie stało. Tylko że... wieki całe trwa przedostanie się z Oakland do Belvedere. Właściwie byłem przekonany, że je tu zastanę. Czy nie słyszał pan o jakiejś szalupie marynarki wojennej, która miała tu przewieźć ludzi z Fortu Mason?

- Przyniosę panu na razie coś do zjedzenia. Co by pan powiedział na gorący grog? Na pewno dobrze by panu zrobił

- Tak, może właśnie grog, ale jeść nie mogę. - Niech pan powie, Watts, skoro z moją rodziną wszystko w porządku, to sądzi pan, że znajdą drogę, żeby tu się przedostać?

- Czemu nie? Mnóstwo ludzi znalazło środki i drogi, żeby przepłynąć się przez zatokę, przez cały dzień najróżniejsze środki lokomocji kursowały do Sausalito i San Rafael. Ale na pańskim miejscu nie spodziewałbym się ich dzisiaj wieczorem. Jest gęsta mgła, wie pan przecież...

Nawet przez mgłę Ambros mógł dojrzeć w dali na drugim brzegu płomień palącego się miasta, kiedy stanął na pomoście wyładunkowym, znajdującym się przed gospodą. Na ciemnym niebie odbijała się czerwona łuna pożaru, drgała konwulsyjnie, dyszała, pulsowała. Ambros przeżywał nieznośne męki wyobrażając sobie, że jego Joy i wąż, bezradna Angelina błędzą gdzieś pod tym bezlitosnym niebem. Jake Watts przyniósł grog, Florian wziął od niego cynowy kubek i wypił. Jego oczy i myśli wciąż jeszcze tkwiły przy tym budzącym grozę horyzoncie.

- Czy nie ma pan nic przeciwko temu, Watts, że jeszcze z godzinę poczekam tu na pomoście, bo jeśli w ciągu najbliższej godziny nie przy płyną, to..

- Jeśli nie przy płyną, to niech pan idzie do domu i wyśpi się, żeby pan był rano wypoczęty. Coś panu proponuję: jeśli nie zjawią się tu do godziny ósmej rano, zabiorę pana z powrotem na tamtą stronę moją łodzią. Zgoda?

- Dziękuję, Watts, nigdy panu nie zapomnę tego, co pan już dziś dla mnie zrobił. Czy mogę jeszcze prosić pańskiego syna, George'a, by podjechał na rowerze do domu i powiadomił Myszkę, że tu jestem? Niech się o mnie nie niepokoi.

Nie zdawał sobie sprawy, ile czasu upłynęło i sam nie wiedział, na co jeszcze czeka, kiedy z mgły dobiegł do niego jakiś nowy odgłos, inny niż usypiające skrzywienie i obijanie się o siebie zakotwiczonych kutrów.

Klap, klap. Klap, klap, klap. Uderzenia wiosła, o wodę, zgrzyt źle naoliwionych dulek. I nagle we mgle poruszyło się jakieś maleńkie światełko. Florian zerwał się, serce załomotało mu dziko, krew uderzyła do głowy, rana na czole nabrzmiała, wszystko zawirowało mu przed oczami, tak że nie mógł się ruszyć z miejsca. Światło zniknęło z jego pola widzenia, skryło się, wywołując wrażenie, że łódź zbliżyła się do końca pomostu, a potem dał się słyszeć brzęk łańcucha umocowywanego do słupa i zamajaczył jakiś masywny cień, poruszający się u wylotu pomostu. A potem zabłysło światło. Mała rybacka latarka, którą jakaś duża, ciemna ręka podniosła do góry, aby komuś, komu pomagano wysiąść z łódki, oświetlić drogę. Jeszcze chwilę Florian stał nieruchomo jak wrośnięty w ziemię, z trudem chwytając oddech. Potem nagle pękła żelazna obręcz ściskająca mu pierś i Ambros rzucił się do przystani. Stała tam Angelina, schylona nad łodzią, aby odebrać od Beatrice

dziecko i wynieść je na brzeg; światło latarni uwiło wokół jej głowy jasny krąg, przypominający aureolę. Taką zobaczył ją Florian i był to widok, którego nigdy nie mógł zapomnieć. Zresztą Angelina już się o to postarała...

To była cudowna chwila, myślała często Angelina wiele lat później. Wziął z jej ramion swoje dziecko, nie mówiąc ani słowa. Zanurzył czoło we włosach dziewczynki i może płakał, ale Angelina nie była tego pewna. Tuląc wciąż dziecko do piersi, usiłował zrzucić z siebie starą aksamitną marynarkę, pokrytą skorupą złożoną z mieszaniny popiołu, sadzy, krwi i potu.

- Angelino, żebyś się tylko nie przeziębila, kochana moja - mówił i nieporadnie próbował otulić ją marynarką; był to męsko-opiekuńczy, a jednocześnie w zestawieniu z tym, co ona przeszła, tak dziecinnie absurdalny gest, że miała ochotę i śmiać się i płakać.

- Nie bądź niemądry, Flori, nie zaziębę się, spójrz, mam przecież narzutkę z szynszyli, chociaż lepiej nie, nie patrz na mnie; muszę chyba okropnie wyglądać...

- Jesteś... wyglądasz... nie potrafię ci tego powiedzieć... Ty nie wiesz, ty nic nie wiesz...

- Wiem, Flori, gdyby ci się coś stało, to i ja nie miałabym po co żyć...

Brzmiało to jak frazesy, które mówi się mężczyznom, by im pochlebić, ale tym razem była to szczerą prawdą. Wyczerpana przytuliła się do jego piersi. Beatrice stała obok jak dobrze wyćwiczona chórzystka w operze i odebrała od niego dziecko, a on wziął Angelinę w ramiona.

Mała Joy otworzyła na chwilę oczy, uśmiechnęła się i powiedziała z zadowoleniem: - Tatuś? Annelina? - po czym zasnęła z powrotem.

\*

Po raz trzeci brzask zajaśniał nad bezmiarem nieszczęścia. San Francisco nadal płonęło, wciąż wysadzano w powietrze

całe ulice, niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Po drugiej stronie zatoki było cicho i spokojnie jak na innej planecie. Słońce wstawało nad porośniętym drzewami wzgórzem Belvedere, a wśród gałęzi jesiona, który babcia Ballard posadziła przed wielu laty, droczyła się ze sobą para sójek.

Angelina obudziła się, Florian spał jeszcze głęboko. Wpatrywała się w jego uśpioną twarz, spoczywającą na ozdobionej falbankami poduszce.

Ukochana, mocna, zmęczona twarz, jasny, surowy, odwrócony od niej profil, piękne długie ścięgna, łączące szyję z ramieniem, gdzie zwykle spoczywały skrzypce. Dzisiejszej nocy całowała go i on teraz do niej należał. Zdobywam zawsze to, czego pragnę, zawsze, pomyślała, a rozmarzenie i czar minionej nocy ustąpiły miejsca trzeźwemu triumfowi. Jej spojrzenie zdawało się przenikać do snów Floriana, bo zaczął się poruszać, otworzył zielone oczy, odwrócił się i spojrzał na nią zdumiony.

- Ach, to ty... - powiedział po chwili. - Dzień dobry, najpiękniejsza na świecie.

- Florianie, żebyś wiedział co ja znalazłam! Masz parę siwych włosów na lewej skroni, pięć siwych włosów, policzyłam je.

- Czy cię to dziwi? Dorobiłem się ich w ciągu ostatnich dwóch dni. Jakiż ja jestem nieogolony! Powinnaś się wstydzić Angelino, leżeć w łóżku z facetem, który absolutnie nie wygląda na gentelmena.

- Słuchaj, czy to nie byłoby straszne, gdybyśmy zginęli nie przeżywszy tej ostatniej nocy? Pomyśl, co by nas ominęło!

Sięgnął po złotą papierośnicę leżącą na nocnym stoliku i nic nie odpowiedział.

- Pozwolisz, że zapalę?

- Florianie, tak cię kocham - szepnęła. - Teraz należysz do mnie, i już cię nie puszcę, odtąd nigdy już nie będę sama, już nigdy...

I wtedy właśnie poruszyła się klamka, drzwi się powoli otworzyły i na progu stanęła mała Joy.

## CZEŚĆ DRUGA

Joy Ambros siedziała w poczekalni małej stacyjki, gdzie pociąg zatrzymał się tylko na tak długo, aby można było zameldować zaspanemu naczelnikowi o nieszczęśliwym wypadku i pozostawić trójkę pasażerów: ją samą, George'a Wattsa, który z dziarską miną podjął się załatwienia wszelkich formalności, oraz majora Ryersona, który z niewiadomych przyczyn zdecydował się im towarzyszyć. Joy przyglądała się swoim dłoniom. Na dużym palcu prawej ręki zęby matki pozostawiły kilka drobnych sinych śladów.

- Co się pani stało w rękę dziecinko? Krwawi trochę, skaleczyła się pani? - pytała ją starsza pielęgniarka w pociągu.

- Och, to? Widocznie ze zdenerwowania gryzłam palec; to takie fatalne przyzwyczajenie, kiedy się czymś bardzo przejmę...

Ranka zapiekła od jodyny, zaśniła strzykawka w ręce siostry.

- Nie, nie, tylko nie morfina, nic, co by mnie mogło uspić. Nie chcę spać, nie wolno mi zasnąć! - krzyknęła wtedy Joy, odpychając zbliżającą się strzykawkę. - Bardzo siostrę proszę, niech mi siostra nie daje żadnych środków nasennych. Muszę być trzeźwa, muszę wysiąść na następnej stacji. Na pewno



zostanie wysłana ekipa ratowników, muszę ich zaprowadzić na miejsce, gdzie się wydarzyło to nieszczęście, muszę być przy tym, jak ją znajdą...

- Dobrze, dobrze, moje dziecko, niech się pani uspokoi, niech się pani tak nie denerwuje, proszę zażyć te dwie pigułki, to pani dobrze zrobi - powiedziała siostra, trochę poirytowana.

- Szok nerwowy - usłyszała Joy meldunek, jaki składała obu panom, czekającym pod drzwiami przedziału.

Joy wypluła pigułki, kiedy tylko siostra się odwróciła. Nie mogę zamroczyć sobie głowy tym świństwem, muszę myśleć, muszę być opanowana. Wstała i zaczęła chodzić w poczekalni tam i z powrotem.

- Jak się ta stacja właściwie nazywa? - spytała zawiadowcę; niezwykle wydarzenie wyrwało tego małego, krótkowzrocznego człowieka z półsnu i wprawilo w niesłychane podniecenie.

- Chodzi pani o naszą stację? Nazywa się Tokema, to mała miejscowość, ale w dzień jest tu bardzo ładnie; a może pani zechciałaby poczekać w moim biurze.

- Bardzo dziękuję, ale niech pan sobie nie robi kłopotu - powtórzyła Joy już po raz szósty, w odpowiedzi na podejmowane przez zawiadowcę w najlepszej intencji próby zabawienia jej. Watts i Ryerson powędrowali do pogrążonego we śnie miasteczka, żeby zmobilizować małą ekipę ratunkową, potem Joy opuściła poczekalnię. Na dworze usiadła na osłoniętej dachem ławce. Panował tu chłód, powietrze było przesycone wilgocią; przyjemnie pachniało nasiąkniętą deszczem ziemią. Przybiegł do niej kudłaty żółty piesek, zaczął ją obwąchiwać, poczuł do niej natychmiast gwałtowną sympatię i postanowił dotrzymać jej towarzystwa. Joy była mu wdzięczna za tę niemą obecność i z pozwolenie ogrzania rąk w jego cieplej sierści. Teraz powoli przychodzę do siebie, pomyślała. Czowała się jak po ciężkiej operacji, kiedy ustępuje działanie narkozy i odzywa się ból. Zabiłam matkę - powtarzała. Ja ją zabiłam. Była to gryząca, paląca myśl, prawdziwa tortura.

Ona mi uratowała życie, a ja ją zabiłam. Uratowała mi życie, to prawda, wyniosła mnie z płonącego domu, przez ogień, miałam wtedy zaledwie trzy lata, ale jeszcze to pamiętam...

Joy nigdy nie potrafiła oddzielić swoich własnych wspomnień z pożaru od zagmatwanej gęstwiny często powtarzanych opowieści. „Niosłam cię wtedy w ramionach, z wszystkich stron spadały z trzaskiem płonące belki, tak że musiałam iść przez płomienie, a ty patrzyłaś na mnie swoimi wielkimi dziecięcymi oczami i wiedziałam tylko jedno: że muszę się przez to przedrzeć i że tobie nie może stać się nic złego. Do dziś nie wiem, jak tego dokonałam, ja, taka tchórzliwa mysz, ale musiałam to zrobić i dlatego mi się udało. Nawet najsłabsza istota znajduje w sobie ukryte zasoby sił, jeśli kogoś tak kocha, jak ja ciebie, moja mała Joy...”

Musiało to być nazajutrz po ich ocaleniu, kiedy Joy obudziła się w obcym pokoju, w którym nic nie stało na swoim miejscu. Bardzo ją to przestraszyło. Łóżko, w którym leżała, było olbrzymie, ktoś ustawił wokół łóżka płot z krzesel, żeby nie wypadła. Spoza tych krzesel słyszała chrapanie Beatrice, dobrze jej znany i uspokajający odgłos. Joy stanęła na łóżku i zobaczyła, że Beatrice śpi na podłodze, przykryta czarną chustką. Następnym odkryciem Joy był niebieski ptaszek z bajki, który siedział na gałęzi za oknem i umiał mówić. - Joy - wołał do niej - Joy! Joy! - a ona natychmiast postanowiła go złapać. Wylazła po krzesłach z łóżka. Udało jej się otworzyć drzwi i wyjść na korytarz, a po jego drugiej stronie były jeszcze jedne drzwi, zza których dochodził cichy śmiech i głos ojca. Nagle wydało jej się, że to niedzielny ranek, kiedy wolno wejść do łóżka mamy i taty, żeby z nimi wspaniale się pobawić.

- Mamo! Gdzie jesteś, mamo?! - zawołała.

Wspięła się na palce, dosięgła klamki i otworzyła również te drugie drzwi. W pokoju panował mrok, bo firanki były zsunięte, ale zobaczyła tatusia, który siedział na łóżku i, jak zwykle, palił papierosa. Potem Joy zauważyła, że obok niego leży nie mama, ale Annelina. Joy zatrzymała się na progu, bo

tatuś patrzył na nią bardzo rozgniewany, nigdy go jeszcze tak rozgniewanego nie widziała, i wcale nie miał ochoty się z nią bawić.

- Czego chcesz? Jak tu weszłaś?! - krzyknął na nią ochryplym głosem.

- Ja chcę do mojej mamusi! - wyjąkała Joy, niezdolna wyrazić mnóstwa różnych skomplikowanych spraw, które ją w tej chwili pochłaniały.

Potem Annelina wytłumaczyła Joy, że to wszystko jej się tylko śniło, także niebieski ptaszek, który umiał mówić, i rzeczywiście Joy nigdy go już nie widziała ani nie słyszała.

O tym ranku nie rozmawiała nigdy z nikim, nawet z doktorem Behrmanem, psychologiem, u którego podczas jednego z seansów wypłynęło to wyparte z pamięci, głęboko ukryte wspomnienie. Nie powiedziała mu o tym, chociaż rzucało ono na ciemne sklepienie snop światła, w którego blasku łatwiej było odczytać i zrozumieć jej dzieciństwo. Był taki okres w jej życiu, kiedy podczas kilku seansów szukała pomocy doktora Behrmana, a on rozgrzebywał jej duszę i szukał w niej jak gorliwy i zadowolony z siebie pies, aż wydobył na światło dzienne parę ukrytych spraw: najwcześniejsze wrażenia, rzeczy słyszane, widziane, odczute, ale nigdy nie zrozumiane; fragmenty wspomnień, drobne skorupy i odłamki, które dopiero później skleić w mniej więcej kompletną całość.

Kiedy tak siedziała pośród nocy na twardej ławce, pod ociekającym deszczową wodą daszkiem małej, zapadłej stacyjki, i czekała na ludzi, którzy mieli jej pomóc w szukaniu zwłok macochy przez nią zamordowanej, Joy Ambros przypomniała sobie doktora Behrmana; jego melancholijną twarz mądrego orangutana, szelest jaki wydawały jego twarde wąsiki, które nieustannie gładził paznokciami; jego rady by poddać się gruntownej psychoanalizie. Może udałoby mu się otworzyć przede mną jakieś drzwi i wyzwolić mnie. Może nie popełniłabym tego, co popełniłam, i nigdy nie byłoby tej niepojętej,

zagadkowej nocy. Ale teraz jest już za późno. Stało się i muszę ponieść wszystkie konsekwencje. Muszę się opanować.

- Opanowanie - mawiał ojciec, kiedy rozmawiał z nią po niemiecku.  
- Opanowanie w każdej sytuacji, to była jedyna rzecz, jakiej nauczyłem się od twojego dziadka, i to właśnie chciałbym ci przekazać w spadku. To bardzo się przydaje, kiedy w życiu wszystko idzie na opak. Przyzwoity człowiek ponosi z opanowaniem konsekwencje swojego postępowania, a to znaczy, że się nie skarży i nie lituje nad samym sobą, a przede wszystkim nikomu nie pozwala, by się nad nim litował. To musi śmiesznie brzmieć, kiedy ja wygłaszam kazanie, co?

Ojciec uśmiechnął się i Joy też się uśmiechnęła w niemym porozumieniu, bo oboje wiedzieli, że dotyczy to matki, która tak świetnie umie litować się nad sobą i budzić litość w innych.

- O tak, istnieje tyrania słabości i jest ona bardziej złowroga niż potęga i przemoc - mówił ojciec. - Nadużywanie naszego współczucia zżera nas jak robak, aż w końcu nic z nas nie zostaje; chwała Bogu, że ty moje dziecko, nie należysz do słabych. Zawsze będziesz umiała zdobyć się na opanowanie. Nigdy nie będziesz zbyt ustępliwa.

- Ty też, ojciec.

- Może niezupełnie, raz czy dwa razy byłem bliski poddania się. Na przykład po śmierci Maud...

Bardzo rzadko wspominali między sobą matkę Joy, a nigdy w obecności Angeliny.

- Dlaczego u nas nie ma hiacyntów? Maud tak je lubiła - mówił czasem ojciec, kiedy byli sami, albo; - Maud świetnie wyglądała we wszystkich barwach jesieni: w ciemnozłotej, miedzianej, ciepłym brązie. Dlaczego nie spróbujesz lekko uróżnić sobie policzków i ubrać się w któryś z tych kolorów? Bardzo chciałbym cię w nich zobaczyć.

Czasem, żartem, zauważał, że Joy przejmuje niektóre drobne cechy matki, chociaż nie może ich pamiętać: - Kiedy tak spokojnie siedzisz, jak w tej chwili i przyglądasz się swoim

rękom... Maud zawsze to robiła, kiedy miała jakieś zmartwienie...

- Ależ ja dobrze pamiętam Maud, ojciec. Zawsze była taka powściągliwa, zdaje się, że nigdy mnie nawet nie pocałowała na dobranoc. Wszelkie pieszczoty, całusy i żarciki, jakich dzieci potrzebują, otrzymywałam od matki; wtedy nazywałam ją jeszcze Anneliną, musiałam być bardzo mała...

Ojciec uśmiechnął się z zadumą.

- O tak, Angelina była bardzo zręczna w tych sprawach. Ty byłaś dzieckiem potrzebującym wiele serdeczności i powinniśmy być wdzięczni Angelinie za te czułości, których ci tak brakowało, a których Maud nie mogła ci dać, ponieważ doktor Bryant niepokoił się o jej płuca; był bardzo surowy w swoich zaleceniach, czasem może za surowy, ale...

- Dlaczego, ojciec?

- Często było mi przykro, kiedy wracałem do domu, i zastawałem was dwie na podłodze, Angelinę i ciebie, jak śmiałyście się, piszczały i koziolkowały; a Maud siedziała obok z założonymi rękami, przyglądała się wam i uśmiechała się. Starła się uśmiechać i udawała, że jest wesoła...

Ścierwo - myślała Joy siedząc na swej twardej, samotnej ławce. Podła, złodziejka! Oddalała mnie od rodzonej matki, zgrywała się przed nią umyślnie i zadawała jej tym śmiertelny ból. Odrywała mnie i ojca od Maud, biednej Maud, która była chora i nie mogła nic na to poradzić, tylko siedziała i przyglądała się nam z tym swoim dzielnym, smutnym uśmiechem. A kiedy Maud za długo nie umierała, Angelina wzięła sprawę w swoje ręce i troszkę jej w tym pomogła. Znam te wolno działające trucizny, które ona ma w zapasie, ach, jak dobrze je znam! I dlatego musiałam ją zabić. Musiałam to zrobić, zanim ona zdążyłaby zatruć także i życie Karola...

Naczelnik stacji rozmawiał dłuższy czas przez telefon, teraz wyszedł z za swego oszklonego przepierzenia i stanął przed nią.

- Szeryf i Butch Mc Farland wkrótce tu będą - oznajmił. Butch jest deputowanym, to bardzo porządny człowiek,

tutejsze przedsiębiorstwo pogrzebowe do niego należy. Czekamy jeszcze na doktora Gerricka. Proszę się zdobyć na trochę cierpliwości.

- Bardzo panu dziękuję - powiedziała Joy. Wyjęła papierośnicę, otworzyła ją i odkryła z rozpaczą, że jest pusta.

- Mogę poczekać - powiedziała, ale było to o wiele za łagodne określenie, w zestawieniu z jej błagalnym, gorącym, nieokiełznanym pragnieniem zwłoki. - Gdybym tylko mogła dostać papierosa.

- Żałuję, ale nie mam nic lepszego - powiedział naczelnik stacji wyjmując z kieszeni paczuszkę tytoniu. - Ja sobie sam skręcam papierosy, ale myślę, że to nie dla pani...

- Ależ czemu nie, dziękuję. Serdecznie dziękuję - powiedziała Joy, sięgając zachłannie po tytoń i bibułkę. Naczelnik stacji patrzył zdumiony, jak jej zręczne, długie palce sprawnie skręcają papierosa.

Joy paliła w milczeniu, a naczelnik stacji, czując się niepotrzebny, znów taktownie się wycofał. Paczuszkę tytoniu położył obok Joy na ławce. Czując w ustach gorzki smak dymu, Joy usiłuje raz jeszcze wyczarować podnoszący ją na duchu obraz ojca.

Było to w Paryżu. Ojciec idąc z nią ze spaceru, kupił po drodze do hotelu olbrzymi bukiet kwiatów dla Angeliny. Oddano mu do dyspozycji pokój do ćwiczeń, była to mała salka, w której ciemnozielone zasłony chroniły przed dziennym światłem, puste pozłacane krzeselka były nieporządnie poprzestawiane, na drugim końcu sali paliły się gazowe kinkiety, a na niewielkim podium królował fortepian. Obok niego stała matka w zielonym żakiecie i w nowym kapelusiku z aksamitnych listków, wyglądała czarująco i rozmawiała przez drzwi prawdopodobnie z Myszką.

- Zaczekaj - powiedział ojciec, gdy weszli, kładąc rękę na ramieniu Joy i wysłuchał wszystkiego, co matka miała do powiedzenia.

...gdybym nie wiedziała, że on nie ma na całym świecie

lepszego przyjaciela od pani, nigdy bym o tym nie mówiła, ale pani wie równie dobrze jak ja, że te lata, które ze względu na Maud musiał spędzić w San Francisco, bardzo mu zaszkodziły. Naszym zadaniem jest wynieść jego nazwisko z powrotem na wyżyny. Nikt nie może mi zarzucić, że ja się o to nie staram. Ale pani, moja droga, wcale mi w tym nie pomaga, przeciwnie, w Paryżu raczej mu pani zaszkodziła. Nie przeczę, że pani mówi po francusku znacznie lepiej ode mnie, ale, moja droga Myszko, często zachowuje się pani w sposób tak nieuprzejmy. Ma pani manię mówienia każdemu bezwzględnej prawdy, czy pani nie rozumie, że to zraza do nas krytyków? A na kim ci panowie będą się odgrywać? Oczywiście nie na pani, tylko na Florianie. A jeśli już o tym mowa, to pani się nie dość starannie ubiera. W kołach, do których ja staram się wprowadzić naszego Flori, przywiązuje się wielką wagę do tych rzeczy. A jeśli nawet Flori to uznaje i odpowiednio zmienia swój strój i program, to nie rozumiem, dlaczego pani, moja droga, nie chce się dostosować...

Nie, myśli Joy i skręca sobie nowego papierosa, wtedy tego właściwie nie rozumiałam, nie miałam nawet dziewięciu lat.

- Angelino! - zawołał ojciec i podszedł do niej wielkimi krokami. - Spokojnie, spokojnie, zabierasz mi całą akustykę, zostaw łaskawie coś i dla mnie!

Matka, która dopiero teraz go zauważyła, natychmiast zmieniła wyraz twarzy.

- O, jakie śliczne kwiaty - powiedziała odrzucając woalkę, żeby ojciec mógł ją pocałować; on jednak nie zwrócił uwagi na tę uprzejmą zachętę.

- Przyniosłem je dla Myszkki - powiedział.

Podsunał jej kwiaty pod nos, skłonił się głęboko, niezupełnie żartem, i pocałował ją w rękę. Dopiero wtedy wyjął skrzypce z futerału, który Myszka położyła na fortepianie.

Nazajutrz rodzice zawieźli mnie do St. Cloud i zostawili w „Institut des Soeurs de St. Thérèse d'Avile", a sami wyruszyli w tournée do Belgii, Holandii i Anglii - przypomina sobie Joy.

Myszka zabrała się zaraz po owej rozmowie do przyuczenia nowego akompaniatora dla ojca; nazywał się Hendrijk Graaven, był młodym Holendrem. Sama zaś spokojnie i bez hałasu wróciła do Ameryki. Spokojnie też i bez hałasu ojciec odwiedzał ją w późniejszych latach od czasu do czasu w Berkeley, gdzie udzielała lekcji muzyki. Takie wizyty dowodziły zwykle, że w domu było mu trochę za ciężko, i że potrzebował już mocnego, duchowego masażu i dobrej, ostrej, ożywiającej rozmowy o muzyce. Śmieszna, kochana stara Myszka. Ostatni raz Joy widziała Myszkę na pogrzebie ojca, w grudniu 1928 roku.

W dwa tygodnie później i ona umarła, spokojnie we śnie, równie niepozornie, jak żyła; Joy pozostała po niej mała, ciemna, nigdy nie wypełniona pustka i spadek w sumie 328 dolarów i 64 centów, które Myszka zbierała sobie w ciągu całego życia.

Doktor Behrman i to także jej uzmysłowił: sposób, w jaki znikali ludzie, których Joy kochała w dzieciństwie; znikali jeden po drugim, pozostawiając ją z niezupełnie uświadomionym poczuciem straty i wczesną wiedzą o nietrwałości stosunków między ludźmi. Niektórzy znikali cicho, jak Myszka; inni odchodzili pośród wielkich, głośnych, namiętnych i oskarżycielskich awantur, tak jak Beatrice, którą Angelina nazwała kłamczuchą, ponieważ to, co opowiadała w kuchni o pożarze domu i trzęsieniu ziemi, różniło się w pewnych szczegółach od wersji Angeliny.

- Naprawdę nie rozumiem, na co Beatrice jeszcze narzeka - mówiła Angelina. - Ojciec wyrobił jej posadę w Stocktom i zupełnie niepotrzebnie płaci jej jeszcze dodatkową pensję.

Wkrótce potem Karol Ballard przeniósł się na stałe do majątku i po cichu ożenił się z tą Lupitą Gomez. Umarł zwyczajnie, ale nie było to wcale mniej smutne.

Nie mógł być całkiem przytomny, kiedy pisał ten skandaliczny testament - powiedziała Angelina do siostry, podczas pogrzebu. - Kto wie, czy ten babsztyl go nie spoił albo nie



dosypał mu czegoś do jedzenia. To, co pozostawił nam obu, jest po prostu śmieszne. Ty możesz być chociaż zadowolona, że zdeponował pieniądze dla Joy jeszcze za życia naszej drogiej matki, która o to zadbała.

W rok później zmarł też wuj Hopper. Dopiero dzięki ostrożnej psychoanalizie doktora Behrmana, Joy zrozumiała, że i wuj Hopper, chociaż zmarł śmiercią naturalną, należał do tych, których Angelina ze stalową łagodnością uprzętnęła ze swojej drogi.

Wuj Hopper umierał jakby na raty. Póki był wśród nich, zajmował dużo miejsca sobą, swymi hałaśliwymi żartami i śmiechem. Nikt nie bawił się z Joy tak wesoło jak on. Ale jego wizyty stawały się coraz rzadsze, wyjeżdżał coraz częściej i na coraz dłużej. Pewnej nocy przyszedł telegram.

- Umrzeć na obczyźnie, w dżungli, i to na żółtą febrę! Cóż za okropna śmierć! Biedna pani Hopper! - mówili ludzie, a Angelina siedziała na kanapie i szlochała, że nie może znieść tej myśli, aby brudni tragarze portowi szarpali i przerzucali śmiertelne szczątki pana Hoppera, już lepiej niech go tam pochowają, żeby mógł sobie spać pod tymi palmami, które tak bardzo kochał - a potem zasłoniła twarz gęstym welonem. Ojciec, stojąc przy oknie z papierosem w ręku, powiedział:

- Jedyna pociecha w tym nieszczęściu, że nigdy jeszcze nie wyglądałaś tak urzekająco i bezradnie, jak we wdowim welonie.

W końcu mama także opuściła Joy. O kłótni między mamą i Angeliną Joy nigdy z nikim nie rozmawiała ani jako mała dziewczynka, ani wtedy, gdy zasięgała rady doktora Behrmana. Śmierć Maud uzupełniała ten obraz, była ostatnią częścią brakującą w zawilej mozaice przeszłości. Maud zmarła, a ojciec wtuliwszy czoło we włosy Joy powiedział:

- Wolałbym również nie żyć, moja mała Joy... „Czój”, tak wymawiał jej imię, moja mała Czój, moja

dziecina. - Tysiąc razy prosiłam cię, żebyś uważał na ten swój cudzoziemski akcent - strofowała go matka. - Myślisz pewnie,

że to brzmi czarująco, ale mogę cię zapewnić, że nie zyskujesz tym sympatii. Ostatecznie jesteś teraz Amerykaninem, więc dlaczego nie starasz się mówić tak, jak mówią Amerykanie? Czoj! To brzmi tak, jak gdyby ona była jakąś chińską dziewczynką.

Joy natomiast cieszyła się, że ma takie dziwne imię, będące wyłączną własnością jej i tatusia. W ogóle doszło w końcu do okropnego pomieszania nazwisk, kiedy Angelina została żoną tatusia, przemieniając się z pani Hopper w panią Ambros i żądając od Joy, by nazywała ją „matką”. A teraz i ona zniknęła.

Myśli Joy zaczęły się znowu zasnuwać mgłą, szybko więc skreśliła sobie nowego papierosa. No, no, weź się w garść. Potrzebna mi teraz tylko zimna logika. Musiałam to zrobić, to było absolutnie konieczne, nie miałam innego wyjścia. Gdybym jej nie usunęła z drogi, znowu wyrządziłaby tyle zła, ile by zdołała, ta bezradna burzycielka, zniszczyłaby Karola, jego małżeństwo, jego dzieci...

Nagle poczuła ostry przejmujący ból, jakby świdrująca igła dotknęła odkrytego nerwu w jej mózgu. Ależ to szaleństwo, to nieprawda, jakim cudem wpadłam na ten pomysł, że Karol potrzebuje mnie, aby ratować swoje małżeństwo? Karol mnie nie potrzebuje, nikogo nie potrzebuje, jest już dorosłym człowiekiem. Żołnierz, oficer, przeszedł bez uszczerbku przez całą wojnę, Karol nie da się zranić...

Zaciągnęła się mocno papierosem. Jakim sposobem uprzytomniłam to sobie nagle tak jasno, a dlaczego wtedy, na otwartej platformie wagonu, to mi nie zaświtało w głowie, dlaczego byłam taka ślepa i nic nie rozumiałam? Musiałam zwariować, ulec obłędowi...

Obłęd. Wzdrygnęła się na tę myśl, która zatrzymała jej życie, wszystkie te lata, odkąd matka podczas pewnej fatalnej w skutkach rozmowy zasiała w niej strach, dręczące pytanie, na które Joy potem szukała odpowiedzi u doktora Behrmana, a wieloznaczność jego odpowiedzi tylko pogorszyła sprawę.

Dzięki Bogu Karola nie dręczą żadne tego rodzaju ponure problemy. Joy rozwarła dłonie, jak gdyby chciała rozwinąć tkaninę swego życia, wyskubać tę lub ową nitkę i przyjrzeć się jej z zamkniętymi oczami. Karol. Falujące boa ze strusich piór i haftowany kołnierz z riuszek - z ich pomocą matka ukrywała swój stan. Mówiła: - Flori, ani mi się śni puszczać cię samego; będę na każdym twoim koncercie, spójrz, prawie nic nie widać, nikt nie zauważy ciąży, jeśli nie zdejmę boa. A ojciec odpowiedział, już trochę zmęczony:

- Ależ najdroższa, czy nie rozumiesz, że ja się denerwuję, kiedy jesteś na sali? Przez cały czas czekam, że z sali wybiegnie bileter i wezwie doktora do ciebie, podczas gdy ja będę się pocić nad „Melodiami cygańskimi” Sarasatiego... Zapewniam cię, że to nie wpłynie dobrze na moją grę.

Ale matka przetrwała dzielnie londyński sezon koncertowy, bez żadnych sensacji zniosła burzliwą przeprawę morską, a Karol zaczekał taktownie z przyjściem na świat, aż wrócili do domu na Vallejo Street na przerwę między jednym a drugim tournée. Nie miał jeszcze trzech miesięcy, kiedy został załadowany na statek i pozostawiony pod przesadną opieką babci, Joy zaś oderwano od braciszka. Była to amputacja, której omal nie przypłaciła życiem.

- Nie zapomnij, moje dziecko, że nazwisko twego ojca jest sławne na całym świecie i że powinnaś się tak zachowywać, abyśmy mogli być z ciebie dumni - upominała ją matka z wilgotnymi od łez oczyma. Było to jej ulubione wyrażenie, które prześladowało Joy przez całe dzieciństwo: być dumnym. Wymaganiu temu nigdy nie można było sprostać, nawet jeśli człowiek nie wiem jak się starał i wobec tego Joy nie opuszczało poczucie winy. Miała szorstkie ręce, nogi rosły jej za prędko i były za duże, dostawała złe stopnie z liczenia w pamięci, nie było powodu do dumy; ojciec miał chłodne recenzje, a Karol zaraził się kokluszem - oba fakty przyniosły ujmę sławnemu nazwisku Ambros!

Joy wiele rzeczy zauważała i niektóre rozumiała, ale mało

mówiła, może dlatego, że nigdy nie miała dość czasu, aby się gdzieś zdomowić i nabrać swobody w posługiwaniu się jakimś językiem. Wiedeń, Drezno, Paryż, St. Cloud, Lozanna, Hampstead, na wakacje z powrotem do San Francisco i w następnym sezonie znów do Europy. Długi szereg nauczycielek: panna von Schotze, pani von Ranken, matka Marie-Celeste, madame Rivoire, miss Blythe, miss Warrens, miss Elthwaite. Galeria portretów w pamięci Joy. Zapach kredy, tabliczek, atramentu, zimnego kadzidła, środków dezynfekujących, majteczek gimnastycznych. Zimne, ciężkie uczucie pustego żołądka podczas rannego nabożeństwa w kaplicy, chłodne sypialnie, granatowe niedzielne mundurki z wy krochmalony mi, białymi kołnierzykami. Spacerzy parami w sztywnym szyku, nabrzeżem do kościoła, do muzeum lub do parku. Wszystko to nazywało się wychowaniem.

W końcu jednak zawsze nadchodził dzień, kiedy kończył się sezon koncertowy ojca i rodzina rozpiniała żagle, aby wrócić do San Francisco, po czym następowały dwa lub trzy błogie miesiące z ojcem i Karolem, i z konieczności także z matką.

- My jesteśmy jak bocianięta - oświadczyła Joy. - Wiesz, jak to jest z bocianiętami: jesienią odlatują gdzieś daleko, a co wiosna wracają. Założę się, że znają francuski i niemiecki. I afrykański.

Karol stał przed nią na swoich muskularnych chłopięcych nogach, w opadających skarpetkach, z powalającym sadzą czubkiem nosa, trzymał ręce w kieszeniach, zmarszczył czoło, brakowało mu z przodu pierwszego zęba; zachowywał się w sposób wyzywający, ale na dnie wyczuwało się osad smutku. Joy miała ogromną ochotę pocałować go, dotknąć, dać mu jakiś dowód serdeczności, ale z szacunku dla jego chłopięcego honoru opanowywała się. Wiedziała tylko, że ją i Karola łączy coś, co ich wyróżnia spośród innych któż bowiem poza nimi potrafił zrozumieć, co to znaczy być bocianiątkiem. Należeli do siebie nawzajem, ponieważ wiedzieli o wielu rzeczach, które

zachowywali dla siebie i o których nigdy nie mówił, rzeczach, o których nikt poza nimi dwojgiem nie powinien był wiedzieć. Wobec tego, że Joy była o osiem lat starsza od brata,

dostrzegała dziwaczność ich trybu życia wyraźniej niż on. Było jej czasem żal Karola i czuła potrzebę opiekowania się nim, bronięcia, sama nie wiedziała przed czym. Karol zaś wcale nie potrzebował jej opieki; był silnym, zaczepnym chłopaczkiem. Już jako czteroletni brzdąc sprął porządnie siedmioletniego siłacza, który odważył się wyśmiewać z dwunastoletniej Joy,

i wyszedł z tego boju zwycięsko, chociaż z zakrwawionym nosem. Ten bohaterski czyn miał miejsce w dzieciennym pokoju na statku, którym w roku 1914, w tydzień po wybuchu wojny, opuścili Anglię; wiał silny wiatr, podróż była nieprzyjemna, statek przepełniony cierpiącymi na morską chorobę, śpiesznie powracającymi do kraju Amerykanami.

Była to na razie ostatnia ich podróż i Joy myślała w duchu, że wojna, która zmusza ludzi do powrotu na Vallejo Street, nie jest złą rzeczą. Tyle tylko, że teraz matce coraz trudniej było wynajdywać powody do dumy. Wkrótce znajomość języka niemieckiego zaczęła uchodzić niemal za hańbę: - Byłoby lepiej, moje dziecko, żebyś go zapomniała i nie opowiadała za wiele o Dreźnie, o babci w Wiedniu i różnych takich rzeczach. Nie, oni nie są wprawdzie naszymi wrogami, jesteśmy państwem neutralnym, ale z każdej gazety możesz się dowiedzieć, jakie zbrodnie wojenne popełniają, a nie chcemy przecież, żeby ludzie nas źle rozumieli, prawda?

Joy rzuciła się rozpaczliwie między swego małego braciszka i świat, który stawał się z każdym dniem coraz bardziej wrogi; każde z nich musiało coś zwalczać, ona w szkole, a Karol w przedszkolu. Wracał stamtąd posiniaczony i podrapany, czerwony ze złości:

- Oni mówią, że ja śmierdzę kwaszoną kapustą. Zatykają sobie nosy. A ja im mówię: wy śmierdzicie zgniłymi rybami. No i wtedy się bijemy.

Joy ofiarowała się pójść z nim do przedszkola siostr Riley

i rozmówić się. Dwie starsze panie wprost ociekały dobrymi manierami i obiecały uważać na przyszłość, żeby wśród gromadki dzieci panował spokój; dały jednak do zrozumienia, że Karol jest bardzo agresywnym chłopczykiem, niezwykle agresywnym - a Joy, która stała się bardzo wrażliwa i miała wyczulony słuch zrozumiała, że zdaniem obu pań agresywność i kłótniowość Karola dowodzi jego barbarzyńskiego niemieckiego pochodzenia. A w parę tygodni później Karol przyniósł do domu list, w którym panie Riley z wielką przykrością zawiadamiały, że nie mogą dłużej tolerować w swoim przedszkolu małego Ambrosa, ponieważ jest on ciągłym źródłem niepokoju wśród ich spokojnych małych wychowanków.

Należało czym prędzej zrobić z Karola rdzennie amerykańskiego chłopca. Joy zdawała sobie sprawę, że pierwszym krokiem powinno być wtajemniczenie go w amerykańskie sporty narodowe: w baseball i football. Zwykle zadanie to przypadało amerykańskim ojcom. Ich ojciec nie był jednak prawdziwym amerykańskim ojcem, a poza tym był sławnym skrzypkami, którego ręce - czego matka nigdy nie zapominała podkreślić - stanowiły cały jego kapitał i dlatego musiały być troskliwie chronione. Nie kto inny więc jak O'Shaughnessy, rudowłosy, hałaśliwy przyjaciel matki, wziął w swoje ręce patriotyczną część wychowania Karola.

W dni deszczowe jednak Karol lubił przyglądać się, jak Joy posługuje się pastelami i akwarelami, a po jakimś czasie i jego ogarnął zapał twórczy: zabrał się do rysowania. Rysował zawsze dom, przed którym stał pan w lśniącym cylindrze, trzymający na smyczy pieska. Z początku, był to bardzo prosty i bardzo krzywy dom z dwoma oknami, drzwiami, i ceglanym kominem, z którego unosił się dym. Kiedy Karol miał lat szesnaście, jego szkice przerodziły się w tekę pełną projektów i planów, i zadziwiająco dokładnych rysunków technicznych. Były wśród nich fasady budynków i widoki ulic, niektóre powstały pod wrażeniem wspomnień z Europy, inne były wizją przyszłości z opływowymi liniami, funkcjonalnością.

szkłem i stalą: Karol wiedział już na pewno, że będzie studiował architekturę.

Wszystko to nastąpiło jednak o wiele później, a tymczasem mijały pochmurne lata przed wojną. Im wyraźniej sytuacja pchała Stany Zjednoczone do wypowiedzenia wojny, tym matka stawała się bardziej nerwowa i drażliwa. Biedna Angelina, żona człowieka, którego bracia walczyli jako oficerowie po stronie Hunów. Gryzła się, wstydziła, martwiła, cierpiała i zadręczała. Jednak plama na honorze Ambrosów wciąż wychodziła na jaw. Na przykład imię ojca: w jakim kraju poza Austrią byłoby możliwe nadanie synowi na chrzcie imienia Florian? Duże stopy Joy były zdecydowanie nieamerykańskie, podobnie dyg, którego nauczyła się w Dreźnie, a który niestety różnił się wyraźnie od rdzennie anglosaskiego sposobu dygania. Wypruty został niemiecki znak firmowy z płaszcza, który matka kupiła w Berlinie, tyrolskie skórzane spodnie Karola zostały schowane na dno kufra.

Ojciec siedział przy fortepianie jak w niewidocznym szklanym kloszu i z zadumany uśmiechem uderzał kilka akordów.

- Wy, Amerykanie, jesteście dziwnymi ludźmi - mawiał ojciec - ludźmi superlatywów. Jesteście superpraktyczni i superidealistyczni; a teraz jeszcze dajecie się porwać superpatriotycznym emocjom, a to rzecz niebezpieczna.

Matkę zawsze do wściekłości doprowadzało jego wyrażenie „wy, Amerykanie”. Może on właśnie dlatego to mówił, podejrzewała Joy z wyczuloną wrażliwością swych czternastu lat.

W kosmopolitycznym San Francisco mieszkało prawie równie dużo rodzin pochodzenia niemieckiego co anglosaskiego, ale właśnie te stare niemieckie rodziny prześcigały się nawzajem przy każdej okazji w demonstrowaniu swego patriotyzmu i swego rdzenie amerykańskiego charakteru.

Po wielu kryzysach i napięciach matka znalazła wreszcie rozwiązanie polegające na tym, że ojciec, jak wielu innych, miał się zgłosić na ochotnika do służby sanitarnej Czerwonego

Krzyża w Europie. Błagała go o to, była tak nieszczęśliwa i płakała tak długo, aż chińska tortura jej w milczeniu przelewanych łez doprowadziła ojca do uległości.

- No dobrze, już dobrze - krzyknął, a bardzo rzadko zdarzało się, że podnosił głos - ale ja nadaję się na sanitariusza jak koń do baletu i gdybym miał ambicję zgrywania się na bohatera, nie potrzebowałbym zrywać z całą moją zmilitaryzowaną rodziną i mógłbym od razu zacząć karierę oficerską.

W pierwszych latach pobytu rodziców w Europie, matki w Paryżu, a ojca z wojskowym ambulansem gdzieś na froncie, rodzeństwo bardzo się ze sobą zbliżyło, jakby różnica wieku dzieląca małego braciszka od dużej siostry skurczyła się. Później jednak, kiedy Joy wyrosła na młodą panienkę, a Karol stał się prawdziwym gimnazjalistą, różnica ta zaczęła znów rosnać, aż stała się nie do przebycia. Mając szesnaście lat Joy marzyła o tym, żeby zostać pielęgniarką w kolonii trędowatych, było to zaszczytne i piękne zajęcie w oczach osamotnionego dziecka. Ale kiedy wojna się skończyła i rodzice wrócili do domu, zdała sobie sprawę, że musi zostać malarką.

To wszystko przypominała sobie Joy, siedząc w nocy na stacji w Tokema i te właśnie obrazy przesuwają się przed nią w spiralach dymu z papierosa. Z okapu budynku stacyjnego krople deszczu padają z blaszanym odgłosem do rynny, za szklaną ścianą biura naczelnika tyka aparat Morse'a. Joy sięga po paczkę tytoniu i machinalnie skręca sobie nowego papierosa. I cóż, nie została jednak malarką, ani w ogóle czymkolwiek -myśli. Podświadomie obserwuje linie delikatnego, niebieskawego rysunku, jaki dym z papierosa tworzy w bladym świetle żarówki elektrycznej. Stała wówczas wraz z Karolem na dworcu w Oakland, czekając na przybycie pociągu, którym ojciec i matka wracali z wojny. Teraz zdaje sobie jasno sprawę, dlaczego w czasie dzisiejszej podróży, która zaczęła się na tym samym dworcu, jak gdyby pod wpływem nieprzepartej konieczności, musiała zrobić z matką to, co zrobiła: bo do chwili



tamtego przyjazdu walka o Karola, tocząca się między nią a matką, nie ustała ani na chwilę.

Przypomniła sobie lata powojenne, kiedy matka w atmosferze upadku i klęski, pozbawiona pożytki dla swej zachłannej ambicji, nie miała poza Karolem nikogo, z kogo mogłaby być d u m n a .

Matka kochała go, ale nie troszczyła się o to, ba, nawet o tym prawdopodobnie nie wiedziała, że jej miłość jest ludożerczym, niszczącym uczuciem. (Matka kocha mnie tak, jak jedwabnik kocha liść morwy, powiedział kiedyś Karol). Joy zaś usiłowała twardo i bezwzględnie wyplenić ze swego siostrzanego przywiązania najłżejszy nawet cień egoizmu.

W ciągu owych pełnych troski lat dłonie matki ciężko spoczywały na Karolu; czepiające się, żądne władzy dłonie, małe, miękkie, złe rączki, i Bogu trzeba dziękować, myśli Joy, że Karol wyszedł z tego bez szwanku! Wyzwolił się spod złowrogiego wpływu matki. Zdobywał płatne praktyki i jedno stypendium po drugim, aby móc studiować, sam zarabiał na utrzymanie, kiedy brak było pieniędzy, sprzedawał czasopisma i odkurzacze, mył okna, zakładał kable, wykonywał każdą pracę, jaka mu się nadarzyła. Robił, co sam chciał, został architektem, ożenił się według własnego wyboru z jedyną kobietą, która mu się podobała. Karolu, mój braciszku, czy nie rozumiesz, że nie mogłam postąpić inaczej? Nie wolno mi było stać z boku i patrzeć, jak ona niszczy wszystko, co ty własnymi siłami sobie zbudowałeś.

Ale nie, Karolowi intrygi i machinacje matki wydawały się po prostu zabawne, zawsze się z nich śmiał. Przypomniła jej się fragment jego listu: „Nie masz najmniejszego powodu martwić się o niżej podpisanego, kochana siostrzyczko; wszystko, co robię, jest całkiem niegroźne, a drobne niedogodności od czasu do czasu dobrze wpływają na moją figurę” (jako drobne niedogodności określał to, że zrzucano go na spadochronie za linią frontu i na tyłach nieprzyjacielskiej armii wykorzystywał swoją znajomość niemieckiego i francuskiego). Nie, Karolu,

taki człowiek jak ty, nie potrzebuje pomocy; wszystko, co myślałam i co zrobiłam, jest skończonym nonsensem...

Joy zaczyna dygotać. A jeśli matka miała rację? Może naprawdę tak było. Może ja jestem niepoczytalna, może od lat, nie wiedząc o tym, byłam niespełna rozumu. Wariaci przecież nigdy nic nie wiedzą o swojej chorobie, ale matka o mej wiedziała i chciała otoczyć mnie opieką. Może dlatego nie puszczała mnie na krok od siebie, wiedziała, że coś się kiedyś we mnie nagle załamie, rozkojarzy i popchnie do strasznych czynów. Joy chciałaby się wypłakać, ale brak jej wprawy i łzy nie płyną na zawołanie, aby przynieść ulgę. Tylko suchy, łamiący się szloch, kiedy szepce na zawsze utracone imię: - Fred! Fred! Nie wolno ci w to wierzyć, Fred, to nieprawda!...

Jeśli ojciec przeżył załamanie nerwowe, to musiało ono przejść nieznacznie. Tyle tylko, że w roku 1919 wrócił bardzo zmieniony; włosy mu posiwiały, a kiedy dolegał mu reumatyzm, chodził pochylony, niższy niż dawniej, wydawał się starszy, niż był. Często stawał przy oknie i bębnił po szybie spuchniętymi, wykrzywionymi palcami, wybębniał rytm koncertów, których nigdy już nie miał grać. Wpatrywał się w swoje palce z takim skupieniem, jakby chciał je zahipnotyzować i zmusić do dawnej ruchliwości; badał je nieustannie; napięta, zaczerwieniona skóra na obrzękłych kostkach i przegubach lśniła matowo. Masował palce, gimnastykował je, tarł, wyciągał. Bolać cię, ojcze? - Nie bardzo, Czoj, nie warto o tym mówić. - Nazywał swoje palce: „souvenir de France” - pamiątka z Francji. Może nowa kuracja jadem pszczelim odniesie jakiś skutek...

Nie było takiej metody, której by nie wypróbował; najpierw zwykle stosowane środki, polecane przez lekarzy ze słabą nadzieją, że któryś z nich pomoże, jakkolwiek nauka nie знаła jeszcze ani przyczyny, ani sposobu leczenia tej zniekształcającej stawy choroby. Potem przyszła kolej na szarlatanów, cudotwórców, znachorów, na stare domowe środki, zioła i olejki, skórki królicze, gorące kompresy i dietę bezsolną.

Wciąż coś nowego i za każdym razem ojciec wierzył przez tydzień lub dwa w nową terapię, tylko dlatego, że rozpaczliwie chciał w nią wierzyć. Na fortepianie w jego pokoju muzycznym leżał futerał ze skrzypcami, otwierał go, wyjmował „cesarzową”, przykładął instrument do brody i zamaszystym gestem wielkiego skrzypka unosił smyczek na chwilę nad strunami, nim zaczął grać. Wciąż jeszcze grywał; ale nie tak, żeby móc wystąpić na sali koncertowej, a już na pewno nie tak, by odpowiadało to jego wymaganiom.

Przez pewien czas matka starała się być wesoła, dzień i noc pompowała w ojca optymizm i jej zapał nie miał granic.

- Ten sezon już i tak minął, a do następnej jesieni będziesz zdrów. Powoli mógłbyś już zacząć ćwiczyć, dlaczego nie grywasz jakichś lżejszych utworów, to się zawsze lepiej podoba publiczności niż te wszystkie poważne historie.

Zagrał raz lżejszy „kawalek” dla pań z Klubu Eufonicznego, ten jeden jedyny raz wystąpił publicznie i już nigdy więcej.

- Nie jestem przedmiotem dobroczynności, ani nie nadaję się na pieska pokojowego - oświadczył, purpurowy z wściekłości. - A jeśli chodzi o zarabianie pieniędzy, to wołałbym porzępolić na ulicy i zebrać parę groszy do kapelusza. To byłoby przynajmniej uczciwe.

Zamknął „cesarzową” w futerale i rozgłosił w San Francisco za pośrednictwem swych przyjaciół dziennikarzy, że gotów jest wybranym, szczególnie zdolnym uczniom udzielać lekcji. W ten sposób skończyła się olśniewająca kariera wirtuozowska wielkiego Floriana Ambrosa. Dla matki był to najsilniejszy cios, jaki ją kiedykolwiek spotkał. Zniknął z jej życia cały blask, skończyła się międzynarodowa sława, nie było już nic, co mogłoby zaspokoić jej bezgraniczną ambicję.

- Kiedy wychodziłam za ciebie, nie przypuszczałam, że będę kiedyś żoną ubogiego nauczyciela muzyki - narzekała od czasu do czasu.

Miała jeszcze otrzymany ongiś od Hoppera naszyjnik z szafirów i narzutkę z szynszyli, ale drogie przedwojenne

paryskie toalety wyszły z mody i nawet jej cudowne włosy przestały robić wrażenie w tym brutalnym powojennym świecie. Jedyne, czym mogła się przechwalać, to były sportowe trofea Karola oraz jego postępy w matematyce i geometrii. Matka stała się znów męczennicą jak w czasach wuja Hoppera, ale znosiła to dzielnie i powoli zaczynała odzyskiwać

równowagę.

- Jakoś sobie jednak poradzimy - oznajmiła. - Chociaż jestem małą, głupią kobietą, zawsze miałam głowę do cyfr. Pozwól mi tylko wziąć sprawy w swoje ręce, a zobaczysz, do czego dojdziemy. Jeżeli ty na przykład będziesz dawał tylko dwanaście godzin lekcji tygodniowo i brał po dwadzieścia dolarów za godzinę, a do tego dojdą jeszcze cztery tysiące dolarów odsetek od pieniędzy, które mój ojciec przeznaczył dla Joy.

- Nawet we śnie nie przyszłoby mi na myśli ruszyć pieniędzy Joy. Wybierz sobie lepiej od razu z głowy! - krzyknął ojciec. - Te pieniądze przydadzą się jej na studia. Jeśli o mnie chodzi, to mogę dawać i po dziesięć godzin lekcji dziennie. Ale nie zapominaj, Angelino, że bogaci ludzie przeważnie nie mają talentu, a utalentowani pieniędzy. Mnie zaś interesują tylko utalentowani. Wykreślimy z naszego budżetu wszystkie niepotrzebne wydatki i zaczniemy oszczędzać, na czym się tylko da, bo Joy musi iść do akademii sztuk pięknych i uczyć się malować. .

- No wiesz, to już zbyt duża przesada! Żeby młoda dziewczyna z dobrej rodziny studiowała w akademii sztuk pięknych! Już ją widzę śmierdzącą terpentyną z wiecznie brudnymi paznokciami, bez gorsetu, i to akurat w wieku, kiedy dziewczyna powinna się uczyć najładniej wyglądać i zachowywać się z największym wdziękiem. ....

Jeden z planów Angeliny opierał się na nadziei, że jej koścista, długonoga, nieładna i niezbyt łatwa w obejściu pasierbica przedzierzgnie się z dnia na dzień w pociągającą istotę, która naturalną i pożądaną koleją rzeczy wyjdzie za

milionera, dzięki czemu rodzina Ambrosów znów odzyska należną jej pozycję. Doszło do łez i do decydującej rozprawy. Joy z przykrością myślała o tym, że przysporzyła matce jeszcze jednego rozczarowania, ale nie mogła postąpić inaczej i była wdzięczna ojcu, że upierał się przy swojej woli.

Nie dlatego, żeby akademia sztuk pięknych okazała się rajem, wręcz przeciwnie! Stary profesor Merryll, jedna z uświęconych relikwii San Francisco, narzucił jej kajdany swego artystycznego credo, które korzeniami tkwiło w najgorszych, ociekających tłuszczem tradycjach dziewiętnastowiecznego malarstwa rodzajowego. Klasy rysunku, aktów, martwej natury, pejzaży musiały stosować się do gustu profesora, a to stało w bolesnej sprzeczności z jej własnymi upodobaniami. Wreszcie, w trzecim roku nauki, stary mistrz uznał jedną z jej akwarel za dość dobrą, aby pokazać ją na dorocznej szkolnej wystawie. On sam wybrał temat - „Zachód słońca nad Złotą Bramą” - Joy myślała w duchu, że jej dzieło nadawałoby się świetnie jako plakat reklamujący sok pomidorowy w puszkach. Zdawało się jednak, że matka jest do pewnego stopnia dumna, a ojciec odczuwał satysfakcję.

- Co się z tobą dzieje, moje dziecko? Dlaczego nie możesz być taka jak inne młode dziewczyny? Inne bawią się, a ty tylko siedzisz i patrzysz - dokuczała jej matka.

- Masz kłopoty z pracą, Czoj? - pytał ojciec.

- Sama nie wiem - odpowiadała ojcu. - Styl, w którym maluję, absolutnie mnie nie pasjonuje. Własnego jeszcze nie znalazłam, a może go po prostu zatraciłam. Jestem jakaś... onieśmielona. Nie mam odwagi malować tak, jak widzę.

Odważyła się jeden jedyny raz użyć pędzla samodzielnie. Ale ta jej najbardziej osobista twórczość przeraziła ją samą dziwactwem.

- To rzeczywiście nic nie przypomina - oświadczyła matka, a Joy pomyślała pokornie, że matka ma do pewnego stopnia rację. Nawet ojciec zdawał się w najwyższym stopniu zakłopo-

tany; obracał jej dzieło na wszystkie strony, żeby się zorientować, gdzie jest góra, a gdzie dół.

- Co to właściwie ma przedstawiać? - spytał, bardzo zmieszany.

Joy spróbowała namalować ręce ojca, które nie mogły już grać na skrzypcach, bo te tragiczne ręce najgoręcej kochała, współczuła im, czciła je i znała każdy ich niewidoczny nerw, każdy ból. Co prawda ręka skrzypka, grającego szybki pasaż, miała jak gdyby nie pięć, ale dwadzieścia palców i każdy z nich był jakby zbierającym się do skoku, chorym, rannym zwierzęciem, a do tego dochodził zygzakowaty łuk klucza wiolinowego i miodowo złote barwy „cesarzowej”, krzywizny, wibracje, dysonanse. Na opuchniętych kostkach połyskiwały białe plamy światła kontrastujące z ciałem, mającym ostrą barwę pomarańczy. I była jeszcze ołowiana woda, stojąca w żółtej glinie rowu strzeleckiego, a wizja eksplodującego granatu rzucona została na ciemne tło grubymi, białymi spiralami. Niestety, nie dało się zaprzeczyć, że całość sprawiała wrażenie brudnej palety, którą zapomniano oczyścić po całodziennej pracy.

- To miało się właściwie nazywać „Souvenir de France”, ojciec...

Zdanie to zawisło w powietrzu niedokończone. Po chwili ojciec roześmiał się.

- Od dzieciństwa wypowiadałaś się w formie najróżniejszych dziwacznych i zwariowanych rysunków. Chcesz je zobaczyć?

- Czyżbyś je zachował?

- Oczywiście. Podobno rysunki dziecięce wchodzą teraz w modę, a jeśli ty zostaniesz kiedyś sławną malarką, będę mógł za nie dostać kupę pieniędzy.

Otworzył szufladę, w której przechowywał listy Brahmsa, i wyjął z niej plik rysunków, będącym barwnym wyrazem wrażeń i przeżyć małej Joy. Był tam niebieski ptaszek, który umiał mówić; i łóżko tak wielkie, że nie mieściło się na kartce

papieru, i leżały w nim dwie osoby. Wiele prób sportretowania Angeliny, jej jasnych włosów i malutkich ust. Była także kobieta, która zasłaniała twarz dużym białym kwadratem, chusteczką; podpis: moja mama. Miała to być Maud płacząca po przeczytaniu jednego z owych listów, które ktoś ciągle wsuwał pod drzwi i które ją tak zasmucały. I raz jeszcze mama na tle grubych czarnych kresek, oznaczających deszcz, podczas gdy w głębi pochylały się trawiasto zielone drzewa. I wreszcie mama na chmurce w otoczeniu bardzo tłustych aniołków, pluła gniewnie czarnymi kleksami na Angelinę, która stała przed domem, oznaczonym o wiele za dużym numerem: Vallejo Street 76.

- Już tutaj widać duży talent, mimo zdumiewającego chaosu - powiedział ojciec w zamyśleniu.

- Większość ich ma charakter autobiograficzny, ojcze.

- Sztuka polega zawsze na niedyskrecji i zdradzamy się, czy tego chcemy, czy nie. A propos zostaw mi „Souvenir de France”. Chociaż tego nie rozumiem, widzę jednak, że nie ma w tym fałszu. I słuchaj Czoj, masz talent, nie zapominaj o tym i nie pozwól, żeby ktokolwiek cię zniechęcił.

I tymi słowy ojciec zamknął z powrotem wczesne bazgroły Joy razem z jedyną próbą jej samodzielnej twórczości. Potem, jesienią 1928 roku, spłonęły wraz z wielu innymi rzeczami podczas pożaru, który pochłonął dom na Vallejo Street jak pudełko zapalek.

Przypadkiem Joy spędziła tę noc, w której wydarzyło się nieszczęście, w San José, gdzie wygłaszała wobec żadnych pożytki kulturalnej, chociaż niewiele rozumiejących członkiń kobiecego klubu odczyt na temat: „Roli impresjonizmu jako przeciwstawienia ekspresjonizmu”. Tegoż wieczoru rodzice byli na pierwszym koncercie ulubionego ucznia ojca, młodego Paula Homera. Wprawdzie szczęśliwie się złożyło, że nikt nie doznał obrażeń wskutek pożaru, ale złą stroną tego było, że ogień zauważono w pustym domu dopiero wtedy, kiedy było za późno, żeby ugasić płomienie. Z wielkiego Stradivariusa

ojca zostało tylko parę zwęglonych, rozpadających się czarnych kawałków drewna.

Głośne wyrazy ubolewania wypełniły prasę po obu stronach Oceanu Atlantyckiego. Gazety europejskie pisały, że takie skrzypce jak „cesarzowa” stanowiły dobro całego świata muzycznego i że cały świat został dotknięty tą stratą. Pojawiły się felietony, w których roiło się od dat i faktów, ale także artykuły przypominające fascynującą historię „cesarzowej” i sentymentalne eseje, ubolewające, że nigdy już nie zabrzmie jej głos, ten szlachetny, jedyny w swoim rodzaju, nadludzki głos, tajemniczym i czarodziejskim sposobem zamknięty przez największego ze wszystkich konstruktora skrzypiec w ciele spalonego instrumentu. Nie obeszło się też bez gorzkich komentarzy, podkreślających fakt, że sławne skrzypce nie powinny były pozostawać jako własność prywatna pod opieką Floriana Ambrosa, któremu nie ujmując nic z jego muzycznego arcyzmu, brak było zapewne środków i urządzeń zabezpieczających ten niezastąpiony instrument przed jego tragicznym losem.

Amerykańskie gazety nie omieszkały poruszyć finansowej strony tego fatalnego wydarzenia. Z dziecinną ufnością, że sława, piękno, sztuka najlepiej dają się wyrazić przy pomocy ścisłych cyfr, dzienniki podały przede wszystkim początkową cenę, za którą Stradivarius sprzedał „cesarzową”: 4200 lirów. Cena, za jaką pan Ambros nabył ją od byłego arcyksięcia, wynosiła 17.500 dolarów. Jedna z ofert, które Florian Ambros odrzucił, doszła do 40.000 dolarów. Któraś z gazet nadmieniła, że pan Ambros ubezpieczył skrzypce na 50.000 dolarów, co nie tylko dowodzi, jak wysoko ceniał on swój instrument, ale być może złagodzi też w pewnym stopniu jego zmartwienie z powodu poniesionej straty.

Ojciec nie chciał słyszeć o całej tej gadaninie, ale matka wyrwała stary album z recenzjami i powklejała dziesiątki nowych wycinków z gazet obok pożółkłych dawnych. Zanim ich dom się spalił, zdarzały się często nieprzyjemne rozmowy



i spory na temat pieniędzy, a raczej ich braku, ale teraz zapanował spokój w mieszkaniu, które zawsze uczynny Johnny O'Shaughnessy wynajął im w jednym z należących do niego domów. Matka zdawała się zupełnie złamana; była bardziej bezradna i narzekająca niż kiedykolwiek dotąd, chociaż w jej jasnych, brązowych oczach lśnił dziwny, niemal triumfujący blask, kiedy ubolewała nad stratą.

- Nie narzekam na naszą nędzę; ale trudny do zniesienia jest fakt, że tak nisko upadliśmy - mówiła przez łzy.

Była głęboko przekonana, że ludzie, którzy muszą mieszkać w wynajętym mieszkaniu, należą do o wiele niższej klasy niż posiadacze własnych domów.

- Babcia Ambros też miała zwykłe mieszkanie, a nie możesz twierdzić, że nie należała do dobrego towarzystwa - pocieszała ją Joy, ale to wywołało tylko nowy wybuch Angeliny.

- Nie mogę słuchać o babci, moje dziecko. Nie przypominaj mi generałowej, teraz, kiedy potrzebna mi jest ta odrobina sił, jakie mi jeszcze pozostały.

Joy tłumiąc uśmiech wstała i pieszczotliwym ruchem przesunęła palec po wytwornych konturach barokowej komody babki. Nie tak łatwo było zapomnieć o babci, zwłaszcza teraz, kiedy ich własne meble spaliły się i trzeba było odebrać ze składu stare rzeczy pozostałe po babce i zacząć je znowu używać. Niewątpliwie te kilka lat, które generałowa spędziła w San Francisco, były ciężką próbą cierpliwości dla matki. Angelina urządziła szereg łzawych scen i demonstrowała w milczeniu znoszone cierpienia, kiedy ojciec zaraz po wojnie postanowił jak najprędzej sprowadzić matkę z głodującego Wiednia do San Francisco, aby mogła spędzić ostatnie swoje lata blisko niego i bez zbyt dotkliwych wyrzeczeń.

Generałowa przybyła w rozsypującym się ze starości fotelu na kółkach, obsługiwanym przez Djura, który, jak dawniej w mundurze i białych rękawiczkach ze swymi siwymi włosami i wojskową postawą, wyglądał co najmniej równie dystyngowanie jak niejeden spośród wielkich książąt na wygnaniu.

Generałowa musiała mieć grubo ponad osiemdziesiątkę, ale skończywszy siedemdziesiąt postanowiła dalej nie liczyć już swoich lat. Była równie żywa, towarzyska i wymowna jak dawniej, tylko zbyt skora do prowadzenia rozmów w sześciu lub siedmiu językach naraz - do których niestety angielski nie należał.

Nie zamierzając bynajmniej wieść życia w odosobnieniu, przywiozła ze sobą wszystkie graty i z wielkim zapalem zabrała się do urządzania salonu w małym, nędznym pokoiczku, jaki jej oddano. Generałowa i jej salon zaczęły wkrótce przyciągać wielu ludzi, tak że w małym pokoiku roilo się od gości. Z początku przychodzili dla rozrywki, z ciekawości, żeby posłuchać, popatrzeć, poplotkować, ale wielu odwiedzało ją wiernie nadal, po prostu dlatego, że polubili staruszkę. Djuro umarł przed nią i byłoby to bardzo smutne i trochę kłopotliwe, gdyby nie fakt, że tego samego dnia generałowa wyraziła życzenie przyjęcia ostatniego namaszczenia i cicho, bez żadnych ceremonii, przeniosła się na tamten świat.

- Szkoda, że tak nie lubiłaś mojej matki - powiedział ojciec spokojnie. - Ona zawsze stawiała po twojej stronie. Ale zgadzam się z tobą w zupełności: nie będziemy jej wspominać, skoro cię to tak denerwuje. Pozwolę sobie tylko zauważyć, że mieszkanie składające się z siedmiu pokoi w przyzwoitym domu, w dobrym punkcie, bynajmniej nie świadczy o skrajnej nędzy. Doprawdy, nie wydaje mi się, żebyśmy byli tak beznadziejnie zdeklasowani. Przypomnij sobie, w Wiedniu nawet najzamożniejsi ludzie nie mieli własnych domów...

- To jest zupełnie co innego. San Francisco nie jest twoim starym Wiedniem. W Wiedniu mogłam wyjść za arcyksięcia i może powinnam była to zrobić.

- Możliwe. Słyszałem, że Joszi ma teraz małą węgierską restaurację, na trzeciej Avenue w Nowym Jorku. Nie wiem, czy lubisz gulasz, bo to jest specjalnością jego firmy.

Matka niczego nie znosiła tak źle, jak ironii ojca; przycisnęła chusteczkę do oczu, wybuchnęła rozziewającym, zdławionym

szlochem i oddaliła się. Ojciec patrzył na nią z uśmiechem, który jakby miał ostre kanty. Wciągnął głęboko powietrze i machinalnie

zaczął sobie masować żołądek, tuż pod przeponą, w miejscu, w którym jakby mu utkwiła porcja gorących kamieni.

- Podać ci ojcze, lekarstwo? - spytała Joy. - Źle się czujesz?

- Dziękuję, dziecino, czuję się znakomicie, tylko trochę zanadto objedzony, jak wilk w bajce o siedmiu kózkach, któremu napełniono brzuch kamieniami.

Wstał i nieco sztywnym krokiem przeszedł do bocznego pokoju, gdzie przeważnie spędzał teraz czas, przesiadując na biedermeierowskim fotelu generalowej. Tam czytał książki, które mu Joy przynosiła z miejskiej biblioteki. Na półkach leżały nuty, które mu po pożarze ofiarowali uczniowie i przyjaciele, obok niezłych skrzypiec tyrolskich. Stało tam również wynajęte pianino, a w alkwie, którą można było zasłaniać kotarą, znajdowało się jego łóżko. Osiem miesięcy przed pożarem przeszedł operację na wrzód żołądka, po niej przez jakiś czas przybierał na wadze, potem zaczął chudnąć.

Była to jedna z przyczyn, które przeszkodziły Joy w wyjeździe do Europy na studia. Jej akwarele stawały się coraz bledsze i bardziej nieśmiałe. Wobec choroby ojca malarstwo stało się dla niej sprawą drugorzędną, niczym więcej niż sączącym się powoli źródłem dochodów. Były to lata, w których charakter Joy, jej znużenie i rezygnacja zadecydowały o jej losie. Nie mogę stąd wyjechać, jestem potrzebna w domu - powiedziała sobie.

Matce potrzebna była w domu, bo matka była delikatna i nie umiała liczyć się z każdym groszem ani radzić sobie z niechlujną służącą. Karol potrzebował jej, sam o tym nie wiedząc, ponieważ od czasu jego wyjazdu na studia do wschodnich stanów trzeba go było chronić przed rozkładającymi prądami, jakie nurtowały ich dom. Nie tylko Joy, ale i jej cztery tysiące dolarów rocznie stały się ogromnie potrzebne, kiedy stan zdrowia ojca zaczął się gwałtownie pogarszać,

a jego wysiłki, żeby nikt nic po nim nie poznał, wprawiały go w zdenerwowanie i rozdrażnienie.

Długo trwało, zanim zdecydował się pójść do lekarza, a kiedy to wreszcie zrobił, najpierw była mowa o nadmiernej pobudliwości nerwowej, w rok później okazało się, że może to być wrzód żołądka, zalecano dietę mleczną, następnie zastosowano naświetlania rentgenem, po czym nastąpiła pierwsza operacja, a za nią druga. Wkrótce jednak nawet młody, wesoły doktor Bryant - syn starego doktora Bryanta, po którym odziedziczył praktykę - stracił swój zawodowy optymizm.

- Pan Ambros nie pomaga nam w przywróceniu mu zdrowia - oświadczył. - Odkąd stracił swego Stradivanusa, przestał walczyć z chorobą. Złożył broń. Możemy już tylko starać się ulżyć mu trochę w cierpieniu...

Im bardziej ojciec słabł, tym przejrzystsza stawała się zasłona ukrywająca jego nostalgię, o której nigdy nie mówił. Odchyłał głowę i zamykał oczy. Światło lampy rzeźbiło jego twarz, czyniąc z niej uśmiechniętą maskę, powstałą z ostro oświetlonych płaszczyzn i zaciemnionych wgłębień. Nie stracił nic ze swego, jak to kiedyś nazywał „opanowania”, nie pozwalał sobie na to, by być przykutym do łóżka, spędzał więc dni i wiele godzin nocnych w fotelu; udzielał nawet jeszcze parę

lekcji muzyki. .

- Jak wiadomo, tylko generałowie umierają w łóżku, jak na przykład mój ojciec - oświadczył z przebłyskiem dawnej ironii. - Szanujący się skrzypki ostatni swój numer programu gra na stojąco.

Dwaj czy trzej najbardziej mu oddani uczniowie trwali przy nim do samego końca, może zdawali sobie sprawę, że żaden inny nauczyciel nie potrafi im wpoić tak czystego stylu, tak bezkompromisowo surowej interpretacji. Zadaniem Joy było tak rozłożyć uśmierzające zastrzyki, żeby między ustąpieniem oszołomienia, a nowym atakiem bólu, było dość czasu na odbycie jednej z tych krótkich lekcji muzyki. Jednak przerwy między chwilową ulgą, a nowymi cierpieniami stawały się

coraz krótsze, a wymagania, jakie ojciec stawiał swemu uśmiechniętemu heroizmowi, urastały do granic nadludzkich.

- Zieleń... - mówił ojciec, wciąż jeszcze z zamkniętymi oczyma, podczas gdy jego powykrzywiane palce spoczywały bezwładnie na kolanach. - Tu, na zachodzie, zapomina się całkiem, co to znaczy: zieleń. Łąka. Nie trawnik, nie pastwisko, nie preria, nie wyschnięta równina, nie brunatne bagnisko, nawet nie darń na placu golfowym. Po prostu łąka z wysoką po kolana, soczystą trawą. Chciałbym móc jeszcze kiedyś żuć źdźbło takiej trawy, Czoj. Ma ono smak zieleni i deszczu, a przy tym jest w nim zawsze mała kropla miodu. Ach, Czoj, jedźmy do domu i ty musisz dla mnie namalować tę zieloną, zieloną ojczyzną łąkę...

Otworzył oczy i uśmiechnął się zdziwiony.

- Nie wiedziałem, że tak mi tego brakuje; kiedy tu pierwszy raz przyjechałem, zakochałem się w Ameryce, była to miłość na śmierć i życie. Ale może Angelina ma rację i mimo wszystko stałem się prawdziwym Amerykaninem. Na przyszły rok latem pojedziemy razem do Salzburga, dziecinko, musisz mi to obiecać.

- Okey, Sir, obiecuję - skłamała Joy rozpaczliwie dźwięcznym głosem. - Jakoś wy grzebię ekstra gotówkę. Poczekaj, tak się będziemy w Salzburgu opijać kawą z bitą śmietaną, że o mało nie pękniemy.

- Nic nie będziesz musiała wygrzebywać. Niech tylko matczyne okręty, załadowane workami złota, zawiną do portu

i towarzystwo ubezpieczeniowe wypłaci te pięćdziesiąt tysięcy za „cesarzową”, to będziemy się nurzać w pieniądzach i gazety będą zamieszczały twoją fotografię jako bogatej spadkobierczyni - odparł.

Matczyne worki złota nie zawinęły do portu w przewidzianym terminie. Triumfujący błysk w jej oczach zgasł, a głos rozbrzmiewał skargami, kiedy procesja niesympatycznych panów z teczkami zaczęła wciskać się w ich prywatne życie. Inspektorzy zakładu ubezpieczeń, agenci, pośrednicy, adwo-

kaci; dochodzenia, konferencje, najrozmaitsze zeznania, które składano, zapisywano, zaprzysięgano, porównywano, podawano w wątpliwość. Wreszcie nastąpił krytyczny moment, kiedy towarzystwo ubezpieczeniowe nie tylko odmówiło wypłacenia owych pięćdziesięciu tysięcy dolarów, ale jeszcze w uprzejmych, lecz w tonie groźby utrzymanych słowach oświadczyło, że ogień powstał na skutek niedbalstwa graniczącego z przestępstwem i podpaleniem, i że cała rodzina może z tego powodu zostać pociągnięta do odpowiedzialności sądowej. Cztery tysiące dolarów Joy nie było wielkim dochodem, zwłaszcza podczas choroby ojca. Toteż Joy dla dodatkowego zarobku zaczęła malować kartki świąteczne. Wobec tego Angelina postanowiła również wykazać szczególną przedsiębiorczość.

- Nie przywykłam wprawdzie zarabiać na swoje utrzymanie - oświadczyła - ale wydaje mi się, że haftowanie ściegiem gobelinowym tych ślicznych torebek, które są teraz takie modne, musi być bardzo intratnym zajęciem.

Niestety po dziesięciu minutach zmudnej pracy matka dostała nieznośnego bólu głowy i musiała trzy dni leżeć w łóżku, w zaciemnionym pokoju.

- Wszyscy jesteście egoistami - biadała - pozwalacie, żebym sama troszczyła się o cały dom. Inne kobiety mają mężów, którzy biorą na siebie wszystko, co ma związek z interesami. Florian nigdy tego nie robi! Jeżeli czuje się na tyle dobrze, żeby bezpłatnie udzielać lekcji Paulowi Homerowi, to chyba równie dobrze mógłby rozmawiać z tymi okropnymi ludźmi z towarzystwa ubezpieczeniowego. A co się właściwie dzieje z Karolem? Wie, że jego ojciec jest chory, a ja nie mam dość zmysłu praktycznego do tych wszystkich potwornie skomplikowanych spraw finansowych. Dlaczego nie wraca do domu, żeby mi w tym pomóc?

- Bo mu napisałam, że w żadnym razie nie powinien przyjeżdżać - odparła Joy spokojnie.

Zawsze stała, jak mur, pomiędzy bratem a niepokojem,

w jakim upływało życie ich rodziny. Tylko dzięki temu postawiła na swoim i Karol wyrósł na prostolinijnego, zdrowego, silnego, rozumnego chłopca, który wiedział, czego chce. Chciał zostać architektem i porozwalać wszystkie hiszpańskie, mauretańskie, gotyckie, weneckie, szkockie i Bóg wie jakie jeszcze, pozbawione stylu, ohydne straszidła architektoniczne, którymi spekulanci zapaskudzili ulice amerykańskich miast. Chciał zdemolować wszystkie te francusko-normandzkie zamki, szwajcarskie domki, renesansowe pałace, egipsko-chińskie kina i poczty w postaci greckich świątyń. A w zamian za to chciał budować domy, po prostu uczciwe, przyzwoite domy mieszkalne.

Ale w roku 1928 w Stanach Zjednoczonych niewiele jeszcze było architektów, od których młody człowiek mógłby się nauczyć budowania takich domów. Dlatego kiedy Karol, mając siedemnaście lat, ukończył szkołę średnią, odbył pielgrzymkę do Bostonu, by tam osiąść u stóp jedyne go mistrza, którego uważał za wielkiego architekta. Joy była zadowolona, że jej brat znajduje się w bezpiecznej odległości od całego tego domowego nieszczęścia, od pożaru domu i spowodowanego tym wzburzenia i zamętu, że żyje poza zasięgiem matczynych narzekań i łagodnych okrzyków bojowych, mających wywoływać współczucie: a przede wszystkim, że zostało mu oszczędzone rozdzierające widowisko powolnego konania ojca.

- A dlaczego właściwie ty nic dla nas nie robisz? - zwracała się matka z wyrzutem do Joy. - Dlaczego nie pójdziesz do George'a Wattsa, jeśli się tak szczęśliwie składa, że to on reprezentuje towarzystwo ubezpieczeniowe, i nie porozmawiasz z nim? On ciebie wysłucha, bo zawsze miał do ciebie słabość. Musisz mu wytłumaczyć, że my nie prosimy przecież o żadną filantropię ani łaskę! W ogóle nie rozumiem, jak on śmie bezczelnie kwestionować nasze żądania. Pieniądze słusznie nam się należą.

Joy zadzwoniła do George'a Wattsa, który zaprosił ją na lunch do eleganckiego hotelu St. Francis, gładził ją po rękach

i opowiadał, że była uroczym dzieckiem i że wyrosła na elegancką młodą damę; poza tym rozmowa ta nie dała żadnych konkretnych rezultatów. Wobec tego matka zdecydowała się pójść osobiście do jaskini lwa: wróciła jednak po wizycie w biurze pana Watta bardzo rozdrażniona i z rozwiniętymi żaglami wpłynęła do pokoju ojca.

- Nie wyobrażasz sobie, jaki bezczelny bufon zrobił się z tego Watta i jakich on nabrał manier! Jakbym go nie znała, jeszcze kiedy był zasmarkanym szczeniakiem w Tiburon! Widocznie uważa, że może pozwolić sobie na chamskie wystąpienie wobec mnie, ponieważ ma pewien wpływ na tę sprawę i ponieważ wie, że nikt, ale to absolutnie nikt się za mną nie ujmie. Ale on jeszcze zobaczy, co będzie, jak ja to wszystko opowiem Johnny'emu O'Shaughnessy.

- No pewnie, moja droga... O'Shaughnessy... dlaczego ci to wcześniej nie przyszło do głowy? Porozmawiaj z nim - powiedział ojciec trochę zbyt łagodnie.

Johnny O'Shaughnessy, który miał najpoważniejsze szanse uzyskania w najbliższych wyborach fotela senatora ze stanu Kalifornia, należał do tych mężczyzn, którzy budzili w matce żal, że nie wyszła za nich za męża. Chociaż miała już prawie pięćdziesiąt lat, wciąż jeszcze była pociągającą kobietą i nie miała wątpliwości, że każdego mężczyznę mogłaby sobie owinąć wokół palca.

- Naprawdę, czasem wydaje mi się, że ciebie nic a nic nie obchodzi, co ja robię, Flori - powiedziała tonem skargi.

- Ależ skąd, mój biedny aniołku - odparł ojciec i trudno się było zorientować, czy mówi to naprawdę czule, czy z ironią.

Ujął jej ręce w swoje wychudzone, a jednak obrzmiałe palce i pochylił głowę, żeby ją ucałować, ale ona mu się wyrwała. Joy wiedziała, że teraz nastąpi wiecznie ta sama, bez końca powtarzana litania:

Gdybyś sprzedał skrzypce panu Arlingtonowi, wszystko by się dobrze ułożyło. Mielibyśmy w banku czterdzieści pięć tysięcy dolarów. Co ja mówię? Mając czterdzieści pięć tysięcy



dolarów zrobilibyśmy już majątek na giełdzie. Ale nie, ty nie chciałeś kierować się rozsądkiem, musiałeś za wszelką cenę zachować instrument, na którym już nawet nie grywałeś. Mój Boże, kiedy sobie przypominę, jak cię błagałam, żebyś go sprzedał! Czasem naprawdę wydaje mi się, że ciebie diabeł opętał, Flori, sam przyznasz, że to było zupełne szaleństwo, odrzucać taką wspaniałą ofertę.

- Możliwe. Ale to było takie przyjemne opętanie, mój aniołku. Do diabła, Angelino nawet ty musiałaś to rozumieć, albo przynajmniej domyślać się, co te skrzypce dla mnie znaczyły. Moje skrzypce - one uosabiały wszystko, czym kiedyś byłem i czym chciałem być; te skrzypce były jedyną wartością, jaka jeszcze ze mnie pozostała. Te skrzypce, to byłem ja sam, Florian Ambros.

Po wielu miesiącach użerania się z towarzystwem ubezpieczeń Joy weszła któregoś dnia do pokoju ojca i nie zastała go w fotelu, lecz na łóżku z oczami zamglonymi od działania morfiny.

- Ojczy, dobre wiadomości! Matka właśnie dzwoniła z miasta, żebyśmy się o nią nie niepokoiili, chce jeszcze pójść coś przekąsić z O'Shaughnessy i może się robi późno... ale pomyśl tylko, ojczy, wszystko zostało już podpisane. Towarzystwo ubezpieczeniowe ustąpiło, to bardzo dla nas korzystny układ. Wreszcie zgodzili się wypłacić nam trzydzieści pięć tysięcy.

Ojciec nic nie odpowiedział i Joy nie bardzo wiedziała, czy ją w ogóle słyszał i rozumiał.

- Winszuję - powiedział wreszcie. - Angelina zdobywa zawsze wszystko, co sobie postanowi zdobyć. Nieodwołalnie. Jest czarującą kobietą, urzekającą i czarującą, temu nie może zaprzeczyć ani pan Watts, ani pan O'Shaughnessy i ma najlepsze intencje wobec nas wszystkich! Wyobraź sobie: trzydzieści pięć tysięcy dolarów! To przecież mnóstwo pieniędzy za kupę zwęglonego drewna, które za życia umiało śpiewać...

Joy stała w drzwiach jeszcze zadyszana pod wrażeniem tej ważnej wiadomości, a ojciec usiadł na łóżku, ale zaraz osunął się z powrotem.

- Chodź tu, Czoj, chodź do mnie, muszę zwierzyć ci pewną tajemnicę - szepnął - podejdź całkiem blisko...

Joy przeraziła się. Czyżby mu dała przez pomyłkę za dużo morfiny? - pomyślała. A może on zaoszczędził jej sobie trochę i sam zrobił zastrzyk?

- Słuchaj, Czoj - szepnął Florian - ale nigdy o tym nie mów. To ona spaliła moje skrzypce. Cały ten przeklęty dom spaliła, żeby dostać się do moich skrzypiec i tych pieniędzy. Ona to zrobiła, Angelina, swoimi małymi, białymi rączkami.

- Ależ to szaleństwo, ojczy! Ty oszalałeś! - odparła Joy.

Ojciec wyglądał jak obłąkany, jego uśmiech i szeptały zdradzały obłąkanie, kiedy tak kiwał głową i swoim zniekształconym palcem pukał w jej czoło. Był to przeszarżowany, nieprzyjemny gest kiego aktora, grającego rolę szaleńca.

- Zachowaj to tu, Czoj, żeby ci się nigdy ani jedno słowo na ten temat nie wymknęło, ponieważ to, co ona zrobiła jest przestępstwem. Spaliła dom, spaliła „cesarzową”, a wraz z nią spłonęła moja dusza, jeśli mi pozwolisz na to staroświeckie wyrażenie...

- Ależ ojczy, skąd ci to przyszło do głowy... Jak ona mogłaby... dlaczego...

- Dlaczego? To całkiem proste... ponieważ mnie kocha. Właśnie taki jest jej sposób kochania...

Skurcze bólu przebijały się poprzez okrutny uśmiech na jego twarzy.

- Zostaw mnie teraz samego. Jestem trochę zmęczony. Późnym wieczorem Joy podeszła do jego drzwi, chcąc

jeszcze raz zajrzeć do niego, ale zgasił światło i zdawało się, że śpi. Słyszała jak oddycha, powoli i głęboko. „Godzina dziesiąta. Pacjent śpi. Bóle ustąpiły” - zapisała w książce choroby, którą prowadziła dla doktora Bryanta.

Kiedy wczesnym rankiem weszła do pokoju, ojciec nie żył. Oczy miał zamknięte, musiał umrzeć we śnie. Na nocnej szafce stała pusta fiołka po środkach nasennych, które mu lekarz zapisał, nim przeszedł na morfinę. „Dwa proszki przed

spaniem, dr Bryant" - brzmiał napis a etykietce. Obok leżała złożona karteczka dla Joy.

„Raz wyjątkowo robię coś rozsądnego. Odchodzę, póki to jest jeszcze do zniesienia, ponieważ chcę tobie i sobie oszczędzić kilka niepotrzebnych, obrzydliwych tygodni. Jestem pewny, że mnie zrozumiesz. Czuję się bardzo dobrze, tylko jestem trochę zmęczony. Nastrój: Brahms, Pierwsza Symfonia, druga część. Opiekuj się Angeliną, ona cię potrzebuje, powierzam ci ją. Dziękuję za wszystko, najdroższa dziecino, mój przyjacielu. Bądź zdrowa. Niebo nade mną wydaje się pełne śpiewu skrzypiec...”

Joy zabrała i schowała karteczkę. Potem obudziła matkę, która ten cios przyjęła z zadziwiającym spokojem i hartem ducha, do jakich była zdolna w najmniej oczekiwanych momentach. Joy zostawiła ją w pokoju samą z ojcem, zatelefonowała do doktora Bryanta i nadała jeden telegram do Karola, drugi do Myszki, do Berkeley.

W dwadzieścia minut później, po wyjściu matki z salonu muzycznego, okazało się, że słoiczek po proszkach zniknął z nocnej szafki. Leżała tam tylko otwarta papierośnica ojca, a w niej jeszcze dwa papierosy. Wkrótce potem przyszedł doktor Bryant, wybąkał kilka okolicznościowych wyrazów współczucia i przystąpił do dokonywania formalności. O możliwości samobójstwa nie było mowy między rodziną zmarłego a lekarzem. W ten sposób należała się, tym razem bezspornie, inna suma ubezpieczeniowa: piętnaście tysięcy dolarów gotówką z tytułu ubezpieczenia ojca na życie.

Matka nie załamała się aż do pogrzebu, w którym wzięło udział całe towarzystwo z San Francisco i którym ojciec z pewnością świetnie by się ubawił. A w sześć tygodni później, pogrążona w smutku i bólu Joy, zakochała się we Fredzie Hollenbecku.

\*

Czasami Fred Hollenbeck był jeszcze zupełnie blisko i za-

niknąwszy oczy, Joy mogła go widzieć przed sobą, dokładnie tak, jak wyglądał podczas wspólnie spędzonych trzech tygodni w Pismo Beach i na portrecie, który wtedy usiłowała namalować; świadome celu, ciemnobłękitne oczy, prawie białe brwi i rzęsy, kontrast między opalonym na brąz ciałem a bladoróżową twarzą, z której wskutek codziennego opalania się schodziła skóra. Czasami wydawał się jej jeszcze obecny. Potem znów przychodziły okresy, kiedy wpatrując się w ten ledwie naszkicowany obraz stwierdzała, że przedstawia on człowieka, którego znała zaledwie przelotnie.

Wciąż jeszcze Fred zjawiał się w snach Joy, a kiedy się budziła, brzmiał jej w uszach jego głos. Ołowiany ciężar ostatnich pustych piętnastu lat stawał się wtedy lżejszy, po czym z tym większą siłą zwał się znów na nią. Fred był jeszcze jednym z rzędu tych ludzi, których kochała, a którzy, jeden po drugim, wycofywali się i znikali z jej życia. Było to jednak rozstanie nie tak definitywne jak z tamtymi, którzy umierali, i dlatego pozostał jej po nim jakiś nieokreślony, trwały ból, jak po niezupełnie udanej operacji. Przez pięć lat przysyłał jej jeszcze kartki na Boże Narodzenie; a ostatniego lata natknęła się na jego zdjęcie w jakimś czasopiśmie: „Fryderyk Hollenbeck, nowa osobistość w Waszyngtonie”. Łysy - no tak, jego płowe włosy zawsze były dość rzadkie. Zeszczupłał, co zapewne było wynikiem wielu godzin porannych ćwiczeń gimnastycznych. Najbardziej jednak zmieniły się jego usta. Były teraz zaciśnięte, ambitne, o prawie niewidocznych wargach, tak charakterystyczne dla Amerykanów robiących karierę. U boku Freda uśmiechała się elegancko ubrana pani Hollenbeck, w pełnym bojowym rynsztunku, z przypiętym kwiatem, w sobolowej etoli.

...jedną z przyczyn tak ciepłego przyjęcia, jakie spotkało nowego bystrego, nieprzeciętnie mądrego i dobrze poinformowanego doradcę prezydenta do spraw gospodarczych w niełatwym i powściągliwym Waszyngtonie, jest ujmujący sposób bycia i wdzięk, / jakim jego żona potrafi pozyskiwać przyjaciół

i wpływy. Winszuję ci, Fred! To wszystko, o czym zawsze marzyłeś! Wielka kariera, wpływowe stanowisko, szczęśliwe życie rodzinne i mnóstwo pieniędzy na dodatek, pomyślała Joy, niewzruszona i obojętna. A jednak potem przez wiele nocy Fred pojawiał się stale w jej snach, młody, ambitny i bardzo w niej zakochany.

Było to pewnego listopadowego dnia 1928 roku, kiedy okres późnego babiego lata w San Francisco nagle się skończył; Joy czekała na tramwaj u zbiegu Greenwich Street i Van Ness Avenue. Wysoki młody człowiek; który w pół minuty po niej zjawił się na tym samym rogu niósł w jednej ręce olbrzymią, nieporęczną pakę, pod drugą zaś miał wciśniętą teczkę tak wypchaną ciężkimi książkami, że nie można jej było domknąć. Rozglądał się niepewnie dookoła, chwilę się zastanawiał, po czym złożył swoje ciężary na ziemi, żeby zdjąć kapelusz i z ceremonialną uprzejmością zapytał Joy, czy z tego przystanku odchodzi tramwaj na Market Street.

- Tak, właśnie z tego. Ja też czekam na ten tramwaj - odparła.

Podziękował, włożył z powrotem kapelusz i dźwignął z ziemi swoje nieporęczne ciężary. Odwrócił się od Joy natychmiast, aby nie wywoływać wrażenia, że jego pytanie miało jakiś cel uboczny. Przyglądała mu się. Jego twarz miała w sobie coś interesującego, a dla niej jako dla malarki była w jakiś sposób intrygująca. W dwa i pół roku później, w Pismo Beach, twarz ta stała się jej zbyt droga, by mogła ją dobrze namalować. Poza tym Fredowi zależało na fotograficznym podobieństwie, podczas gdy ona chciała oddać to, co się głębiej kryło: wyraz, duszę, samą istotę.

- Dusza, istota? Wszystko bzdury! Jeśli portretowanie nie jest sztuką odtwórczą, to gwizdź na nie! Chcę być na płótnie taki, jaki naprawdę jestem, rozumiesz, żeby móc pokazać naszym dzieciom i wnukom, jak starszy pan wyglądał w swoich najlepszych latach. Gdyby starzy mistrzowie byli takimi leniuchami, jak wy, malarze współcześni, to nikt by dzisiaj nie

wiedział, jak wyglądał papież Paweł III, Rembrandt, albo... albo...

- Uniżone dzięki za łaskawe pouczenie - odparła Joy i już rozpętała się jedna z ich ożywczych dyskusji. To było też między innymi przyczyną, dla której nigdy nie nudzili się ze sobą. Odbywała się między innymi nieustanna wymiana, branie i dawanie, wesołe starcia, ciekawe dyskusje, mnóstwo coraz to nowych odkryć i awanturniczych wypraw w świat drugiego.

Pierwszy poryw wiatru, który nagle wypadł zza rogu Greenwich Street, zerwał kapelusz z głowy Freda. Jednak Fred nawet nie próbował gonić swego kapelusza; stał bezradnie, obie ręce miał zajęte bagażami i patrzył zaniepokojony z trochę tępym wyrazem twarzy. Joy natychmiast bez namysłu rzuciła się w pogoń za kapeluszem; zaryczały klaksony, zapiszczały hamulce. Jediną rzeczą, jaką mogła zrobić dla uratowania kapelusza w zamieszaniu, powstałym wskutek gwałtownego zatrzymania się pojazdów, było silne przydepnięcie go, zanim zdążył znów uciec.

Pośpiesznie usiłowała doprowadzić go do porządku i z pełnym skruchy uśmiechem wręczyła właścicielowi. Ten położył wreszcie na ziemi swoją otwartą teczkę i pakunek i uśmiechnął się do niej uprzejmie. Przez ten czas odjechał tramwaj, na który oboje czekali.

- Dziękuję - powiedział Fred - tysiącne dzięki! Ale po co się pani tak trudziła! Teraz wydaję się sam sobie niepoprawnym idiotą, co zresztą nie jest pewnie dalekie od prawdy.

- To ten nasz wiatr... myśmy już do niego przywykli - przerwała mu Joy - a pan jest chyba nietutejszy.

- Do licha, a byłem już absolutnie pewny, że pozbyłem się tego akcentu z prerii - powiedział. - Ale obawiam się, że wciąż jeszcze mam na sobie przyklejoną etykietkę: Wisconsin. W dodatku przeze mnie uciekł pani tramwaj. Co teraz robić?

Sądę, że czekać na następny odparła, przyjemnie rozgrzana jego uprzejmą małomiasteczkową poufałością.

- Właśnie jedzie taksówka, to lepsze wyjście niż stanie na tym piekielnym wietrze - stwierdził Fred i ze zdumiewającą zręcznością zatrzymał nadjeżdżający samochód. Z tą samą nieoczekiwaną zręcznością potrafił mimo dźwiganych ciężarów, pomóc jej wsiąść do taksówki; a Joy ku własnemu zdziwieniu nie zaprotestowała. Zdawało jej się, że otworzyło się nagle okno, a świeże powietrze i światło wpadło do ciemnego pokoju, w którym przebywała od śmierci ojca. Ni stąd ni zowąd gotowa była przeżyć tę małą przygodę.

- Nie mam zwyczaju wsiadać do taksówki z nieznajomymi - powiedziała jednak, żeby zachować własną godność.

- Ani ja - odparł sucho, zatrzasnął drzwiczki samochodu i usiadł obok niej. - Dokąd mam panią zawieźć?

- A dokąd pan jedzie?

- Do Stowarzyszenia Pionierów. Obiecałem mojej ciotce Matyldzie odtaszczyć tam jej rupiecie.

- Czy pan mówi o pani Browder? O pani Matyldzie Browder?

- Zna ją pani?

- Tylko przelotnie. Ale moja matka dobrze ją zna. W San Francisco wszyscy się przecież znają, a Browderowie to jedna z najstarszych tutejszych rodzin.

Browderowie należeli do oficjalnie uznanych i zarejestrowanych pionierów, co oznaczało, że pierwszy Browder przybył do nie istniejącego jeszcze wtedy San Francisco tuż po odkryciu pierwszych żył złota w Kalifornii w roku 1849; było to wyróżnienie, które dla Ballardów - ich przodkowie ścignęli tu dopiero w roku 1851 - pozostało na wieki niedościgłe. Zubożała i owdowiała ciotka Matylda była utrzymywana przez śmietankę towarzyską miasta, która dyskretnie przychodziła jej z pomocą, ofiarowując różne żle płatne honorowe funkcje. Aktualnie ciotka Matylda zajmowała się katalogowaniem zbiorów miejscowych osobliwości, należących do Stowarzyszenia Pionierów, a ogromna paczka, którą dźwigał Fred, zawierała wysokie buty i ostrogi człowieka, który odegrał ważną rolę we wczesnej historii miasta.

- Stare buty z cholewami! - wykrzykiwał Fred. - Stowarzyszenie Pionierów, ciotka Matylda, kult przodków, niech diabli wezmą to całe zawracanie głowy!

Joy zaśmiała się cicho, zdawało jej się, że od wieków się nie śmiała.

- Zaraz, zaraz... zdaje mi się, że teraz już wiem, kim pan jest. Czy nie wygłaszał pan w jakichś klubach odczytów? Czytałam o tym w „Kronice”, nie mogę sobie tylko przypomnieć pańskiego imienia...

- Mam na imię Fred: Fred Hollenbeck, jeśli pani chce dokładnie wiedzieć. Tak jest, musiałem produkować się we wszystkich możliwych szanujących się stowarzyszeniach.

- Od czasu do czasu także miewam odczyty - przerwała mu Joy nieśmiało.

- Odczyty? Pani także? Na jaki temat?

- Och, tylko o malarstwie, o kulturze, coś niecoś o pojmowaniu sztuki...

- Wielki Boże! O sztuce! - wykrzyknął Fred przerażony, czym znowu ją rozśmieszył.

- Czy sztuka to coś tak bardzo złego pana zdaniem?

- Sztuka jest mglista. Nie ma w niej reguł ani praw. Brak jej precyzji.

- Mówi pan straszne głupstwa! - powiedziała Joy porywczo. Uśmiechnął się.

- Ma pani zupełną słuszność i właśnie to jest mój główny zarzut wobec sztuki - odparł uprzejmie - że absolutnie jej nie rozumiem.

Tak się to zaczęło. Następnym razem spotkali się zupełnie przypadkowo w bibliotece miejskiej. Oboje czekali na windę.

- Co pani robi w taki pogodny, słoneczny dzień pośród moli książkowych? - zapytał. - Czy obkuwa się pani do wykładu na temat sztuki?

W jego oczach widać było nie ukrywaną radość z tego spotkania, a Joy była zadowolona, że zdjęła żalobę i włożyła swój nowy, ładny kostium.



- Nie, ja... przyszedłam po pewną książkę...

Spojrzał ukradkiem na gruby tom, który na próżno usiłowała zakryć torebką. Było to dzieło ekonomiczne, „Postęp i ubóstwo” Henry George'a. Fredowi zadrgały usta od powstrzymywanego uśmiechu.

- A co pan tu robi? - spytała.

- Ja? Ach, szukałem czegoś, co mi jest potrzebne do mojej pracy doktorskiej - odparł, mocniej ściskając teczkę pod pachą. - A zresztą, pal sześć! - rzekł nieoczekiwanie, wyjął książkę z teczki i podsunął ją Joy pod nos. „Historia sztuki” Fauresa. Popatrzyli na siebie, a potem oboje wybuchnęli śmiechem. Winda stanęła i razem wyszli na łagodne światło kalifornijskiego grudniowego dnia.

- Co by pani powiedziała na filiżankę kawy? - zapytał.

- Nie mam nic przeciwko temu, tylko ja wolę herbatę - usłyszała Joy ku wielkiemu swemu zdziwieniu własną odpowiedź.

- Świetnie. A gdzie możemy dostać przyzwoitą herbatę dla milady?

- Czy był pan już kiedyś w „Japońskiej Herbaciarni”? Nie? To chodźmy tam.

Kiedykolwiek się spotykali, zawsze śmiali się, sprzeczcali ze sobą i znówu godzili.

- Składasz się wyłącznie z mózgu i zimnej logiki - zarzucała mu Joy.

- A ty traktujesz wszystko zbyt emocjonalnie - powiedział.

- A co masz przeciwko moim emocjom, jeśli wolno spytać?

- Na przykład ta gonitwa za moim kapeluszem... To był czysto emocjonalny odruch, ani odrobiny zdrowego rozsądku. Rzucając się pod ciężarówkę mogłaś z łatwością złamać rękę lub nogę, albo w ogóle dostać się pod koła, tylko dlatego, że chciałaś uratować moje nic nie warte nakrycie głowy. Serce we mnie wtedy zamarło...

- Naprawdę?

Do diabła, dobrze wiesz, co się działo z moim sercem,

zresztą wciąż mi jeszcze zamiera, kiedy na ciebie patrzę albo o tobie myślę...

- Gdybym nie kierowała się emocjonalnymi odruchami, nie zakochałabym się w tobie bez pamięci - szepnęła Joy, na co on nie mógł oczywiście odpowiedzieć, tylko pociągnął ją za żywopłot otaczający „Japoński Ogródek”, w którym się zwykle spotykali, i porządnie wyczałował.

Chociaż tak bardzo się różnili, mieli jednak wiele cech wspólnych i często zgadzali się ze sobą.

Na przykład oboje lubili spacerować po deszczu i ich rozmowy były najbardziej ożywione, kiedy ostry wiatr zacinał im twarze strumieniami zimnej wody. Takie spacerowały były ich wyłączną własnością, na przekór tym wszystkim okutanym, stroniącym od świeżego powietrza ludziom, którzy w popłochu polowali na taksówki i tramwaje albo przygnębieni siedzieli w domu przed dymiącymi kominkami. Oni zaś oboje pływali jak foki, fale nigdy nie były dla nich zbyt silne ani woda za zimna. I czy nie był to całkiem niezwykły przypadek, że żadne z nich nigdy przedtem nie kochało?

- Czy naprawdę Fred? Możesz przysiąc?

- Naprawdę. Nie byłem nawet zakochany. Nie miałem czasu na romantyczne głupstwa.

- To samo było ze mną. Bardzo mnie absorbowwały sprawy mojej rodziny. Nie miałam na nic czasu ani ochoty.

Zawsze umieli zachować równowagę między przyjaźnią a miłością, łączyć ze sobą wesołość i powagę. Oboje byli wolni, nie opuszczało ich uczucie, że wieje im w twarz ostry, orzeźwiający wiatr.

- Będziemy mieli zawsze otwarte okno, Fred, kochany, zawsze - mówiła często Joy, a „zawsze” znaczyło dla niej małżeństwo i dom, rodzinę, wspólne wzrastanie, dojrzewanie, starzenie się, wspólną starość. „Zawsze” oznaczało po prostu „zawsze”.

Szczęśliwa - myśli Joy - tak, wtedy byłem szczęśliwa. Nigdy przedtem ani nigdy potem już tak się nie czułam: wiem, co to

znaczy być szczęśliwą. Przeżyłam to raz jeden, a niczego więcej nie można oczekiwać, ani o niczym więcej marzyć. Tak, nawet ja, Joy Ambros, otrzymałam swoją porcję szczęścia.

Ten jeden jedyny raz Joy grała główną rolę we własnym życiu i wszystko inne zbladło. Nawet matka. Joy automatycznie i sumiennie spełniała swój obowiązek, opiekowała się nią w ciągu długich miesięcy po śmierci ojca, bo nie można było zostawić matki samej na pastwę rozpaczy i skruchy. Rozpaczy i skruchy z powodu zniszczenia skrzypiec ojca? Nie, to nie było do niej podobne. Rozpaczy i skruchy, ponieważ pieniądze z towarzystwa ubezpieczeń wypłacone zostały za późno, aby to mogło ojcu pomóc; pomogły natomiast matce. Konferencje, jakie odbywała z Johnnym O'Shaughnessy na temat lokaty pieniędzy, odwracały jej uwagę od zmartwienia. Powoli przychodziła do siebie.

Ciotka Matylda zaprosiła Joy, matkę i Freda, potem matka urządziła herbatkę dla ciotki Matyldy, a ciotka Matylda zaprosiła ich wszystkich na kolację do dostojnego, pachnącego stęchlizną domu Browderów. W tym samym czasie zaś matce powiodło się na giełdzie i zdawało się, że pławi się w pieniądzach. Między nią i ciotką Matyldą zawiązała się przyjaźń i wzajemnie wymieniały poufne wiadomości na temat finansowej sytuacji obojga młodych. Wspomniano o czterech tysiącach dolarów rocznego dochodu Joy, jako o mile widzianym dodatku do zarobków młodego ekonomisty; pani Browder ze swej strony nadmieniła, że druga ciotka Freda, pani Hollenbeck z Beloit, która go po śmierci rodziców wychowywała, jest już niemłoda, niestety niezbyt zdrowa i pozostawi siostrzeńcowi niemały majątek. Matka oświadczyła Joy wielkodusznie:

- Dzięki pomocy Johnny'ego będę niedługo całkowicie niezależna finansowo. Taki z niego wierny przyjaciel, a wskazówki giełdowe, jakie mi dał, okazały się znakomite; gdybyś więc miała ochotę pojechać do Paryża i zająć się trochę malarstwem, to nie będę cię od tego odwozila, chociaż nie

wiem, dlaczego we Francji miałabyś lepiej malować niż tu! Jeśli o mnie chodzi, to zamierzam przenieść się do Karola i prowadzić mu gospodarstwo. Ostatecznie jest moim jedynym synem, i zbyt długo go zaniedbywałam. Nie mogłam jednak opuścić ojca w chorobie i mam nadzieję, że Karol to zrozumie.

Zamiary matki, dotyczące przeprowadzki, obudziły w Joy instynkt opiekuńczy wobec małego braciszka, zapewniła więc matkę pośpiesznie:

- Nie, dziękuję mamó, to bardzo miło z twojej strony, ale nie mam ochoty jechać do Paryża i wydaje mi się, że to nie jest dobry pomysł, aby zmieniać warunki życia Karola akurat w chwili, kiedy musi się przygotowywać do końcowych egzaminów...

- Och, nie miałam przecież zamiaru przenosić się już dziś czy jutro, ale - pogroziła jej żartobliwie - może twoja głupia matka domyśla się dlaczego na razie nie masz ochoty jechać do Paryża. Oczywiście nie opuszczę cię w chwili, kiedy matka potrzebna ci jest bardziej niż kiedykolwiek. Ale pewien mały ptaszek mi wyśpiewał, że wkrótce wyjdiesz za mąż, a wtedy moje miejsce będzie już bezsprzecznie przy synu.

Do licha! Niech go Pan Bóg przed tym uchowa! - to była pierwsza myśl Joy i jeszcze tegoż wieczora napisała do Karola ostrzegawczy list.

A co nastąpiło potem? Wielki, katastrofalny krach giełdowy w październiku 1929 roku: dla matki było to nieszczęście gorsze niż trzęsienie ziemi, pożar, śmierć. Za jednym zamachem wszystko uległo zasadniczej zmianie. Nie było już mowy o niezależności finansowej; jedynym oparciem stały się znowu mizerne, ale dobrze zabezpieczone cztery tysiące dolarów rocznego dochodu Joy. Wtedy to zrodził się chorobliwy lęk matki przed samotnością i gdyby ciotka Matylda od czasu do czasu nie brała na siebie zastępstwa, Joy nie mogłaby już ani razu spotkać się z Fredem w „Japońskim Ogródku”, ani pospacerować z nim w deszcz. O ile przed krachem giełdowym matka usilnie dążyła do wydania Joy za mąż, a prawdę mówiąc

do pozbycia się jej, o tyle teraz rozpaczliwie się jej czepiała. Strach, dławiący strach przed samotnością rósł w niej i pienieł się coraz bardziej, ten pasożytniczy strach, który drażył i wyniszczał życie matki, a także życie Joy.

W konkursie na osiedle robotnicze projekt Karola otrzymał drugą nagrodę i matka zaczęła głośno ubolewać nad tym, że od wieków nie widziała syna i że nie przeżyje tego, jeśli nie będzie mogła wziąć udziału w jego promocji doktorskiej na Uniwersytecie w Princeton. Przyszli im z pomocą młodzi Frânklowie. Poczciwa Irma Frânkler zaproponowała matce podróż ich samochodem przez cały kraj aż do Nowego Jorku, skąd już bez trudu mogła pojechać w odwiedziny do Karola. Poza tym Frânklowie wykopali jakąś kuzynkę, która była gotowa zapłacić Joy sto dolarów za portret swoich bliźniaków, Joy malowała go chętnie, w tonach różowości pączków róży i błękitu niezapominajek, nie pomijając żadnego loczka ani lśnienia w dziecinnych oczach. Umożliwiło jej to wręczenie matce dwustu dolarów na koszty podróży, podrzucenie jej Franklom i zdobycie dwóch tygodni wolności dla siebie.

- Fred, najdroższy, każda minuta posiedzeń z bliźniętami była dla mnie torturą! Ale za to teraz mamy całe dwa tygodnie na potajemną podróż poślubną.

- Znakomicie. Zamówiłem już dla nas pokój w Pismo Beach, jest tam ładnie i tanio, i tak nędznie, że na pewno nie spotkamy nikogo znajomego - odparł Fred, raz jeszcze zaskakując Joy swoją zaradnością.

Po powrocie matka zdawała się jakby mniejsza niż przed podróżą, na jej delikatnej jak bibuła skórze przybyło kilka drobniutkich zmarszczek, a w pełnym zachwyty opisie wizyty u Karola brzmiały jakieś wysokie, szklane tony.

- To naprawdę wspaniały chłopak i niewątpliwie czeka go wielka przyszłość. Grover Aldenslow powiedział mi, że chętnie widziałby go w sztabie swoich projektantów. A wiesz, kto to ten Grover? Buduje wszystkie eleganckie, nowoczesne domy w stylu kolonialnym dla bogatych ludzi w Westchester.

Byliśmy zaproszeni na weekend do Bluntów, tych od cukru. Ich dom musiał kosztować co najmniej sto tysięcy dolarów, jeśli nie więcej. I... czy mam ci coś zdradzić? Wydaje mi się, że młodsza córka Bluntów, urocze stworzenie, świata nie widzi za Karolem, a wyobrażasz sobie, czego mógłby dokonać młody architekt, gdyby miał za sobą fortunę Bluntów. Ale...

- Co mam? - Joy czekała już na owo nieuniknione „ale”.

- Ale Karol bywa czasem jeszcze bardziej uparty, niż jego świętej pamięci ojciec. I strasznie jest zamknięty w sobie.

Matka pograżyła się w myślach, zapewne rozmarzyła ją wizja pieniędzy Bluntów, po czym małą część uwagi zwróciła na Joy.

- A co się z tobą działo, kiedy mnie tu nie było, moje dziecko?

- Ze mną? Och... próbowałam zrobić parę szkiców pejzaży... w Pismo Beach... to taka wioska rybacka...

Pismo Beach. Mała, pograżona we mgle, niepozorna wioska - dla Joy szczęście i spełnienie całego życia, wtłoczone w krótki okres dwóch tygodni. Słońce, piasek, fale i przyływ; dni wypełnione zabawą, śmiechem i farbami; zapach morszczyku, suszących się sieci i wysmarowanych smołą łodzi, mieszał się z olejną farbą i terpentyną z portretu Freda. Ich długonogie ciała pływały obok siebie, leżały obok siebie na piasku. Byli spragnieni siebie, zatracali się w sobie i odpoczywali potem jedno obok drugiego, odprężeni, przyjemnie zmęczeni i wciąż od nowa spragnieni.

Para zakochanych, najbanalniejsza rzecz na świecie, myśli Joy na ławce dworcowej w Tokema. Jakie to śmieszne, kiedy się spojrzy z perspektywy czasu, jakie nieważne.

Po wizycie u Karola matka była trochę przybita, Joy zaś wróciła z Pismo Beach pełna sił, z nieznanym dotychczas, podtrzymującym ją uczuciem pewności siebie.

- Nie jesteś zmęczona, mam? Nie masz nic przeciw temu, żeby Fred wstąpił tu później? Chcielibyśmy z tobą porozmawiać - powiedziała z rękami założonymi na plecach, tak jak ojciec to zwykle robił w chwilach napięcia.

- Fred? Ach mówisz o panu Hollenbeck? Czy to takie pilne?
- Dla nas tak. Chcielibyśmy się jak najprędzej pobrać.
- O mój Boże! Przecież nie jesteście jeszcze nawet zaręczeni, moje dziecko.
- Możemy obejść się bez tych formalności, to już wyszło z mody. Chcielibyśmy wkroczyć na uniwersytet już jako szczęśliwa para od dawna po ślubie.
- A więc Fred został zaangażowany do Stanford? To dobra wiadomość.
- Nie, ale zaproponowano mu stanowisko docenta w Redlands College. To całkiem niezłe jak na początek i nie chcielibyśmy dłużej czekać.

Matka siedziała chwilę w milczeniu.

- Czy tam chociaż dobrze płacą? - spytała potem całkiem trzeźwo.
- Nie sądzę. Ale dostaniemy mieszkanie służbowe, mały domek, jak inni profesorowie. A zresztą o co chodzi, mamó? Czy nie jesteś zadowolona, że jednak nie zostanę starą panną?
- Dlaczego miałabym być zadowolona? Ledwie się zdążyłam odwrócić, już popełniłaś jakieś szaleństwo, nawet mnie o nic nie pytając! Redlands! Zdecydowałabym przenieść się z wami do Stanford, stamtąd miałabym przynajmniej blisko do moich przyjaciół. Pół godziny drogi i byłabym w San Francisco. Ale Redlands? Gdzie nie znam żywej duszy i wcale nie mam ochoty poznawać. Naprawdę moje dziecko, nie możesz ode mnie wymagać, żebym się wprowadziła do nędznego, służbowego mieszkania młodego docenta i zaprzyjaźniła się z żonami profesorów. Gdzie to Redlands właściwie jest? Jakaś mała dziura w samym środku pustyni... Nie, stanowczo nie przeniosę się do Redlands...

Był to gwałtowny wybuch, tym żałośniejszy i zabawniejszy, że ani Fred, ani Joy nie mieli najmniejszego zamiaru zabierać ze sobą matki.

- Powiedz mój drogi, co mam z nią zrobić? - pytała Joy Freda.

- Wydaje mi się, że rozwiązanie jest proste i logiczne: twoja matka i ciotka Matylda serdecznie się zaprzyjaźniły. Niech obie starsze panie zamieszkają razem, dotrzymują sobie nawzajem towarzystwa i plotkują do woli; tak będzie dla nich obu najwygodniej, a przy tym najtaniej.

- Jeżeli to uważasz za proste rozwiązanie, spróbuj porozmawiać z matką - odparła Joy pełna najgorszych przeczuć.

Fred pomaszerował bez namysłu do bawialni, rozmawiał z matką przez dwadzieścia minut, po czym zjawił się z powrotem ze swym szerokim, zniewalającym uśmiechem.

- Załatwione - oznajmił obojętnie. - Możesz tam iść po matczyne błogosławieństwo.

- Nie! Nie wierzę! Jak tego dokonałeś? - wykrzyknęła Joy zdumiona.

- Twoja matka jest nie tylko czarującą kobietą, ale ma także nie byle jaką głowę do cyfr.

Matka była pochylona nad kartkami papieru, które Fred pokrył wyżej wymienionymi cyframi. Ręce drżały jej lekko i usiłowała się uśmiechać, podczas gdy łzy spływały ku wargom, zmywając z nich jaskrawą szminkę. Joy rzadko widywała matkę tak uległą i pokonaną. Wzruszyło ją to, było jej żal matki.

- Obliczyłem tu cały rodzinny budżet, dla nas i dla Angeliny - oznajmił Fred z zadowoleniem. Już nazywał ją Angeliną, a ona jego Fredem, zdawało się, że wszystko jest w najlepszym porządku. - Oczywiście nie możemy sobie pozwolić na ekscesy, ale wcale nieźle nam wystarczy.

- Jeśli chodzi o pieniądze... to możesz wziąć moje cztery tysiące, mamo, nam wystarczy pensja Freda - powiedziała Joy spontanicznie.

Twarz Freda wyrażała ostrzeżenie: Uwaga! Znowu zbyt emocjonalnie!

Nie, Joy, właśnie to wytłumaczyłem Angelinie: to nie byłoby sprawiedliwe, przynajmniej w pierwszym roku, kiedy musimy zorganizować sobie gospodarstwo; a kto wie, może



będziemy mieli nasze pierwsze dziecko. Później, to co innego. Nie będę długo źle wynagradzanym docentem, możesz być spokojna. Angelina zupełnie się ze mną zgadza, że sprawiedliwie będzie, jeśli w pierwszym roku podzielimy twoje dochody: dla każdej z was po dwa tysiące dolarów.

Przez parę dni matka była w dobrym humorze i zadowolona, pogodzona z myślą, że wraz z antykami babci przeniesie się do dostojnego, zatechłego domu ciotki Matyldy. Po paru dniach jednak humor matki zmienił się; była teraz zamyślona, zamknięta w sobie, niezwykle uprzejma dla Joy, która jej z głębi serca współczuła i mimo woli miała świadomość popełnionej winy.

- Co cię gnębi, mamó? Zdawało mi się, że masz ochotę przenieść się do ciotki Matyldy, a ona nie posiada się z radości.

- Och, nie martwię się o siebie, moje dziecko. Przygnębia mnie tylko obawa o ciebie. Nie daje mi to spać, co noc leżę bezsennie i nie mogę się zdecydować, czy mam z tobą porozmawiać, czy też pozostawić sprawy ich biegowi. Ale znasz mnie, nigdy nie uchylam się od spełniania obowiązków, choćby były nie wiem jak ciężkie. Chodź, usiądź tu koło mnie, bo chcę z tobą porozmawiać o bardzo ważnej sprawie.

- O co chodzi mamó. Stworzyłaś już napięcie, które wystarczyłoby na tragedię w pięciu aktach.

- Nie zrozum mnie źle, moje dziecko, bardzo cenię twojego narzeczonego, ma dobry charakter, pochodzi z dobrej, solidnej rodziny...

- Piękne dzięki! I co dalej?

- Niestety, nie można tego samego powiedzieć o tobie, moje dziecko. Musisz mi wybaczyć, że cię tym tak bez żadnego przygotowania zaskakuję. Nie chciałam być brutalna...

- No dobrze, mamó. Wyciągajże wreszcie ze strychu tego rodzinnego upióra. Czy któryś z Ballardów wziął sobie żonę z domu publicznego? Nie bylibyśmy jedyną w San Francisco rodziną z taką plamą na honorze, ale ani Fred, ani ja nic byśmy sobie z tego nie robili.

- Nie bądź wulgarna i nie strój sobie ze mnie żartów; sprawa jest naprawdę poważna. Chodzi mianowicie o twoje zdrowie.

- Cóż można zarzucić mojemu zdrowiu? Przecież sama zawsze twierdziłaś, że jestem zdrowa jak koń. Aha, już wiem, o czym myślisz... że Maud miała coś z płucami?

- Nie, nie o to mi chodzi. Powinniśmy Bogu dziękować, że udało mi się wychować ciebie w zdrowiu; to znaczy w zdrowiu fizycznym. I miejmy nadzieję, że również zdrowa będziesz, kiedy wyjdiesz za mąż i założysz rodzinę. Bo chyba chcecie mieć dzieci, czy też nie?

- Oczywiście, chcemy mieć dzieci.

- W takim razie, moje dziecko, może źle zrobiłam, że nie porozmawiałam z tobą o tym wcześniej, ale bałam się, że cię to zanadto wytrąci z równowagi. W końcu jednak muszę ci to powiedzieć: pochodzisz z chorej rodziny. Ze strony Ambrosów. My, Ballardowie, byliśmy zawsze zdrowi, na ciele i na duszy...

- No, proszę, mów dalej.

- W rodzinie Ambrosów od wielu pokoleń zdarzają się choroby umysłowe. Obciążenie dziedziczne. To jest dekadencja, zepsuta, zdegenerowana rodzina. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć? Moja droga, nie możesz ryzykować

i wydawać na świat dzieci. Nie jestem nawet pewna, czy możesz ryzykować małżeństwo.

Joy czuła, że jej ręce robią się zimne i założyła je na plecach.

- To jakaś bzdura - powiedziała z kamiennym, niedowierzającym uśmiechem.

- Niestety, to szczerą prawdą. Czasem taka choroba przeskakuje jedno pokolenie i wybucha, kiedy człowiek się jej najmniej spodziewa. Przypomnij sobie twego ojca, jego nieopanowany temperament, potem znowu okresy melancholii, kiedy się prawie nie odzywał, te nagłe zmiany nastroju. Nie możesz przecież twierdzić, że twój ojciec był człowiekiem normalnym.

- Mój ojciec był... Nie, proszę cię, nie mieszaj w to ojca.
- Możesz mi wierzyć, znałam twego ojca lepiej niż ty. Staralam się tylko, żeby nikt nie zauważył, jak z nim jest. Przez całe życie to maskowałam, ale wiedziałam o tym, o tak, dobrze wiedziałam. A sposób, w jaki umarł... Nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat.
- Proszę cię, mamo, nie mówmy o tym teraz.
- A jak to było z babcią? Nie możesz chyba twierdzić, że generałowa była normalna.
- Babcia była trochę ekscentryczna.
- Cierpiała na stany maniakalno-depresyjne oraz na zdecydowaną manię wielkości, tak brzmiała diagnoza doktora Behrmanna, a doktor Behrmann jest jednym z najsławniejszych psychiatrów. Poznałam też jako młoda dziewczynka brata babci Ambros, hrabiego Ammeringa; w końcu zwariował i musiano go umieścić w zakładzie dla umysłowo chorych. Jedna z sióstr twego ojca dostała pomieszenia zmysłów po pierwszym porodzie i stała się odtąd potwornym ciężarem dla swego męża. Ale nie wdawajmy się w szczegóły. Nigdy jeszcze nie słyszałam o tak poważnym dziedzicznym obciążeniu, jak w tej rodzinie.
- Jeżeli słyszałaś o tym, to dlaczego wyszłaś za męża ojca? - spytała Joy, mimo wzburzenia rozumując logicznie. - A przed tobą jeszcze Maud?
- Maud o niczym nie wiedziała, a zresztą i tak by tego nie zrozumiała. Jeśli o mnie chodzi, to kochałam twego ojca i kochałam cię, i wiedziałam, że potrzebujesz matki. Nie chcę przez to powiedzieć, że się dla ciebie poświęciłam... Ale kochałam cię i twego ojca tak bardzo, że zdecydowałam się wziąć na siebie to ryzyko z pełną świadomością. Bogu dzięki, wszystko poszło szczęśliwie. Karol wdał się w Ballardów, w zdrową rasę pionierów. Ale ty robisz się coraz bardziej podobna do rodziny Ambrosów i nie masz pojęcia, moje dziecko, jak ja się tym gryzę, chociaż nigdy ci tego nie mówiłam. Teraz jednak, kiedy chcesz wyjść za męża i założyć

rodzinę, musisz przynajmniej powiedzieć całą prawdę Fredowi i jemu pozostawić decyzję. Jeżeli kocha cię tak, że weźmie na siebie ryzyko, to zrobi to chociaż z pełną świadomością. Tak jak ja, kiedy wychodziłam za mąż za twego ojca. Moje dziecko, wiem, jakie to dla ciebie ciężkie, ale jeśli chcesz być uczciwa, powinnaś mu wszystko wyznać.

Podniosła się, stanęła za Joy i zaczęła jej łagodnie odgarniać włosy z wysokiego czoła.

- Jeśli myślisz, że to cię będzie za wiele kosztowało, mogę cię wyręczyć i porozmawiać z nim - zaproponowała matka ostrożnie.

- Dziękuję mamó, to zbyteczne. Jestem tylko... jestem po prostu trochę wytracona z równowagi. Pozwól mi wszystko przemyśleć. W każdym razie dziękuję ci, że mi o tym powiedziałaś.

Joy poszła do swojego pokoju i trucizna, którą jej matka zastrzyknęła, zaczęła się powoli rozprzestrzeniać, aż dotarła do wszystkich komórek mózgu. Po raz pierwszy zwróciła się po radę do sławnego doktora Behrmanna, który wzruszając ramionami wypytywał ją, badał i odprawił w końcu z mętnie pesymistycznym optymizmem.

- ...nie znając przypadków chorobowych innych członków pani rodziny, nie mogę wypowiedzieć definitywnego zdania... Oczywiście, trudno przewidzieć, w jaki sposób odziedziczone skłonności mogą się przejawiać... Z drugiej strony dużą rolę odgrywa tutaj otoczenie i wczesne doznania. W tej chwili pani robi na mnie wrażenie osoby całkowicie zrównoważonej. To prawda, że babka pani żyła w świecie dalekim od realnego, ale poznałem ją, kiedy była już bardzo stara i mógł to być zwykły objaw starczej degeneracji. Pani ojciec był istotnie moim pacjentem w pewnym okresie nerwowego załamania, ale było to tylko przemijające zakłócenie wewnętrznej równowagi. W obecnym stanie rzeczy nie mogę pani odradzać małżeństwa, ale nie chciałbym także brać na siebie odpowiedzialności i radzić, żeby pani wyszła za mąż i rodziła dzieci... W każdym

razie chciałbym jeszcze raz z panią porozmawiać, powiedzmy... w środę? O trzeciej piętnaście? Do widzenia pani. Bardzo mi było miło...

Cienka tafla lodu, nic więcej. Joy usiłowała rozproszyć chmury, nie mogła spać, badała swoje sumienie i porała się ze swym mętnym i niezbyt uchwytnym problemem. Trzeciego dnia wybrała się na daleki spacer wybrzeżem. Zeszła po skałach na dół a potem siedziała długo, objąwszy kolana rękami, pogrążona w rozmyślaniach. Wzrok jej zaczął wchłaniać otaczające ją przedmioty i przetwarzać je. Było to raczej patrzenie niż myślenie i płynęła z tego wielka, uzdrawiająca siła. Zanim Joy wyruszyła w drogę powrotną, podniosła z ziemi duży, płaski kamień, w którym woda wyłobiła gładkie, owalne wgłębienie. Wsadziła go do kieszeni płaszcza i objęła mocno palcami. Dobrze się czuła, jakby oczyszczona i oswobodzona od owej czającej się podstępnie trucizny - tak się jej przynajmniej zdawało.

- Zastanawiałam się nad tą sprawą, mamó. Nad tym, co mi ostatnio opowiedziałaś.

- No i co?

- Postanowiłam nie mówić o tym Fredowi. Omawiałam tę sprawę z doktorem Behrmannem i nie widzę powodu do rozdmuchiwania jej i robienia z niej wielkiego problemu. Nie boję się.

Matka podniosła na nią wzrok znad swetra, który zaczęła robić na drutach, kiedy Karol wstąpił na uniwersytet w Princeton i który do jego promocji doktorskiej nie był jeszcze całkiem gotowy.

- Nie boisz się niczego poza... - powiedziała z nikłym uśmiechem, kiedy Joy była już przy drzwiach.

- Słucham?

- Nie boisz się niczego poza stwierdzeniem, że twój narzeczoną nie kocha cię na tyle, żeby wyjść zwycięsko z tej próby dokończyła matka.

Pod tym względem była niezawodna, trafiała zawsze w drgający, odkryty nerw.

Czując jeszcze palący ślad tego uderzenia, Joy pobiegła do Freda, żeby się z nim rozmówić.

- Powiedz mi, Fred, ale całkiem szczerze, czy zauważyłeś kiedy, że ja jestem szczególnie nerwowa? Że mam zmienne nastroje? Że jestem chwiejna, niezrównoważona czy coś w tym rodzaju? - zapytała, kiedy siedzieli przy herbacie w swoim stałym, przytulnym miejscu spotkań, w „Japońskim Ogródku”. Łyżeczka, którą trzymała w ręku, lekko drżąc, uderzała o spodek.

Fred roześmiał się tylko.

- Ależ oczywiście, mój skarbie, jesteś równie nerwowa, co nieobliczalna. Dlatego przecież zakochałem się w tobie od pierwszego spojrzenia! Na zewnątrz pełna rezerwy dama, ale do licha, jaka z ciebie kobieta, kiedy wyzbywasz się rezerwy! Lubię ukryty ogień, daje o wiele więcej ciepła...

- A nie wydaje ci się, że jestem czasami trochę zwariowana?

- Oczywiście, inaczej nie wybrałabyś sobie takiego mało znaczącego osobnika, jak ja. Ale nie martw się, w razie potrzeby wystarczy mi rozsądku za nas oboje.

Joy znowu wzięła rozpęd:

- Fred, mój drogi... a gdyby później... jak się pobierzemy... co byś zrobił, gdybym zachorowała... Albo gdyby któreś z naszych dzieci było chore... Chodzi mi o to...

- Wiem doskonale o czym myślisz. Gdybym ja złamał nogę, to oczywiście uciekłabyś z chłopcem od rzeźnika? Gdybyś ty dostała zapalenia ślepej kiszki, ja zacząłbym natychmiast romans z Marleną Dietrich. A gdyby nasze potomstwo zachorowało na odrę, co się na pewno zdarzy, wtedy po prostu rzuciłbym cię i nigdy byś mnie już nie zobaczyła.

- Mówię poważnie Fred, ja...

- Ja także, Joy. Oboje wiemy, co to jest małżeństwo: „na dołę i niedolę, w zdrowiu i chorobie, póki nas śmierć nie rozłączy”. Żadne z nas nie lekceważy przysięgi małżeńskiej, no, a teraz przestań pleść głupstwa.

I Joy dała spokój. Nie powiedziała mu całej prawdy.

Próbowała zapomnieć o wszystkim. Prawdopodobnie była to jedna z chytrych sztuczek matki, którymi tak lubiła wprowadzać trochę zamieszania, kiedy coś układało się zbyt gładko. Dopiero znacznie później, kiedy wszystko się już stało i minęło, a trucizna spełniła do końca swoje zadanie, Joy zaczęła dociekać, czy matka nie wmieszała się potajemnie w tę sprawę i nie odstraszyła Freda Hollenbecka...

Matka zaprzeczyła temu, gwałtownie się zarzekając i protestując, ale to niczego nie dowodziło, Joy dobrze o tym wiedziała. Kłamstwo i przekręcanie faktów było dla matki rzeczą równie naturalną, jak dla innych ludzi oddychanie, sen, trawienie.

Tak więc Fryderyk O. Hollenbeck, „nowa osobistość w Waszyngtonie”, odszedł z życia Joy jak gentleman. Parę pośpiesznych słów pożegnania przez telefon, telegram z Beloit w stanie Wisconsin: „Ciotka Hollenbeck ciężko chora, moja obecność chwilowo konieczna, serdeczności”. Wymijający list, mglisty telegram z Nowego Jorku, na jej urodziny kwiaty i nawet rozmowa telefoniczna, szybka, zniekształcona, bez treści. Radykalna amputacja byłaby mniej bolesna niż ten rozkład jedynej miłosnej przygody Joy. Fred nie wrócił już do San Francisco ani nie pojechał do Redlands. Listem z Londynu doniósł jej wreszcie, że otrzymał stypendium naukowe, i że praca nad pewnym problemem socjalno-ekonomicznym zmusza go do pozostania na dwa lata w Europie, a potem w Ameryce Południowej.

Przez jakiś czas przychodziły jeszcze listy, coraz krótsze i z coraz dłuższymi przerwami, a potem od czasu do czasu widokówka z jakiegoś portu, z jakiegoś dalekiego miasta, w końcu i to ustało. Jedyne, co pozostało Joy z całego epizodu, zatytułowanego „Fred Hollenbeck”, był nie dokończony, kiepski portret.

Joy nie wiedziała dokładnie, kiedy przestała matkę lubić, a zaczęła ją nienawidzić. W mętym świetle jej życia nie było wyraźnego punktu zwrotnego. Tyle tylko, że od tamtej pory

wszystko już samo się toczyło, skłębione jak pasmo mgły nad zatoką, bez świateł i cieni, bez konturów i treści. Joy była z początku bardzo przywiązana do matki, potem przywiązana już tylko z nawyku. Nawet po śmierci ojca i po zniknięciu Freda matka budziła w niej ciche współczucie, kiedy jej nieustanny niepokój i ciągłe utyskiwania tak przybierały na sile, że w końcu ani na chwilę nie mogła zostać sama, tak ją dręczył dławiący strach. Powoli Joy zaczęła podsumowywać całe zło, jakie matka wyrządziła w swoim życiu i wtedy dopiero naprawdę ją znienawidziła.

Z biegiem czasu jednak stała się sama tak pusta i bezwolna, że nie miała siły doprowadzić do zerwania i pozostawić matkę jej losowi. Jeżeli ją opuścę, to ona przyczepi się do Karola, rozważała z resztką energii, jaka jej pozostała. Ona i jego zrukuje, nie mogę do tego dopuścić. Mnie jest już wszystko jedno, ja się już nie liczę. Ale Karol to co innego. On ma jeszcze wiele ważnych rzeczy przed sobą, nie może go spotkać nic złego.

Tak więc z pełną pogardy nienawiścią i z ponurą uprzejmością Joy nadal poświęcała się matce; matce, która wszczepiła w jej mózg ową podstępą truciznę, ową niszczącą, wciąż czujną chorobę samoobservacji: czy jestem normalna, czy nie? Czy zachowuję się jak inni ludzie?

Jeden jedyny raz rozmawiała na ten temat z Larrym; nie z Karolem, bo nie chciała wdziierać się ze swymi dziwacznymi myślami i lękami w jego życie. Nie, nie wolno jej było iść do własnego brata, włamywać się w jego bezpieczny i szczęśliwy świat i grozić mu pytaniem: „Czy nie wydaje ci się, że powoli popadam w obłęd? Czy nic nie zauważyłeś? Bo, widzisz, w naszej rodzinie to jest dziedziczne...”

Ale z Larrym Grantem mogła rozmawiać o wielu rzeczach, prawie o wszystkim! Nawet o swoim własnym, wymykającym się jej, zamkniętym „ja”. Larry przyjechał do San Francisco razem z Karolem Ambrosem. Obaj należeli do grupy nowoczesnych artystów i architektów, którzy zjechali do miasta



w związku z przygotowaniem do światowej wystawy w roku 1939 i z wielkim zapałem zabrali się do pracy.

Rozwieszali na ścianach swoje marzenia w postaci cudownie pomyślanych, chociaż wysoce nierealistycznych projektów urbanistycznych; nowe przedmieścia, szkoły, fabryki, wzorowe osiedla dla klasy pracującej, z placami do zabaw i alejami wysadzonymi drzewami, zapewniającymi wszystkim słońce i przyjemne życie. Karol gwizdał przy tym, Larry pykał swoją fajkę, a Zuzanna była w ostatnich miesiącach ciąży.

Cała trójka przyjechała straszliwie starym, rozklekotanym autem. Byli nierozłączni, a beztroska wesołość i absolutna obojętność na wrażenie, jakie mogą wywierać, sprawiały, że usta matki siniały pod warstwą czerwonej pomadki. Jednak mimo wszystkich domowych burz i plag, które pogłębiały kłopoty Joy, mimo rozlicznych łagodnie szemrzących wybuchów wściekłości matki, odkąd Karol popełnił zbrodnię, żeniąc się z wyboru własnego serca, zamiast podporządkować się misternie knutym przez matkę ambitnym planom, dotyczących rodziny królów cukru Bluntów - mimo to wszystko życie Joy zrobiło się lżejsze, bogatsze, jaśniejsze, odkąd jej brat zamieszkał w San Francisco. Natychmiast i w sposób sam przez się zrozumiały zawarła przyjaźń z Zuzanną i z Larrym, zwłaszcza z Larrym. W jego towarzystwie czuła się lekka, odprężona, wesoła, chwilami nawet beztroska. Nawet w mieszkaniu na Greenwich Street powiało orzeźwiające tchnienie. Meble trzeba było i tak przestawić, odkąd matka sprzedała barokową komodę babci, bo potrzebowała futra z nurków. Zuzanna powiesiła nowe jasne zasłony w sypialni matki, a Karol powyrzucał stare krzesła z twardymi oparciami i zastąpił je wygodnymi fotelikami, zaprojektowanymi przez Larry'ego Granta.

- Larry jest geniuszem w dziedzinie krzesła - oznajmił Karol. - Siedzenie na nich to istna rozkosz. Trzeba przyznać Larry'emu, że umie zaprojektować krzesło, które jest krzesłem.

- Larry ma jeszcze jeden talent: jest przyjacielem, który naprawdę jest przyjacielem, prawda, Granty? - dorzuciła Zuzanna uśmiechając się do Larry'ego, który z fajką w zębach przewijał właśnie Maxinę. Larry był słoniowatym olbrzymem i, podobnie jak słoń w ogrodzie zoologicznym, miał w sobie wielką siłę przyciągania wszelkiego rodzaju ludzi, a zwłaszcza dzieci. Jego ogromne ciało było ubrane, a raczej okryte fałdzistą masą szarej flaneli, w której wyglądał jak niedbale rozpięty namiot; nigdy nie nosił płaszcza, tylko tkwił ciepło i bezpiecznie w swoich własnych poduszkach z tłuszczu i mięśni.

- Spójrz tylko na twój kapelusz - besztła go Zuzanna.

- Co ty z nim wyprawiasz, może śpisz w nim?

- Na nim, moja miła, na nim. Wkładam go wieczorem pod materac i rano jest równie pięknie wyprasowany, jak spodnie kierownika działu tekstylnego. Naprawdę, to jest sposób, którego nauczyłem się, kiedy byłem kierownikiem tego działu w domu towarowym Pałace, w Duluth, Minnesota.

Mimochodem rzucając aluzje do nieprawdopodobnej ilości najrozmaitszych zawodów, którymi się jakoby trudnił, doprowadzały Joy do śmiechu i wprawiały w zdumienie.

- Nie wierz ani jednemu słowu tego nabieracza - powiedział Karol. - To wszystko należy do jego roli.

- Ciebie zdaje się w za gorącej wodzie kąpano. Po prostu zazdrościsz mi znajomości życia i wytwornego wychowania

- odparł Larry, obrzucając swego młodego współnika czułym, niemal macierzyńskim spojrzeniem.

Wszechstronność Larry'ego wyrażała się w zdumiewającej zaradności. Umiał zdobyć dobre miejsce na wykupione koncerty; przynosił Joy książki, które trzeba było koniecznie przeczytać, zabierał ją na wystawy - musisz to obejrzeć, moje dziecko - i wywoził ją za miasto, kiedy jej nerwy były u kresu wytrzymałości. Umiał gotować, przyszywać guziki, zreperować zacinający się zamek błyskawiczny i elektryczne żelazko, skłonić wysłużoną azalię matki do kwitnięcia. Pocił się razem

z Karolem w poczekalni kliniki położniczej, a potem z zapalem i znajomością rzeczy opiekował się dziećmi numer jeden i dwa; potrafił w razie potrzeby pomóc Zuzannie w wielkim praniu albo zastąpić Joy wieczorem przy matce, był mistrzem w podgrzewaniu butelek i karmieniu kleikiem.

Zdawałoby się że zawsze miał mnóstwo czasu, nigdy się nie śpieszył, nigdy nie był zajęty ani zmęczony, zupełnie jakby chciał, by zapomniano o fakcie, że jest jednym z czołowych architektów wnętrza w Ameryce i tytanem pracy.

- Jak ty to właściwie robisz? - pytał go czasem Karol, który wprawdzie także nie męczył się pracą zbyt szybko, ale często z wysiłkiem, ziewając, zachowywał trzeźwość, ślęcząc nad jakimś konstrukcyjnym problemem do późnej nocy.

- To po prostu kwestia przyzwyczajenia, synu. Od czasu, kiedy pracowałem jako stróż nocny w fabryce traktorów Sourkompaitoola w Wichita, Kansas, nie umiem spać dłużej niż pięć godzin na dwadzieścia cztery dane nam od Boga. Zostaje mi dzięki temu mnóstwo godzin na rozrywki - brzmiała odpowiedź Larry'ego.

- Larry to naprawdę dar z nieba dla nas, kobiet - powiedziała Zuzanna do Joy. - On potrafiłby skłonić rozjuszoną tygrysicę, żeby mu jadła z ręki, ten mój gruby Genesza.

- Twój co?

- To moje prywatne przezwisko dla niego, wszelkie prawa zastrzeżone. Tak się nazywa dobroduszny indyjski bóg słońca, znalazłam go w którejś z książek Larry'ego na temat sztuki.

- A propos tygryscy - powiedziała Joy. - Nie należy zapominać o jego sukcesach u matki. Jeżeli nie będziemy się miały na baczności, to zatknie ona swój sztandar na jego wybrzeżu i ogłosi go jako swoją własność.

- O nie, tego nie zrobi. Wtedy ja stanę na tylnych łapach i zacznę gryźć - oświadczyła Zuzanna z niezwykłą gwałtownością.

Joy rzuciła spod oka zdziwione spojrzenie na swoją szwagierkę. Coś ją tknęło i zadała sobie pytanie, czy różne

aluzje i uwagi matki pod adresem Zuzanny i Larry'ego są rzeczywiście śmiechu warte.

- Niech mnie diabli wezmą, jeżeli pozwolę, żeby matka go dla siebie zagarnęła - powiedziała Zuzanna. - Ja byłam pierwsza, rozumiesz? Matka może być nie wiem jak zaborcza, ale mnie też nic nie brakuje, jeżeli chodzi o Larry'ego. Albo o Karola - dodała po chwili.

Joy nigdy się nie dowiedziała, czy to z powodu Larry'ego doszło do sprzeczki między matką a Zuzanną pewnego dnia bowiem matka oświadczyła, że tego nieapetycznego grubasa, tego pana Granta, nie życzy sobie widzieć w swoim domu.

- Ależ mammo, Larry to nasz najlepszy przyjaciel i ty go też lubiłaś - zdziwiła się Joy. - Dlaczego nie chcesz go więcej widzieć?

- Dlaczego? A dlatego! - odparła matka, stając się nagle znowu piętnastoletnim podlotkiem.

- Jaką krzywdę wyrządziłeś mojej matce, ty cyniczny łajdaku? - zapytał Karol swego współnika. - Ona cię nienawidzi.

Larry prawą ręką poprawiał jakiś projekt, a lewą wkładał łyżeczką jarzynkę do buzi małego Floriana.

- Nienawidzi mnie? A to ładnie. Szlochała w moich ramionach, że czuje się taka opuszczona, że nikt jej naprawdę nie kocha, i że przypominam jej pewnego pana nazwiskiem Hopper.

- Hopper? Kto to taki? - zapytała Zuzanna.

- To jej pierwszy mąż. Umarł gdzieś w Brazylii. Był gruby, ale nie taki jak ty, Larry - poinformowała Joy. - Pamiętam jeszcze wuja Hoppera, bardzo go lubiłam.

- Wszystko jedno, w każdym razie usiłowałam udzielić naszej mamusi małej lekcji. „Mamusiu, powiedziałem, ludzie samolubni są zawsze samotni i niezadowoleni. Ich egoizm stwarza wokół nich rodzaj próżni, a pani, urocza mamusiu, powiedziałem, jest przy całej swej niewinności najbardziej samolubnym stworzeniem, jakie mi się zdarzyło spotkać

w życiu". Muszę przyznać, że poczuła się tym do żywego dotknięta. I właściwie po prostu wyrzuciła mnie za drzwi.

- Bardzo się z tego cieszę - oświadczyła Zuzanna z ożywieniem. - Nie znoszę jej wtrącania się do wszystkiego i nie mam ochoty znaleźć się w śmiesznej sytuacji kobiety, walczącej ze swą teściową o serce mężczyzny, którego kocha.

Wszystko to były żarty i przesada, ale Joy nie mogła się z tego śmiać.

- Słuchaj no, dziecko - rzekł wtedy Larry odwożąc ją do domu. - Ani ty, ani Karol nigdy nie wspominać waszego ojca. Co to był właściwie za człowiek?

- Sama nie wiem. Wydaje mi się, że za bardzo go kochałam, żeby móc go analizować. I zawsze mnie to niepokoiło, że w moich wspomnieniach wyglądał zupełnie inaczej, póki żyła moja rodzona matka, a on był u szczytu powodzenia. Zupełnie jakbym miała dwóch różnych ojców. Po jego śmierci bardzo wiele o nim myślałam. Był - jakby to powiedzieć? - obcy.

- Obcy? W stosunku do ciebie... nie? Więc jak to? Obcy w swoich czasach? Na swoim miejscu? W swoim małżeństwie?

- Nie... po prostu obcy. Wszędzie i zawsze. Niepraktyczny, marzyciel, idealista, romantyk, który nigdzie nie pasował.

- Trochę może słaby?

- Może, w każdym razie sam o sobie tak mówił. Wydaje mi się w gruncie rzeczy, że matka złamała jego kręgosłup. Łączył ich bardzo dziwny rodzaj związku...

- Wcale nie taki dziwny, dziecko, wcale nie taki rzadki. Mój Boże, mąż - żona... Ale nawet nasza mamusia nie złamałaby go, gdyby był silny. Karola jednak nie złamała.

- Tak, to prawda. Ale widzisz, Larry, jej pierwszy mąż, wuj Hopper, był silny, praktyczny, zawadiaka, prawdziwy realista, zupełne przeciwieństwo ojca: a jego też złamała... przynajmniej tak mi się wydaje. No, już jesteśmy na miejscu, wyrzuć mnie na rogu, nie lubię, jak matka śledzi nas przez kuchenne okno. Dobranoc, Larry. Dzięki za odprowadzenie. I za wszystko.

- Słuchaj, dziecko, nie wydaje mi się, żeby nasza mamusia była taka zabawna, jak my to przedstawiamy; jedno mogę ci powiedzieć: tego dnia, w którym spróbowałaby zrobić najmniejszą krzywdę Karolowi, Zuzannie czy tobie, wsypię jej do herbaty porcję cyjanku, i to z wielką przyjemnością. Dobranoc, dziecko, śpij dobrze, zobaczymy się w środę.

Z początku Joy cieszyła się po prostu z tego, że mogła się z nim spotkać raz czy dwa razy w tygodniu, a przynajmniej porozmawiać przez telefon. Potem cień niecierpliwości zakradł się do nieważkiego błogostanu, jakiego doznawała w jego towarzystwie, a w końcu stał się jej niezbędnym. Dzień bez Larry'ego był trudny do zniesienia.

- Czasem bardzo mi Ciebie brak i chciałabym wtedy wiedzieć, czy jestem wołaniem, czy echem - powiedziała, Larry'emu, bowiem nie trzeba było wszystkiego tłumaczyć, i tak rozumiał.

- I jednym, i drugim, dziecko, oboje jesteście wołaniem i echem, i to wzajemnie. Potrzebuję Ciebie, tak samo jak ty mnie potrzebujesz, a może nawet bardziej. Musimy się trzymać razem, dziecko. I będziemy dla siebie dobrzy.

Bądźmy dla siebie dobrzy, trudno o bardziej intymne słowa między zakochanymi, między dwojgiem ludzi w ogóle. Bądźmy dla siebie dobrzy, tak mógł powiedzieć jej ojciec...

Z początku brzydota Larry'ego Granta nie ulegała wątpliwości. Wielka, prawie łysa głowa, szerokie usta kłowna, złamany u nasady nos: - zostało mi to z czasów, kiedy chciałem zostać bokserem w Jamajce, Long Island - i przedziwnie wyraziste oczy.

- Twój przyjaciel jest może sympatyczny, ale na pewno niepiękny - powiedziała Joy do Karola, kiedy zostali sobie przedstawieni.

- Poczekaj, przyzwyczaisz się do niego. - To było wszystko, co Karol miał wtedy do powiedzenia na ten temat.

Im dłużej i lepiej Joy znała Larry'ego, tym jego zewnętrzny wygląd wydawał jej się przyjemniejszy. - Ma przedziwne ręce

- stwierdziła. Były to ręce wielkiego twórcy, inteligentne, żywe, wąskie w zestawieniu z jego masywnością, bez cienia tłuszczu. Nerwowe ręce zupełnie innego człowieka, wrażliwego, samotnego Larry'ego Granta, którego tylko ona знаła. Czasem łapała się na tym, że wpatruje się w te ręce, marząc o... nie zdawała sobie właściwie sprawy z tego, w jakim kierunku idą jej marzenia. Aż któregoś dnia budząc się odkryła, że Larry Grant wyparł z jej snów nikły, bezcielesny cień Freda Hollenbecka i sam zajął jego miejsce. Mój Boże, pomyślała, nie przypuszczałam, że mi się to jeszcze może zdarzyć! Nagle wszystko wydało jej się jasne, proste i nieuniknione. Bądźmy dla siebie dobrzy. Otóż to właśnie.

Znowu była środa i siedzieli w swojej ulubionej, taniej włoskiej restauracyjce - na podłodze leżały trociny, a dekoracje z papierowych festonów wisiały na ścianach - ale właściciel był przyjacielem Larry'ego i miał dobre chianti. Owego wieczoru Joy zaczęła wreszcie mówić o sobie, wydobyła na powierzchnię ów dręczący strach, który matka w nią wsączyła.

- Nie wiem sama, dlaczego tak jest, Larry, ale ja, jak sięgnę pamięcią, byłam zawsze inna niż wszystkie dziewczęta i widzisz...

Larry sięgnął przez stół, ujął jej rękę i roześmiał się jej w twarz.

- Możesz Bogu dziękować za to, że nie jesteś żadną z tych tuzinkowych dziewcząt - powiedział serdecznie.

W środę Joy miała wolny wieczór, tego dnia matka odwiedzała Karola i mimo swej antypatii wobec Zuzanny pilnie tego przestrzegała. Larry, przyzwyczajony do organizowania pracy systemem zmianowym i do oddawania zamówień w terminie, raz na zawsze zarezerwował sobie środy wieczór dla siebie i Joy.

- Jak to ze mną właściwie jest, Larry, czy możesz mi to powiedzieć?  
- zapytała go zupełnie tak samo, jak dawno temu pytała ojca.

- No cóż, wydaje mi się, że wiem, na czym polega twój błąd: nie masz w swoim ogródku jednorożca.

- A powinnam go mieć?

- Oczywiście, że powinnaś. Zasadniczo każdy powinien mieć jednorożca w swoim ogródku i to jest ważniejsze niż kura w garnku.

Była to rozmowa prowadzona ich myślową stenografią i nie wymagała żadnych wyjaśnień.

- W pewnym okresie miałam nie tylko jednego jednorożca w moim ogródku, ale całe ich stado, i po kolei mi je pozabijano - powiedziała Joy ze smutkiem.

- Wiem, wiem, dziecko, moja matka miała także skłonności ludożercze.

- Larry, muszę z tobą o czymś porozmawiać, czasem jestem chora ze strachu, kiedy o tym myślę. Larry, czy twoim zdaniem jestem całkiem normalna?

- Miejmy nadzieję, że tak nie jest, dziecko. Zresztą nikt nie jest całkiem normalny i co to właściwie znaczy: być normalnym? Normalność jest bardzo dowolnym pojęciem i wiemy na ten temat mniej niż na temat odległości między planetami i odchyień promieni świetlnych. Każdy Amerykanin poza granicami swego kraju uchodzi automatycznie za pomyłonego. W Kongo zaś każdego, kto nie popada we frenetyczny trans na odgłos bębna, uważa się za niewydarzonego. Teraz jednak ja chciałbym cię o coś zapytać: dlaczego zrezygnowałaś z malarstwa? Karol mówił mi, że jesteś nieprzeciętnie utalentowana, a on na ogół wie, co mówi.

- Widzisz, to jest jeden z moich zabitych jednorożców. Może rzeczywiście miałam jakiś talent, ale nie wiem, co się z nim stało. Zniszczyły go termyty czy coś w tym rodzaju. W czasie studiów bałam się, żeby moje obrazy nie były zanadto zwariowane, a teraz, kiedy nowoczesne malarstwo wszystko to wyprzedziło, stałam się zanadto układna, nieśmiała, pretensjonalna, ja... nie, nie mogłabym już malować.

- Zdaje mi się, że domyślam się, czego ci brakuje, dziecko. My wszyscy chorujemy obecnie na nadmiar samoobserwacji, wszyscy wydajemy się sobie cholernie ważni; tymczasem ja



osobiście uważam, że zdrowie psychiczne polega przede wszystkim na zdaniu sobie sprawy z tego, jak mało jesteśmy ważni, jak nieprawdopodobnie, mikrobowo mali i nieciekawi. Taka świadomość wyzwala zdumiewające zasoby energii, która daje się zużytkować w sposób znacznie bardziej racjonalny. Ty, moje pełne problemów dziecko, cierpisz zdaje się, przeciwnie, na zaparcie. Tkwi w tobie zbyt wiele spiętrzonego, niewykorzystanego materiału, dlatego wydaje mi się, że malowanie dobrze by ci zrobiło. Bardzo bym chciał zaaplikować ci w tym celu jakiś łagodny środek przeczyszczający.

- Ależ, Larry, to na nic. Już wiele razy próbowałam, ale wszystko we mnie wyszło i minęło.

- Chodź, przejdziemy się - powiedział Larry ni stąd ni zowąd. - Zrobimy mały spacer na piechotę. Świeże powietrze dobrze nam robi. Nie jesteś wcale martwa, dziecko, tylko pogrzebana.

Nie, nie była martwa, wiedziała o tym, w jej wnętrzu coś się poruszało, coś się sączyło, tajało. Larry patrzył na nią badawczo, z uśmiechem, kiedy w następną środę wieczorem znów siedziała naprzeciw niego w małej włoskiej restauracyjce w blasku stojącej na stole woskowej świecy i czerwonych refleksów butelki chianti.

- Wyglądasz dziś wyjątkowo ładnie, powinnaś zawsze nosić białe bluzki - zauważył. - Powiedz no mi, ale na serio, ile ty masz właściwie lat, dziecko?

- Już ze mnie prawie sędziwa staruszka. Niedługo skończę trzydzieści sześć lat, a bo co?

- Najwyższy czas, żebyś wyszła za mąż i miała dzieci. A może nie masz na to ochoty?

- Mam ochotę, i to wielką; ale nie mogę zostawić matki samej, a zresztą nikt mi nie proponuje małżeństwa, Larry.

- To już tylko twoja wina, dziecko. Żaden mężczyzna nie ma odwagi zbliżyć się do ciebie, taka jesteś pełna rezerwy...

Ty też się nie ożeniłaś, chociaż jesteś już po czterdziestce zauważyła.  
- Musisz mieć jakieś powody?

- To bardzo długa historia. Może ci ją kiedyś opowiem. Może.

A dlaczego nie teraz? - pomyślała Joy i nagle olśniła ją odpowiedź: Zuzanna. Larry należy do Zuzanny, uświadomiła sobie nagle jasno. Dlaczego wcześniej tego nie zauważyła? To wyjaśniało wszystko, matka miała rację. Zawsze najzwyczajniejsze rozwiązanie okazywało się w końcu prawdą. Karol, Zuzanna i Larry, stary, pocziwy trójkąt, a zainteresowanie Larry'ego jej osobą było tylko odwróceniem uwagi. Po raz pierwszy w życiu Joy poczuła gorzki smak zazdrości.

- Nie chcesz chyba udawać przede mną kogoś tajemniczego i intrygującego. Pozwolisz mi zgadywać? - powiedziała i zdawało jej się, że się uśmiecha. - Jesteś związany z kobietą, z którą nie możesz się ożenić. Z kobietą zamężną. Która z jakiejś przyczyny nie chce opuścić swego męża?

Sięgnął przez stół po jej rękę i roześmiał się.

- Nigdy nie przypuszczałem, że dasz się tak łatwo zwodzić

- powiedział szczerze ubawiony.

- Nie, nie jestem związany z zamężną kobietą i ona nie nazywa się Zuzanna. Uwielbiam Zuzannę, uważam ją za najbardziej czarujące stworzenie na ziemi. Ale jej nie Kocham -puścił jej rękę i szukał w twarzy Joy odpowiedzi na nie zadane pytanie.

Kiedy wyszli na ulicę, Larry wziął ją pod rękę.

- Powiedz no - odezwał się po krótkiej chwili namysłu

- dlaczego nie pojedziesz na jakiś czas do Europy, póki to jeszcze jest możliwe? Za rok albo dwa może znowu być wojna, a wtedy trzeba będzie pożegnać się z wieloma przyjemnymi i pożytecznymi rzeczami na tym pięknym świecie.

- Byłam w Europie dwa lata, we Francji i we Włoszech.

- No, i z jakim rezultatem?

- Bez żadnego rezultatu. Matka była razem ze mną. Możesz sobie wyobrazić, co z tego wynikło.

Larry gniewnie szarpał swoje rzadkie włosy.

- Nie jesteś jedyną córką, która pozwala, aby czuła matka

żywcem ją pożerała, ale ja po prostu nie rozumiem tego masochistycznego opętania, jakie tutaj wchodzi w grę. Błagam cię, zostawże wreszcie naszą mamusię własnemu losowi. Spakuj swój węzełek i idź na wędrowną. Zapewniam cię, że nasza mamusia to przeżyje. Może to nawet być owym lekarstwem, którego jej potrzeba.

- Larry, gdybyśmy byli razem w Paryżu, byłoby nam tak dobrze... byłoby nam wesoło i poważnie i byłoby nam dobrze razem, prawda?

- Może tak, dziecko, a może nie. Ale jedno wiem: gdybyśmy byli razem w Paryżu, zrobiłbym z ciebie malarkę, choćbym ci musiał trzy razy dziennie dawać lanie i pakować ci nos w paletę Picassa rano, w południe i wieczorem. Ale nie ma sensu fantazjować na ten temat, bo ja jestem tu uwięzany, dopóki nie skończymy z Karolem prac na wystawę, a to potrwa jeszcze całą wieczność. Ty jednak nie jesteś w więzieniu, naprawdę. Mógłby to nie być Paryż. Żebyś tylko stąd wyjechała i żebyś pozwoliła swoim oczom na coś popatrzeć. Czasem mają one taki głodny wyraz, jakby od lat nie dostawały nic do jedzenia.

W milczeniu zawędrowali aż do wieży na szczycie Telegraph Hill, stanęli i spoglądali na dół, na miasto i zatokę.

- Nie - powiedziała - nie mogę stąd wyjechać. A poza tym nawet nie chcę.

- Dlaczego nie? Podaj jakiś istotny powód poza tym, że jesteś niewolnicą swojej matki?

Joy wstrzymała oddech i patrzyła Larry'emu prosto w oczy.

- Czy bardzo by cię to przeraziło Larry, gdybym ci powiedziała, że ty jesteś powodem, dla którego chcę tu pozostać? - powiedziała półgłosem.

Poczuła jak jego ramię cofnęło się mimowolnie, jakby chciał je od niej oswobodzić, ale potem przyciągnął ją do siebie jeszcze bliżej.

Tak - odparł - to by mnie przeraziło.

Puścił jej ramię, wyjął kopciuch z tytoniem i fajkę, napełnił

ją starannie i zapalił zapałkę, ale zapomniał przytknąć ją do fajki. Wcisnął ją tylko między zęby, przyciągnął znów ramię Joy i ruszył dalej.

- Zawsze wydawało mi się to groteskowe, że taki słoń, jak ja, może się komuś podobać... z wyjątkiem, oczywiście innych słoń. Ale kiedyś pewna dziewczyna zakochała się we mnie, siostra mojego najlepszego przyjaciela, tak jak ty jesteś siostrą Karola. Było to bardzo dawno temu. Ale na tym kończy się podobieństwo. Ona była bardzo młoda, ledwo wyszła ze szkoły, rozpieszczona, chroniona, delikatna, z najcieńszej, najgładziej porcelany. Ta dziewczyna popełniła samobójstwo. To jest historia, którą obiecałem ci kiedyś opowiedzieć.

Joy oddychała szybko, pełna oczekiwania.

- Czy rozumiesz, co usiłuję ci powiedzieć, czy też muszę ci to przeliterować? - spytał. - Niestety, brzmi to jak brukowy romans. Gloria zakochała się we mnie, a kiedy się przekonała, jak to ze mną jest, skończyła ze sobą. To był dla mnie potworny szok, dziecko. Sam byłem wtedy bardzo młody i nie wiedziałem, co robić. Naprawdę, taki facet jak ja powinien chodzić z tabliczką ostrzegawczą: „Przepraszam, ale płęć piękna na mnie nie działa”. Wyobrażałem sobie, że mój wygląd wystarczy, żeby odstraszyć dziewczęta, ale, widzisz, gdybym Glorię w porę ostrzegł przed lokowaniem uczuć w takim obiekcie jak ja, byłaby pewnie dzisiaj szczęśliwą żoną i czującą matką. Była czarującym stworzeniem i bardzo ją lubiłem. Ale to nie była miłość.

Joy wzięła się mocno w garść, miała w ustach gorzki smak, ale dzielnie go przełknęła i zdobyła się na martwy uśmiech.

- Twierdzisz, że kobiety nie robią na tobie wrażenia? - szepnęła z głębi swego wzburzenia.

- Jakoś źle dzisiaj słyszysz, dziecko. Kobiety robią na mnie wrażenie, ale nie w taki sposób, jak na innych. Są kobiety, które mi są bardzo, bardzo bliskie, jak na przykład ty, czy Zuzanna. Dochodzi to do pewnego określonego punktu. Gdybym kiedyś spróbował przekroczyć tę granicę, wynikłoby

z tego tylko nędzne oszustwo i nieprawdopodobny zamęt. Najlepsze, co mogę zrobić, to żyć nie sprzeciwiając się mojej własnej naturze i starać się nie sprawiać bólu innym. Doszli do końca wzgórza, Larry puścił jej ramię i stanął.

- Czy nie czujesz się wskutek tego bardzo samotny? - spytała Joy, ostrożnie macając grunt na zamkniętym terenie.

- Nie, nie sędzę; nie sędzę, żebym był bardziej samotny niż inni ludzie. Samotność to nasza naturalna domena i lepiej pogodzić się ze stanem rzeczy. Samotność jest istotą wszystkich spraw i nie mów mi, dziecko, że o tym nie wiesz. Ale ja bardzo lubię ludzi, ludzi w ogóle, praca daje mi dużo radości.

Poszli dalej.

- Czy Karol wie o tym? - spytała Joy.

- Nie, oczywiście, że nie, ani Karol, ani Zuzanna. Jesteś jedynym człowiekiem, z którym rozmawiałem o tych sprawach, bo wiem... nie potrzebuję cię nawet prosić, żebyś je zachowała przy sobie... obiecuj mi...

Joy nigdy nie widziała Larry'ego w stanie takiego podniecenia.

- Ależ Larry, o co ci chodzi? Powinieneś już wiedzieć, że ja nie mam zwyczaju plotkować, możesz na mnie polegać.

Ujął jej twarz w dłonie, szukając w jej oczach odpowiedzi na nie zadane pytanie. Joy z wysiłkiem zachowała życzliwy uśmiech.

- I nie będziesz mnie mniej lubić, dziecko, teraz, kiedy wiesz - spytał natarczywie.

- Nie bądź niemądry, Larry. Zawarliśmy przecież dawno umowę: będziemy dla siebie dobrzy.

Pochylił się nad nią i pocałował w usta. Był to przedziwny pocałunek, lekki, chłodny jak wilgotny liść, który wiatr przywiał z drzewa na jej wargi...

Niektórzy ludzie, jak na przykład ja, mają pecha, pomyślała. Czy byłam zakochana w Larrym Grancie? - zadawała sobie pytanie. Nie, ale mogłabym się w nim zakochać. Wróciła na Greenwich Street i zbudowała sobie następny mały grobowiec, w którym pochowała jeszcze jedną tajemnicę...

I znowu wizyta u doktora Behrmanna.

- Jestem trochę wytrącona z równowagi, panie doktorze, moje nerwy nie są całkiem w porządku - a on znowu zapuścił swoją psychologiczną sondę do jej duszy, ale nie wydobył na światło dzienne nic decydującego.

- Na razie naprawdę nie widzę żadnego powodu do niepokoju...

A do czego teraz doszło? Siedzę w Tokemie po północy, bo zabiłam matkę, w każdym razie usiłowałam ją zabić. Nie ma powodu do niepokoju. To ja, Joy Ambros, jestem kobietą, po którą ma przyjechać ambulans i zbiera siły dla przetrwania tego, co ją czeka. Przesłuchania, poszukiwania, identyfikacja zniekształconych, z maltretowanych zwłok, autopsja, a potem najgorsze ze wszystkiego: stanąć oko w oko z bratem, odegrać swoją rolę do końca. Wszystko to ją jeszcze czekało, popełniła ten czyn, a teraz będzie musiała przeżyć i tamto. A przy tym przez cały czas czuła się tak, jakby jej prawdziwe „ja” było gdzieś daleko, gdzie indziej, jakby była kimś innym. Teraz załamała się cienka tafla lodu, a ona zanurzała się, rozpadała na części, czuła się jakby rozkrojona na dwie połowy, na dwie osoby: jedna Joy Ambros zamordowała swoją matkę i była z tego zadowolona i druga Joy, która nie mogła pojąć, jak do tego doszło i chętnie oddałaby własne życie, gdyby mogła to się cofnąć. A to, szanowni panowie i panie - powiedziałyby doktor Behrmann - my, nowocześni psychiatrzy, nazywamy schizofrenią.

Wybuchnęła cichym i niepowstrzymanym śmiechem, az mały żółty piesek u jej nóg zaczął szybko machać ogonkiem. Joy uczepliła się go niby zbawczej cząstki rzeczywistości, która tonęła w coraz mętniejszym mroku myśli.

- Panna Ambros? - zagadnął ją ktoś i długi cień padł na ławkę. Podniosła wzrok, przed nią stał oficer, którego nazwiska nie mogła sobie przypomnieć. Miał prawie całkiem siwe włosy, twarz pobrużdżoną, chociaż nie starą, skóra i białka oczu były żółtawe, zauważyła to nawet w bladym świetle

zarówki. To dziwne, że jej wzrok funkcjonował, z właściwą sobie bystrością obejmując kształt i barwy, chociaż mózg w ogóle nie brał w tym udziału. I nagle jej rozproszone w zamięcie zmysły, myśli i odruchy odzyskały ład.

- Słucham pana, panie majorze - odrzekła uprzejmie. George Watts posłał go pierwszego na dworzec.

- Idź, Tom i zobacz, co się dzieje z Joy. Biedne dziecko jest pewno w strasznym stanie. Nie zostawiaj jej samej, porozmawiaj z nią, odwiedź od ponurych myśli, a ja postaram się przez ten czas przynaglic tego doktora. Dla takiego gładkiego dyplomaty jak ty to drobiazg urozmaicić trochę czas tej biednej dziewczynie.

Ale to wcale nie drobiazg, myślał Ryerson; gdyby płakała, gdyby była słaba i bezradna, sprawa przedstawiałaby się łatwiej.

- Co mógłbym zrobić dla pani? - spytał oględnie.

- Czy zechciałby mnie pan poczęstować papierosem? Dziękuję, zdaje się, że wypaliłam już wszystkie swoje, jak również naczelnika stacji.

W krótkim błysku zapalki przyjrzał się twarzy Joy: kamień, z którego zdawała się być wyrzeźbiona, był teraz trochę mniej twardy niż przedtem.

- Przyniosłem pani kawy. Znalazłem otwartą knajpę, tam gdzie zatrzymują się nocne autobusy. Lepszej kawy nigdzie tu nie ma - powiedział odkręcając manierkę, którą przezornie zabrał ze sobą.

Kiedy Joy wypila połowę, nabrała tchu.

- Dziękuję - powiedziała raz jeszcze - to było bardzo miłe z pana strony, panie majorze.

Przypatrywała się jego twarzy z dziwną natarczywością, co wprawilo go w zakłopotanie.

- To pan jest majorem Ryersonem, prawda? Co pan robi w Tokema?

Było to dość krępujące pytanie. Nie mógł przecież po prostu powiedzieć: zostałem tu ze zwykłej ciekawości, jestem starym wygą dziennikarskim, psem myśliwskim, który zwietrzył trop.

- Ach, ja tak tylko - odparł mętnie. - Nie chciałem starego

pocziwego George'a zostawić samego; myślałem, że może mu się na coś przydam. Albo pani - dorzucił niezręcznie.

- George? Kto to taki George?

Ryerson widział w czasie wojny zbyt wielu swoich ludzi, którzy ulegali szokowi, żeby się zdziwić.

- George Watts, adwokat; zdaje się, że to pani dawny przyjaciel? - odparł łagodnie.

- Ach tak! Oczywiście!

Ryerson zastanawiał się gorączkowo nad następnym tematem rozmowy. Odwiedźże ją od jej ponurych myśli, ośle jeden, pokaż, co potrafisz.

- Są wreszcie - powiedział z ulgą, kiedy usłyszał, że wóz zatrzymuje się po drugiej stronie dworca. Naczelnik stacji wybiegł zaaferowany ze swego oszklonego biura. Joy wstała i spojrzała na mężczyzn, których Watts do niej sprowadził.

- Wybacz, Joy, że to tak długo trwało. Oto szeryf Lambson, a to jego zastępca McFarland. Pozwoliłem sobie załatwić te formalności, które się dało, a teraz szeryf chciałby ci zadać parę koniecznych pytań. Może będzie najlepiej, jeśli ty pojedziesz z szeryfem, dla mnie i dla Ryersona znajdzie się dość miejsca w ambulansie. Bo chyba chcesz jechać z nami?

- Tak, oczywiście. Ja... jestem przecież odpowiedzialna za ten wypadek - powiedziała.

Szeryf wyglądał zupełnie inaczej niż szeryfi z filmów; był to dość młody człowiek w granatowym ubraniu, z odznaką na piersi; miał wystające kości policzkowe i spokojne spojrzenie. McFarland był trochę starszy, sztywny w swym odświętnym czarnym ubraniu. Obaj mężczyźni trzymali kapelusze w rękach, zapewne aby okazać współczucie osieroconej córce.

- A więc, jeżeli pani nie ma nic przeciwko temu, możemy od razu wyruszyć. Podczas jazdy omówimy szczegóły - powiedział szeryf.

Joy otrząsnęła się z zamyślenia.

- Okay. Chodźmy więc - powiedziała.

Żółty piesek ziewnął, przeciągnął się i postanowił iść z nimi.



## CZEŚĆ TRZECIA

Angelina nie zdawała sobie sprawy, jak długo już szła, ale była to nieskończenie długa wędrówka do niewiadomego celu. Czas stracił wszelką wartość, stał się pustką, w której Angelina poruszała się w nieznanym kierunku i z nieznanym celem; przeszłość, teraźniejszość i przyszłość stopiły się w jedną całość, niby w jednolitą, ciemną kulę, w której środku zawisła, starając się zachować równowagę.

Gdzieś wysoko, nieosiągalny na stromym nasypie, odjeżdżał jej pociąg, razem z jej bagażem, torebką i porządnym podróżnym pledem. Pociągiem tym jechała jej córka, ale na nią nie mogła liczyć ani na George'a Wattsa, który zawsze zachowywał się wobec niej nikczemnie. A ten sympatyczny major Ryerson, który jej odstąpił swój przedział? Ten był przynajmniej gentlemanem; dlaczego nie zatrzymał pociągu? Czy nie było przepisów dotyczących ratowania pasażerów, którzy wypadli z pociągu? Co robi właściwie policja? Na co płacimy takie wysokie podatki? Do czego w ogóle doszedł nasz kraj?

- Halo, tak, mówię do ciebie, muszę dogonić ten pociąg, to sprawa najwyższej wagi. Konieczne i ważne - oznajmiała nocy. W ciągu ostatnich dwóch lat nauczyła się głośno mówić,

kiedy była sama. Po pierwsze człowiekowi dobrze robi, kiedy może ulżyć sercu, a poza tym dźwięk własnego głosu uspokaja. W dodatku była jeszcze ta historia z uszami; szum, tępe dudnienie; z satysfakcją zagłuszała te nieprzyjemne szmery własnymi monologami.

Angelina potrząsnęła głową, oddychała przez minutę głęboko i rytmicznie. Chociaż każdy oddech sprawiał jej boi, me pozwalała sobie na to, by usiąść i wypocząć. Jeśli raz usiądę, to już nigdy nie będę mogła wstać, ostrzegała sama siebie. Po krótkiej chwili nawiedziło ją nagłe olśnienie: Zaraz zaraz, Boston? No tak, chcę przywitać Karola, w chwili jego przybycia do Bostonu, ale dlaczego muszę go gonić? Dlaczego on do mnie nie przyjdzie, jakby się należało?

Stała bez ruchu, chwytając kurczowo powietrze, i zaczerpnąwszy głęboko tchu uśmiechnęła się, bo przecież jeszcze tak niedawno Karol miał trzy latka i mocnymi nóżkami podrygiwał na jej kolanach. Angelina rozpięła podarte futro i sięgnęła palcami pod bluzkę. W porządku, medalion był na miejscu, nieuszkodzony. Nie domyśliłbyś się tego nigdy, Karolu, że zawsze noszę przy sobie loczek twoich dziecinnych włosków! Wiem że to sentymentalne i staroświeckie, ale taka już jestem. Zupełnie inna niż ta mała bezczelna żmija, z którą się ożeniłeś.

Angelina znowu przystaje, żeby zaczerpnąć tchu. To naprawdę idiotyczne - karcie się surowo - żeby tak dokładnie pamiętać, co było tak dawno, a nie móc sobie przypomnieć, po co muszę za wszelką cenę dotrzeć do Bostonu.

Nasyp kolejowy spłaszczył się nieco, stok jego me był już taki wysoki ani taki stromy. Angelina zaczerpnęła głęboko powietrza, zebrała wszystkie siły i z największym wysiłkiem woli zaczęła wdrapywać się na górę. Obtartymi do krwi dłońmi chwytala się źdźbeł trawy, ostów, piasku, gruboziarnistego popiołu, kolana ją piekły, a pokaleczone nogi znów zaczęły krwawić. W połowie stoku serce przestało jej bić, palce straciły zaczepienie i ześliznęła się z powrotem na dół. Leżała jeszcze bliska płaczu z wściekłości, kiedy ziemia

zadrżała i zadudniła, a serce poczęło jej walić, w nowej panice. Sapanie, głuchy łomot, straszliwy hałas, jaskrawy błysk. Co to się dzieje? Sądnny dzień? Ale był to tylko pociąg towarowy, który zbliżał się, przejechał pośród zgiełku i zniknął wysoko na nasypie, gdzie szyny biegły na wschód. Angelina ocknęła się ze swego tępego strachu, zaczęła wymachiwać rękami, krzyczeć. Nigdy jeszcze jej dłonie nie były mniejsze i słabsze niż w tej chwili, kiedy usiłowała zatrzymać nimi tego zionącego ogniem potwora.

Noc stała się tymczasem jeszcze ciemniejsza, nie było ani księżycy ani gwiazd, ani już nawet tego nędznie migoczącego światła sygnałowego na dalekim szczycie jakiegoś pagórka. Chmury zwisały nisko, niby ospałe poruszające się ściany namiotu, powietrze stało się wilgotne a kiedy Angelina z wielkim bólem i wysiłkiem podniosła się i ruszyła dalej, wilgoć zamieniła się we mgłę, kłującą milionami igiełek, w mżawkę, w deszcz. Angelina wlokła się coraz dalej i dalej, samotna na świecie, który stał się niewidoczny.

Przywykłam już do tego, pomyślała smutno. Oni mnie zawsze zostawiali samą i to było najgorsze. W Leihanie podczas narodzin dziecka i przy śmierci dziecka. Podczas wielkiego trzęsienia ziemi. Podczas pierwszej wojny. Kiedy Florian chorował i kiedy umarł. Zawsze byłam sama. Tym egoistycznym młodym ludziom łatwo jest się wyśmiewać ze starej kobiety, która boi się samotności, oni po prostu nie wiedzą, z czego się śmieją. Robisz dla nich wszystko, usiłujesz ich zatrzymać, ale co ich to obchodzi, zostawiają cię własnemu losowi i idą swoją drogą.

Gdyby Karol jej usłuchał, jaka byłaby teraz jego sytuacja! Ożeniłby się z tą uroczą panną Blunt i odziedziczył połowę majątku Bluntów, a w chwili wybuchu wojny otrzymałby natychmiast wysoki stopień oficerski i przesiedziałyby całe zamieszanie na jakimś ważnym stanowisku w Waszyngtonie. Ale nie, on musiał postąpić według własnej woli i dał się omotać tej małej nędzarce, tej niemożliwej Zuzannie. Zuzan-

nie i temu wstrętnemu przyjacielowi domu, którego sobie przygruchała. Świętoszkowaty Larry Grant, udaje, że muchy by nie skrzywdził! Ale ja pierwsza przejrzałam jego nędzne sztuczki! Od razu podejrzewałam, że tych dwoje coś ze sobą łączy, i Bóg wie, czy gdybym nie ostrzegła Joy, że ten pan Grant zaleca się do niej tylko po to, aby skierować uwagę Karola na fałszywy trop, nie mielibyśmy drugiej historii Hollenbecka. I pomyśleć, że nawet Joy parę razy omal mnie nie opuściła, chociaż ona mnie przecież bardziej potrzebuje, niż ja jej! Oto co przeżyłam: syn na polu walki, jego żona zabawia się z kochankiem, a Joy z każdym dniem robi się coraz dziwniejsza.

Nie mogła tego darować: jej syn został wysłany na wojnę, a wielki, tłusty Grant został w domu.

- Jakich to oszukańczych sztuczek użył ten pan, że nie został powołany do wojska? - pytała ze złością.

- Ależ mamó, czyżbyś nie wiedziała, że człowiek, noszący imię Lawrence, nie może być przyjęty do armii? - odpowiedziała Zuzanna, a Joy nie wiadomo czemu zaczerwieniła się i dorzuciła śpiesznie:

- Zuzanna robi niemądre żarty, mamó, Larry ma całkiem poważne przypadłości sercowe, a poza tym jest za stary, żeby podlegać mobilizacji.

- Twierdzi zresztą, że w całej armii nie znalazłby munduru, w który by się zmieścił. A Karol jest szczerze zadowolony, że Larry tu zostanie i zajmie się interesami. A przy okazji mną i dziećmi.

Tego już na pewno nie zaniedba, pomyślała ponuro Angelina. Świat stał na głowie, obyczaje i moralność uległy zdżiczeniu.

- Żeby oni byli przynajmniej bardziej dyskretni i nie afiszowali się publicznie tym, co ich łączy - skarżyła się Angelina przed Joy.

Zostaw tych dwoje w spokoju, nie mieszaj się w ich sprawy odpowiadała Joy, w jej głosie brzmiał smutek i nie

patrzyła na matkę. - Proszę cię raz na zawsze, nie mieszaj się w ich sprawy.

Angelina w nic się nie mieszała, wybrała się tylko kiedyś wczesnym rano, żeby przeczytać Zuzannie świeżo otrzymany list od Karola. Nigdy jeszcze żadne odwiedziny nie były podjęte w szlachetniejszych intencjach. I cóż zastała wczesnym rankiem we własnym domu Karola? Zuzannę w szlafroku,

nocną koszulę; dzieci gotowe do wyjścia do przedszkola i pana Larry'ego Granta, bez marynarki i krawata, pachnącego mydłem do golenia jak rodzony mąż Zamienił szybkie, zakłopotane spojrzenie z Zuzanną, która była wyraźnie zaniepokojona.

- Ależ mam... nie powinnaś była tak wczesnie wstawać-czy coś się stało? Mam nadzieję, że nie przysły złe wiadomości?

- Czy mogę usmażyć dla pani parę moich ulubionych naleśników, najdroższa Angelino? - zaproponował Grant z wymuszoną skwapliwością.

- Nie miałam zamiaru psuć wam idylli - powiedziała Angelina sztywno, podczas gdy trzepaczka do bicia piany zaczęła mrużyć jak kot w zręcznych rękach pana Granta - Gdybym wiedziała, że masz gości na śniadaniu, Zuzanno na pewno me zjawiłabym się tu w tak nieodpowiedniej porze...

- Larry powiedział, że jak następnym razem będzie u nas spał, to przyniesie mi tabliczkę czekolady - zapiszczała Maxine.

- I mnie też, i mnie też! - krzyknął mały Florian, zeskoczył ze swego krzeselka i objął ramionkami jedną nogę Granta żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

Angelina zaniemówiła i nawet żelazny bezwstyd Zuzanny jakby nieco zadrżał.

- Pracowaliśmy wczoraj do późnej nocy, trzeba było obliczyć tygodniową wypłatę i nie było już autobusu, a samochód jest znowu zepsuty, więc Larry tu przenocował. Co prawda wystaje na wszystkie strony z kanapy w saloniku, ale to już

jego wina, dlaczego zaprojektował ją dla ludzi o wadze poniżej trzystu funtów. Mnie to nie przeszkadza, jeżeli jemu odpowiada. Przyjemnie jest mieć w domu mężczyznę...

Zuzanna rzuciła niepewne spojrzenie na białą, zmarzniętą twarz Angeliny, ale powiedziała szybko z właściwą sobie prowokującą ironią:

- To się widocznie wiąże z moją przeszłością; moja matka prowadziła tani pensjonat. Czuję się samotna bez sublokatora.

Cóż za impertynencja, jakie nieprzyzwoite popisywanie się niemoralnością! Angelina przeżuwała to długo niby twardy kawałek skóry. Larry tu sypiał. Nocował dość często. Z mężczyzną w domu jest o wiele przyjemniej. Czy to było wyznanie? W każdym razie stało się wyznaniem, kiedy Angelina się tym należycie wnikliwie zajęła...

Taka była prawda i oto coś pękło. Zamknęła oczy przed oślepiającą jaskrawością tej chwili i spojrzała na swój własny obraz jak przez szparę, przez ziejące cięcie otwierające kokon trwającego przez całe życie samooszukiwania.

Była to straszna chwila, sąd, wyrok i potępienie, wtłoczone w jeden błysk samopoznania. Chór głosów przeklinał ją poprzez szum w jej głowie i zobaczyła siebie, nie swoimi własnymi oczyma, ale taką, jaka była w niemych, bezlitosnych oczach tych, których zraniła i złamała. Beatrice, Myszka, Hopper, Maud, Joy. A Florian? Tak, nawet Florian stał w widmowym szeregu tych, którzy ją potępiali. Teraz przybyła do nich Zuzanna i Karol, jej własny syn. Angelina dyszała z trudem, instynktownie zakryła twarz rękami, żeby siebie nie widzieć. A potem, gdy ta straszna chwila minęła, zebrała siły na swoją obronę.

Czego wy ode mnie chcecie? Przecież nikogo nie zabiłam, to Joy chciała mnie zamordować. Miałam rację, zawsze wiedziałam, że ona kiedyś wpadnie w obłąd, nigdy nie była taka jak inne dziewczęta. Jestem zadowolona, że ostrzegłam Freda Hollenbecka. To był mój obowiązek, może nie? Opiekowałam się dobrze twoim dzieckiem, Florianie, wierz mi, i ty, Maud,

dotrzymałam obietnicy, naprawdę, dotrzymałam... Mogłam wyjść powtórnie za mąż. Mogłabym być teraz żoną senatora O'Shaughnessy i prowadzić w Waszyngtonie życie w wielkim stylu, ale nigdy nie myślałam o sobie, tylko o Joy, zawsze się o nią martwiłam, zawsze przeczuwałam, że coś zamąci umysł tego nieszczęsnego, zagubionego stworzenia.

Teraz będę ją musiała umieścić w zakładzie. Jaki to będzie straszny cios dla Karola na dodatek do tego wszystkiego, co go poza tym czeka! Szczęście, że ma chociaż matkę, która się nim zaopiekuje, kiedy rozwiedzie się z Zuzanną. Wreszcie będziemy razem, Karol i ja; będziemy sobie siedzieli przy kominku

i gwarzyli, będę mu piekła ciasto, które tak lubi...

Nie. Nie mogła tego ciągnąć dalej. To nie była prawda, a tej nocy liczyła się tylko prawda.

Słuchaj mnie, Florianie, teraz mówię prawdę. Tak, nienawidziłam mojej siostry, stała mi na drodze i życzyłam jej śmierci; wydaje mi się nawet, że modliłam się o jej śmierć. Parę razy śniło mi się, że umarła, i cieszyłam się z tego we śnie, to prawda. Ale właściwie nie chciałam jej śmierci, chciałam tylko, żeby zgodziła się na rozwód, Florianie, żebym cię wreszcie miała dla siebie. Nie zamordowałam jej, nie jestem winna jej śmierci, Florianie, słyszysz mnie, chcę ci opowiedzieć, jak to się stało.'

Zebra jeszcze mi się nie zrosły po naszym wypadku samochodowym, który zrobił tyle szumu w gazetach, i oddychanie sprawiało mi ból, zupełnie tak jak teraz. Ale tego dnia, kiedy mnie wypuszczono ze szpitala, wiedziałam, że nie mogę już dłużej odsuwać zasadniczej rozmowy z Maud. Przysłała mi kwiaty i życzenia zdrowia, ale sama nie przyszła mnie odwiedzić. Nosłam jeszcze żałobę po biednym Hopperze i byłam wychudzona. Zauważyłam, że Maud przestraszyła się moim widokiem. Kiedy zobaczyła mnie wchodzącą chwiejnym krokiem do pokoju, podeszła i wyciągnęła do mnie rękę. Rozumiesz, byłam jeszcze bardzo, bardzo słaba.

- Usiądźże, usiądź - powiedziała - wyglądasz jak widmo siebie samej.

- Bo ja jestem widmem siebie samej - odparłam padając na krzesło.

Na kominku palił się ogień, zabawki Joy leżały na dywanie: mała podbiegła do mnie, chcąc się popieścić, jak zwykle, ale Maud powiedziała: - Zostaw ciocię w spokoju, bo bardzo źle się czuje.

Czułam się okropnie, przyjechałam wynajętym autem i czekałam za rogiem, dopóki nie upewniłam się, że ty, Florianie, wyszedłeś z domu. Do południa było słonecznie, ale potem wiatr się odwrócił i niebo zachmurzyło. Czułam każdą zmianę pogody w swoich połamanych żebrach i z trudem panowałam nad zamierającym sercem.

- Przyszłam, żeby ci powiedzieć, jak mi jest przykro z powodu całej tej historii. Z powodu tego wypadku i szumu w gazetach i w ogóle.

Maud uśmiechnęła się tylko; ten uśmiech zawsze doprowadzał mnie do szału. Był taki obojętny, trochę pobłażliwy, jakbym ja była dla niej przedmiotem litości.

- Aha! Jest ci przykro; ale to nic nie pomoże - powiedziała.

- Flori będzie mógł swobodnie władać lewą ręką najprędzej za miesiąc; musiał odwołać serię koncertów muzyki kameralnej.

Przełknęłam ślinę.

- Nie o tym chciałam mówić. Jest mi przykro, że ci nie powiedziałam o naszym wyjeździe do Carmelu.

- Tak, byłoby lepiej. Ostrzegłabym go przynajmniej, że nie jesteś dobrym kierowcą.

- Nie mogłam utrzymać wozu, kiedy wpadł w poślizg

- wyjaśniłam. - Mam po prostu za słabe ręce.

- Słuchaj, Anno - powiedziała. - Przestańmy krążyć dokoła zasadniczego tematu. Przyszedłeś tu po to, żeby mi coś powiedzieć. Więc do rzeczy, mów.

- Dobrze - odparłam. - Jak sobie życzysz. A więc to nie był wypadek. Umyślnie wjechałam na ten mur. To miało być samobójstwo. Chciałam zabić nas oboje, Floriana i siebie.

To ciekawe - powiedziała Maud; otarła usta chusteczką,



po czym przyjrzała się jej ukradkiem, było to głupie, nieprzyjemne przyzwyczajenie, jakby w każdej chwili spodziewała się krwotoku. - To ciekawe - powtórzyła - ale dajmy spokój głupstwu i przejdźmy do spraw istotnych. Czy to ty pisałaś do mnie anonimowe listy o tym, że mój mąż ma kochankę?

Postanowiłam zignorować tę obrazę i nic nie odpowiedziałam. Tylko patrzyłam na nią.

- Niezbyt to piękne, Anno - stwierdziła. - Aleś sobie narobiła bigosu i to z moim własnym mężem! Czy nie wiesz, jak go baby rozpuściły? Czyżbyś nie miała w ogóle ambicji, że chcesz być jeszcze jedną spośród tłumu, który za nim wszędzie lata? Samochodem i głową walić w mur - to nie jest żadne rozwiązanie ani z twojego punktu widzenia, ani z mojego, a już najmniej z jego. Ale ty jesteś i zawsze byłaś bezwzględna i lekkomyślną wariatką. Po co właściwie pisałaś do mnie te listy? Dlaczego chciałaś, żeby wszystkie gazety trąbiły o tym, że wybrałaś się ze swoim szwagrem na potajemną wycieczkę?

Obie zapomniałyśmy, że dziecko siedzi w kąciaku; Joy była taką cichutką, małą myszką. Nienawidziłam Maud w owej chwili. Czy mogło być inaczej? Siedziała przede mną, to był jej dom, jej kominek, jej dziecko i jej mąż; wszystko należało do niej.

- Wolę publiczny skandal od potajemnego stosunku. Nie mogę już tego dłużej znieść, tej gry w chowanego, tych kłamstw, kradzionych po kryjomu pocałunków, spotkań to tu, to tam. Nie nadaję się do roli „tej trzeciej”.

- Bardzo mnie to cieszy. Dotychczas jakoś nie zauważyłam tej cechy twego charakteru. Ale jeśli tak rzeczywiście jest, to wydaje mi się, że najlepiej zrobisz wyjeżdżając na parę miesięcy z tego miasta, tak aby cała ta historia porosła trawą.

- Przyszłam do ciebie - powiedziałam - nie po to, żeby cię ranić. Ale wobec tego, że ty mnie traktujesz jak kobietę, której daje się odprawę, powiem ci całą prawdę, bez osłonek. Florian mnie kocha i ja jego kocham i ty nie powinnaś się była pchać między nas. Gdyby nie ja, Florian straciłby już dawno całą

ogień i zapach, tak nudne i powszednie jest życie, które ty mu możesz ofiarować. Florian potrzebuje romantyki, blasku, podniecy, bodźca...

- Ty śmiesz tu przychodzić i mówić mi, czego Florianowi potrzeba! Otóż potrzeba mu spokoju ducha, regularnie podanych posiłków, dość snu i jeszcze paru innych drobiazgów, o których ty chyba nigdy nie słyszałaś. Flori ma dość ognia, natchnienia i niepokoju w sobie i dlatego potrzebna mu właśnie taka powszednia żona, jak ja. Naprawdę, Anno, staram się nie tracić cierpliwości, ale nie chcę dyskutować z tobą na temat mojego małżeństwa. Gdybym brała poważnie każdą kobietę, która latała za moim mężem, lub która na tydzień zawróciła mu w głowie, to rzeczywiście nie nadawałabym się na żonę dla niego.

Byłam pewna, że Maud wcale nie czuje się taka spokojna i pewna siebie, jak na to wyglądała; na jej policzki wystąpiły ciemnoczerwone wypieki, co chwila ocierała usta i spocone czoło, które natychmiast znowu wilgotniało.

- Ty, Anno, wiesz najlepiej, że ja Floriana nie trzymam. Gdyby nie miał całkowitej swobody, nie mógłby wyjechać i spędzić z tobą w Carmelu całego tygodnia.

Jej poza wszystko rozumiejącej, wszystko wybaczącej małżonki irytowała mnie tak, że krew mi uderzyła do głowy.

- Gdybyś miała choć cień ambicji, Maud - powiedziałam. - Zażądałabyś rozwodu, kiedy dowiedziałas się, że byliśmy razem w Carmelu. Ale jeśli upierasz się przy tym, żeby udawać ślepa i głucha, to zmuszasz mnie do powiedzenia ci prosto w oczy, jak sprawa wygląda: Florian mnie kocha, uświadom to sobie wreszcie, kocha mnie, a ty jesteś dla niego tylko ciężarem, który wlecze za sobą, bo ma zbyt miękkie serce, żeby to brzemię z siebie zrzucić. Jeśli rzeczywiście kiedykolwiek byłaś dla niego dobrą żoną, to musiałabyś dawno wyczuć, że już go nic nie obchodzisz...

To było brutalne, wiedziałam o tym i chciałam być brutalna. Nie mniej brutalna byłam dla siebie, kiedy wjeżdżałam na mur.

Zrobiłam to z rozpaczy, wciąż jeszcze byłam zrozpaczona i nie widziałam, dlaczego to zawsze ja miałam cierpieć, a Maud trzeba było strzec przed najłżejszym powiewem, który by jej mógł zaszkodzić. Panowała nad sobą, ale zaczęła drzeć.

- Milcz, Anno, sama nie wiesz, co mówisz - szepnęła. Chrząknęła, na próżno usiłując powstrzymać kaszel. Było

to również przyzwyczajenie, które działało mi na nerwy: kaszłała i pokaszliwała zawsze w taki sposób, jakby miała nieczyste sumienie.

- Idź, idź sobie, nie chcę już tego słuchać - powiedziała zdławionym głosem.

Ja także dygotałam z gniewu i obrazy.

- Bardzo żałuję, ale nie uda ci się tak łatwo mnie splawić; Jesteś szalona, jeżeli sądzisz, że możesz mnie traktować, jak jedną z tych dziewczyn, które, jak mówisz, zawracały Florianowi w głowie na tydzień albo na dwa. Przyszłam tu po to, żeby zażądać od ciebie zgody na rozwód z Florianem, to jest dla ciebie jedyne przyzwoite wyjście i nie odejdę, póki mi nie odpowiesz. Czy naprawdę myślisz, że pozwolę ci się po prostu wyrzucić za drzwi? Dlaczego sama nie odejdziesz, skoro wiesz, że jesteś niepożądana? Ale ty jesteś i tępa i gruboskórna i zadowolona z siebie, a w dodatku chora. Jesteś Florianowi zawadą, krępujesz go pod każdym względem...

- Dosyć, Anno, dosyć - szepnęła Maud ochryple. Aleja nie pozwoliłam sobie przerwać.

- Czy myślisz, że to Florianowi sprawia przyjemność tkwić przy tobie, trzymać cię za rękę i przyglądać się, jak spluwasz w chusteczkę? Jeżeli już dawniej nie miał ciebie dość, to możesz być pewna, że teraz ma tego po uszy i jeżeli nie zwrócisz mu wolności, to zacznę trąbić na wszystkie strony, że Florian należy do mnie nie do ciebie...

Ja wiem, Flori, że byłam często zbyt gwałtowna i nieopanowana, ale musiałam powiedzieć to wyraźnie, żeby zmusić Maud do ustąpienia. Gdybyś ty wtedy nie wrócił do domu, nic

złego by się nie stało. Maud zgodziłaby się na rozwód, już ja bym się o to postarała.

Ulewa rozpełtała się podczas mojej rozmowy z Maud. Wchodząc do pokoju strząsała wodę z włosów. Było prawie ciemno, zapaliłem światło, spojrzałem na Maud, potem na mnie i znowu na Maud.

- Co się dzieje? Czy to jakieś siostrzane porachunki?
- Chciałabym cię o coś zapytać Flori - powiedziała Maud.
- I proszę cię, odpowiadaj tylko: tak albo nie. Moja siostra zakomunikowała mi, że masz z nią romans. Czy to prawda?
- Widzisz, Maud, nie myśl, że to takie proste...
- Tak czy nie?
- Więc: tak.
- Czy to... coś poważnego?
- Tak.
- Jak długo to trwa?
- Od trzęsienia ziemi... Przeszło dwa lata. Ale już przedtem... kochaliśmy się, jeszcze zanim ty za niego wyszłaś
- powiedziałam.
- Nie pytałam ciebie, Anno. Ty masz odpowiadać, Flori.
- Tak, Maud, ale pozwól mi to wytłumaczyć...
- Jestem ci wdzięczna, że mnie nie okłamujesz - powiedziała. - Muszę... muszę teraz to wszystko przemyśleć. Sama. Nie mogę teraz rozmawiać z tobą, Flori. Później. Może.

Nie powinnam cię była może zatrzymywać, Flori kiedy chciałeś za nią biec, ale nie mogłam inaczej; tak strasznie była mi potrzebna świadomość, że ten jeden jedyny raz jesteś po mojej stronie, że i o mnie się troszczysz, raz jeden, o mnie bardziej niż o Maud. Wyszłam dopiero co ze szpitala, byłam jeszcze taka słaba i niepewna. Rzuciłam się w twoje ramiona, przytuliłam się do ciebie, nie mogłam w tej chwili dopuścić do tego, żebyś poszedł za Maud. Niech i ona raz zazna trochę goryczy, pomyślałam, ale nie powiedziałam tego, a zresztą nie na długo cię przecież zatrzymałam, prawda? Trzy minuty? Pięć? Nic wiedziałam i do dziś tego nie wiem, ile czasu wtedy

upłynęło. Usłyszałam trzaśnięcie drzwi, ale nie przypuszczałam, że to Maud wybiegła na ulewę.

Prawda, tylko prawda, cała prawda.

A więc dobrze. Wiedziałam, że to ona i nie chciałam, żebyś biegł za nią. Ale wierz mi, musisz mi uwierzyć, że nie pragnęłam jej śmierci. Chciałam tylko, żeby zwróciła ci wolność. Wcześniej czy później musiałyby przecież i tak umrzeć, z tymi swoimi słabymi płucami. Gdyby była zdrowa i silna, to nie umarłaby od tego, że przemoczyła sobie nogi i zaziębiła się. Nie umarłaby nawet na zapalenie płuc, gdyby choroba nie trawiła jej już wcześniej. Florianie, musisz mi wierzyć, właśnie dzisiejszej nocy, kiedy czuję, że sama nie dożyję rana.

Nie zabiłam mojej siostry i nie pragnęłam jej śmierci; chociaż cieszyłam się, kiedy umarła i pozostawiła mi wolną drogę. To jest prawda, cała prawda.

Doktor Gerrick usiadł obok kierowcy ambulansu w nadziei, że świeże powietrze go orzeźwi. Watts i Ryerson ulokowali się niezbyt wygodnie wewnątrz rozklekotanego, starego wozu, gdzie nosze zajmowały znaczną część miejsca. Na stojaku piętrzyła się sterta przezornie przygotowanych lnianych prześcieradeł i pledów, pachniało jodem i dezynfekcją. Od czasu do czasu kierowca puszczał w ruch syrenę. Obu panów proszono o nie palenie, ale oni mimo to palili.

- Nie jest to podróż dla przyjemności, co - odezwał się Watts. - Nie bardzo rozumiem, Tom, dlaczego tyś się wplątał w tę historię, zamiast z lekkim sercem podążać do Waszyngtonu.

- No cóż, to kwestia gustu. Przypomina mi to czasy, kiedy byłem reporterem sądowym.

- Nie chcesz chyba przez to powiedzieć, że zbierasz materiał do reportażu?

- Ach nie, skądże znowu. Ale odkąd podpisałem umowę na pierwszą książkę, pasjonuje mnie wszystko, co mogłoby mi dostarczyć dobrego materiału. Pamiętasz kiedy byliśmy jeszcze w pociągu, obiecałeś, że opowiesz pewną historię, jak tyją nazwałeś? „Ostrzega się przed sarnami”? Albo raczej: Jak to się do diabła stało, że panna Ambros została starą panną? Wiesz co, George, rozmawiałem z nią w Tokema, parę minut zaledwie, ale wywarło to na mnie silne wrażenie. Ta dziewczyna nie wydała ani jednego histerycznego, fałszywego tonu. Wspaniała postawa! Musi mieć niezwykle silną wolę i opanowanie. Należy do gatunku ludzi, których człowiek chciałby mieć obok siebie w czasie nalotu lotniczego. Zadaj sobie pytanie, dlaczego...

- Doskonale. Rozważaj sobie nadal, dlaczego Joy Ambros nie wyszła za mąż, ja zaś zastanawiam się, co się stało z Anną. Święty Jacku, naprawdę, jaki mogła mieć w tym cel, ta kuta na cztery nogi stara spryciara!

- De mortuis nil nisi bene, George...

- To bardzo chwalebna zasada, mój chłopcze i obiecuję jej najwspanialszy nekrolog, jak tylko się przekonam, że naprawdę nie żyje... Ale ani o sekundę wcześniej. Znam Annę i zapewniam cię, że coś w tym nagłym zniknięciu jest nie w porządku. Nie potrafię tego dowieść, ale wcale bym się nie dziwił, gdyby ona zaaranżowała jakiś kawał, żeby wyciągnąć pieniądze z towarzystwa ubezpieczeniowego albo napytać kłopotów Joy, czy narobić jeszcze innych świństw. Nic nie wiem, ale wietrzę coś i macam w ciemności. Pociąg zatrzymał się natychmiast po wypadku i przeszukano gruntownie całą trasę w odległości dziesięciu minut drogi. Dlaczego więc jej nie znaleziono? Ani zwłok, ani okaleczonego ciała, ani ciężko rannej ofiary. Dlaczego nie było ani śladu Anny Ambros, jeżeli rzeczywiście wypadła z pociągu?

Ależ to fantastyczne, to...

Nie wydawałoby ci się to takie fantastyczne, gdybyś znał niektóre posunięcia Anny, tak jak ja je znam. Już dwa razy

mnie nabrała, nie chcę wpaść po raz trzeci. Tu wszystko za bardzo się zgadza. Jako radca prawny towarzystwa ubezpieczeniowego, które musi odrzucać sporo oszukańczych roszczeń swoich klientów, mogę ci tylko powiedzieć, że kiedy wszystko zbyt idealnie się zgadza, budzą się we mnie podejrzenia. W życiu Anny wiele rzeczy zbyt idealnie się zgadzało, żeby mnie przekonać. Ludzie, którzy stali jej na drodze, znikali albo umierali w odpowiednim momencie. Zrozum, nie chcę przez to powiedzieć, że Anna ich zabijała, bynajmniej, oni po prostu umierali. Z drugiej strony osoby, które mogła wykorzystać, trzymała przy sobie jak na smyczy i oto masz przy okazji odpowiedź na moje pytanie: jak to się stało że panna Ambros została starą panną? A kiedy Anna potrzebowała pieniędzy, zawsze działo się coś, co sypało jej pieniądze na podolek. Możliwe, że usiłowała sfingować śmiertelny wypadek, żeby w jakiś sposób zainkasować własne ubezpieczenie na życie. Nic nie wiem, zongluję tylko rozmaitymi możliwościami.

- Muszę przyznać, że posiadasz dość bujną wyobraźnię. Kiedy pomyślę o tej biednej pani Ambros...

- Biedna pani Ambros! Tak właśnie zawsze o niej mówiono. Była „biedną panią „Hopper”, kiedy jej mąż umarł . Ja osobiście powiedziałbym raczej: „biedny pan Hopper”. W naszych aktach natknąłem się na kompromitującą korespondencję na temat kosztów pogrzebu Clyde'a Hoppera. Zanim udał się nad Amazonkę, Anna wyrobiła dla niego ubezpieczenie na życie, a on umarł na żółtą febrę tak punktualnie, jakby ona zamówiła mu ją ekstrapocztą.

- Chciałbym naprawdę wiedzieć, dlaczego tak dyszysz zemstą w stosunku do tej biednej kobiety, której zwłok właśnie szukamy. Nie możesz na serio czynić jej odpowiedzialną za fakt, że jej pierwszy mąż uległ tropikalnej chorobie i...

- Pośrednio - tak. Uważam ją za odpowiedzialną. Miała bowiem kochanka i postarała się, żeby jej mąż się o tym dowiedział. Ten kochanek był równocześnie mężem jej siostry,

musisz więc przyznać, że to była wystarczająca przyczyna, żeby wypędzić człowieka do dżungli.

Ryerson czekał. Watts zaś palił w milczeniu.

- Jako chłopiec bardzo lubiłem siostrę Anny, Maud - powiedział. - Otaczała ją jakaś nieokreślona atmosfera stałości, spokoju. No cóż, zwykłą dobroć trudno jest opisać. Pamiętam, że przypadkiem spotkałem Ambrosa i Annę w starym Trocadero; to był lokal, położony dość daleko za miastem, gdzie używający życia panowie wywozili młode damy o wątpliwej reputacji. Trocadero ze swymi gabinetkami, szampańskimi kolacyjkami i skandaliczną opinią na pewno nie było restauracją, do której zaprasza się szwagierkę na niewinny, wieczorny posiłek. Byłem wtedy bardzo młodym i niezepsutym chłopcem i na widok pana Ambrosa w towarzystwie Anny, w tym lokalu, doznałem porządnego szoku. Zamierzali właśnie wsiąść do jej samochodu i byli w szampańskich humorach. Do tego wieczora znałem Ambrosa jako czulego męża i ojca. Od tej pory bałem się spojrzeć w oczy Maud.

Ryerson roześmiał się cicho.

- Oni tak samo przyłapali ciebie, jak ty ich. Zabawny to obraz, ty, jako szesnastolatek w podejrzanym lokalu...

- Tom! Pojechałem na rowerze do Trocadero, żeby odwiedzić naszego dawnego kucharza, czarnego jak smoła geniusza, który robił najlepsze torty czekoladowe w całej Kalifornii. Ale Anna usiłowała mnie przekupić czy zaszantażować, obojętnie, jak to nazwiesz; i to miało dla mnie tak fatalne skutki.

- Naprawdę? Chciała cię przekupić? Mojego uczciwego George'a? W jaki sposób?

- Rzuciła mi się na szyję i pocałowała tak, że mię ciarki przeszły, po czym spojrzała na mnie zdziwionymi oczyma i zawołała: „O mój Boże, Georgie, zapomniałam, że nie jesteś już małym chłopczykiem - ale co robisz w Trocadero, mały rozpustniku? No dobrze, dobrze, nie chcę tego wiedzieć i nikomu nie powiem, żeśmy się tu spotkali, twoją matkę by to zaniepokoiło, prawda?” Była to prymitywna metoda, ale



niezwykle skuteczna, którą stosowała całe życie: głaskanie i grożenie aksamitną łapką. Pan Ambros usiłował ratować sytuację, mrużąc coś o przyjaciółach, których oczekiwali. Wszystkie te wysiłki były zresztą całkiem zbędne, bo wolałbym spłonąć na stosie, niż opowiedzieć Maud, co widziałem. Która to godzina, Tom? Powinniśmy być wkrótce na miejscu.

- Nie minęliśmy jeszcze przełęczy. A twoje podejrzenie odrzuciłby każdy trybunał. Nie miałeś żadnych dowodów, co cię zresztą obchodziło, że jakiś ojciec rodziny flirtuje z czyjąś tam siostrą?

- Nic, poza tym, że Maud wiele dla mnie znaczyła i że to spotkanie zniszczyło we mnie coś ważnego. Unikałem Maud, a wkrótce ona umarła. Anna i pan Ambros pobrali się, kiedy minął okres żałoby. Potem wybuchła wojna światowa, rodzinie Ambrosów wiodło się źle i z Anną spotkałem się dopiero jako doświadczony adwokat, kiedy zjawiała się u mnie po radę, w jaki sposób mogłaby dostać w swoje ręce pieniądze, które stary Ballard pozostawił dla Joy. Daj mi ognia, Tom, dobrze?

Ryerson zapalił zapałkę i podał Wattsowi ogień. W krótkim błysku płomyka ujrzał buldogowatą twarz adwokata, było w niej napięcie i zaduma.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, George, chciałbym cię o coś spytać - powiedział Ryerson. - Dlaczego się właściwie nie ożeniłeś?

Watts nie od razu odpowiedział, ssał swoje cygaro. Przez chwilę panowało milczenie, po czym rozległ się cichy, gniewny śmiech:

- To muszę ci przyznać, Tom, bystry z ciebie chłopak. Jeśli chcesz wiedzieć, czy Anna ma z tym coś wspólnego, że stałem się zgryźliwym, starym kawalerem, to w pewnym sensie jesteś na dobrym tropie. W pewnym sensie i z wielkimi zastrzeżeniami. Co prawda nie była jedyną kobietą, którą przyłapałem na manowcach, ale była pierwszą, a o takich rzeczach człowiek nie zapomina. Anna, urocza Angelina, zasiała w moim sercu głęboką nieufność dla całej płci żeńskiej; jednym słowem zaszczepiła we mnie strach przed kobietami w ogóle.

- Tylko dlatego, że cię pocałowała i prosiła o prawną poradę? Czy nie posuwasz się trochę za daleko w potępianiu pani Ambros, George?  
- zapytał Ryerson.

- Okey, a więc przyszła wówczas w sprawie sierocych pieniędzy Joy. Ile z jej rocznych procentów wydawano rzeczywiście, nie obchodziło mnie i nie chciałem nawet tego wiedzieć. Wiedziałem natomiast, że Ambros ubezpieczył na bardzo wysoką sumę swoje cenne skrzypce; prawdę mówiąc, było to ubezpieczenie zbyt wysokie, Anna miała trochę racji, że się o to złościła. Wobec ograniczonych środków, jakimi rodzina dysponowała, zachowywanie tych skrzypiec było potępienia godnym luksusem. I oto w ich domu na Vallejo Street wybuchł pożar i skrzypce spłonęły, cudowne skrzypce wartości pięćdziesięciu tysięcy dolarów, a ja reprezentowałem towarzystwo, które miało te pieniądze wybulić.

- Wszystko się tu zbyt idealnie zgadzało - ciągnął. - W czasie pożaru nie było nikogo w domu, istniało natomiast sporo podejrzanych szczegółów, jak na przykład skrawek aksamitnej wyściółki futerału, wyraźnie zalatujący benzyną i podpaleniem. I wiele innych problematycznych okoliczności, na których można by zbudować oskarżenie. Sądzę, że gdybyśmy weszli na drogę sądową, zdołalibyśmy dowieść, że pożar nie powstał przypadkiem. Wszystko to bardzo pięknie, ale my nie weszliśmy na drogę sądową. Zapytasz, dlaczego? Bo Anna zjawiała się w moim biurze, płakała, szlochała, powoływała się na naszą starą przyjaźń i na pamięć Maud, jej mąż był ciężko chory, niemal umierający, a w dodatku ten śliski, jak wąż O'Shaughnessy, wywarł nacisk na naszą radę nadzorczą.

- No i co? - zapytał Ryerson z ciemności, po czym zapalił zapalniczkę, żeby rzucić okiem na twarz adwokata, podczas gdy zapalał swoją fajkę.

Tak, tak, ty psychologu, zgadłeś. Uległem i poddałem się. Nie, nie było tu mowy o tym, o czym ty teraz myślisz, mój synu. Nie przespałem się z Anną, nawet we śnie nie przyszło mi to do głowy. Miała już wtedy ponad czterdziestkę. Musiał to być

rodzaj litości. Wierz mi, nie ma rzeczy bardziej deprawującej jak nieuzasadniona litość. Słabość, która rodzi nową słabość. Anna była wiecznie słaba, rozbrajająca, rozrzewniająca: ostrzega się przed sarnami!

Słuchaj Tommy, to jest wyznanie, zachowaj je przy sobie. Uratowałem z trudem szacunek dla samego siebie, nie przyznając jej pełnego ubezpieczenia. Nie przerywaj. W pięć miesięcy później Florian Ambros umarł. Samobójstwo. Wiedziałem o tym. I Joy o tym wiedziała. I lekarz. I Anna. Wyznała mi to zresztą w rozdzierającej scenie w moim biurze, kiedy byliśmy sam na sam, bez świadków. Ambros był ubezpieczony na życie, ale w wypadku samobójstwa ubezpieczenie było nieważne. Nie potrzebuję ci opowiadać, jak się ta historia skończyła. Oczywiście, wypłaciliśmy całą sumę. Nie powiedziałem ani słowa, pozwoliłem Ambrosowi odejść z honorem, a moje towarzystwo za to zapłaciło.

- Widzisz, Tom, nie warto byłoby tracić słów na historię Anny, gdyby ona sama była przypadkiem wyjątkowym. Mnóstwo takich kobiet żyje w idealnej harmonii ze sobą, rozpościerając swoje anielskie skrzydła, dusząc własne dzieci, zatruwając studnie, rozsiewając zabójczą zarazę na polach i zamieniając przeciętne ogniska domowe w piekło. Jak mi Bóg miły, mam nadzieję, że Anna skrzyła kark, póki jeszcze czas, żeby córka Maud urządziła sobie własne życie.

Rozsunął zasłonę, opuścił okno i wyrzucił niedopałek cygara. Noc napierała na ambulans czarnym, przeciągłym, nieprzerwanym szumem deszczu.

- Tak sprawy stoją, mój chłopcze - powiedział Watts. - Czy myślisz, że minęliśmy przełęcz?

\*

Angelina człapała w deszczu, jej postrzępione pończochy opadły tak nisko, że za każdym krokiem na nie nadeptywała, ale kiedy usiłowała się schylić, żeby je podciągnąć, musiała

z tego zrezygnować, tak bezwładne i obolałe były jej członki. Przeciwwstawiała się deszczowi, który wraz z zimnym wiatrem nacierał na nią twardymi, chłuszczącymi strumieniami. Jej futro było przesiąknięte wilgocią, doprowadzenie go do porządku po tej przygodzie będzie na pewno kosztowało majątek. Sprzedała antyczną komodę generałowej za 2.400 dolarów do muzeum i kupiła sobie za to te norki. Kto by pomyślał, że za rozlatujący się stary grat można tyle dostać! Poza tym ta wielka komoda w niedużym mieszkaniu na Greenwich Street była tylko zawadą, podczas gdy futro stanowiło jakby odznakę, rodzaj karty członkowskiej, świadczącej o tym, że - na przekór przeciwnościom losu - człowiek należy jeszcze do najlepszego towarzystwa. Jednakże na łonie natury, pośród surowego krajobrazu dzikiego zachodu, w burzliwą noc, zalewającą wszystko strumieniami deszczu, tego rodzaju futro miało minimalne zalety.

Myśli Angeliny stały się przedziwną plątaniną wspomnień. Słowa, obrazy, od czasu do czasu oślepiająco jasny błysk rzeczywistości, wszystko bezładnie zmieszane, jak to bywa na chwilę przed zaśnięciem. Ale Angelina nie pozwalała sobie zasnąć. Zdawała sobie jasno sprawę z jednego: nie wolno jej przestać iść. Wprawdzie znowu zapomniała, dlaczego, po co i dokąd idzie, ale niezłomna wytrwałość, jaka w niej tkwiła, kazała jej dążyć naprzód.

Nasyp kolejowy stał się jeszcze niższy i w końcu Angelina znalazła się na tym samym poziomie co szyny. Nieco później uświadomiła sobie, że po drugiej stronie toru, za wąskim pasem pola, spowita nieprzejrzyistą zasłoną deszczu, ciągnie się kusząco gładka szosa. Wpatrzyła się w mokry mrok, ale rzęsy jej się kleiły od wilgoci, a deszcz wisiał między nią a szosą niby zasłona ze szklanych paciorków. Wyciągnęła z kieszeni przemoczoną chusteczkę i na próżno usiłowała wytrzeć sobie nią twarz, rozpatrując równocześnie niebezpieczeństwa, jakie jej groziły podczas przechodzenia przez tor.

Raz czy dwa dostrzegła reflektory przejeżdżających szosą ciężarówek. Ależ ja jestem głupia, myślała Angelina, męczę się tu, po niewłaściwej stronie toru, podczas gdy tam biegnie piękna, gładka szosa, pełna samochodów, które by mnie podwiozły. Idiotyczne.

Muszę zdobyć się na odwagę, przejść przez szyny i dotrzeć do szosy.

Wydawało się to dość proste. Ledwie jednak zrobiła parę kroków, szukając między podkładami kolejowymi oparcia dla stóp, kiedy ziemia zadrżała wskutek zbliżania się sapiącego twora, który wyłonił się z nicości i z niesamowitą szybkością urastał do olbrzymich rozmiarów. Przez sekundę wszystko było zamętem, zgiełkiem, śmiertelną bliskością. Angelina biegła jednak na oślep dalej, po czym skulona i padła po drugiej stronie toru. Leżąc w ociekającej wodą, śliskiej trawie chwytała z trudem oddech walczyła o to, żeby nie umrzeć na miejscu, poprzez dudnienie, grzmot, łoskot pędzącego pociągu, poprzez noc i deszcz, wciąż jeszcze dochodził do niej tamten głos. Nie wolno zasnąć Angelino, wstań, nie poddawaj się, musisz iść dalej...

- Nie mogę już, taka jestem zmęczona krzyczała z rozpaczą. - Chcę spać, tylko spać, chcę zostać tu, gdzie jestem, odpocząć, zasnąć.

Jeszcze raz usiadła, otworzyła oczy i cicho jęcząc, stanęła na nogi. Poproszę pierwszy przejeżdżający samochód, żeby mnie zabrał, usnę obok kierowcy, oprę głowę na jego ramieniu i zasnę - pocieszała się. Oczyma wyobraźni widziała już tego kierowcę. Wysoki, silny mężczyzna, rudowłosy olbrzym, szorstki, ale dobroduszny, w koszuli, bryczesach i w słomianym kapeluszu z szerokim rondem i przybraniem z bażancich piór.

Posłusznie zmusiła do pracy bezwładne nogi, obolałe członki, przygotowując się do przebycia niskiego, wąskiego, ciemnego pasa łąki, rozpościerającego się pomiędzy nasypem kolejowym i szosą.

Najpierw wyłonił się napełniony bulgocącą wodą rów, w którym zapadła się po kolana, potem zaporą z trzciny,

o liściach ostrych, kłujących jak sztylety; potem płot z drutu kolczastego, który zagroził jej drogę. Jednak powrót wydawał się również niemożliwy. Przez parę sekund miotła się bezradnie, wreszcie wybuchła płaczem. Gorzko szlochając, po omacku, posuwała się wzdłuż drutów. Szosą znów nadjeżdżał jakiś samochód i wciąż jeszcze był dla Angeliny nieosiągalny. Na próżno wołała i machała. Nie myślała już nawet o tym, że jest podrapana, oberwana, potłuczona; przestała w ogóle cokolwiek czuć poza ciężarem ociekającego wodą futra i bezwładem własnego ciała.

- Spróbuję - mówiła głośno do siebie. - Jestem przecież szczupła, jakoś się chyba precisnę. No, więc spróbuję! - rozkazała sobie.

Zdjęła futro i powiesiła je na płocie. Mimo chłoszczącego deszczu czuła się lepiej, oswobodzona od ciężaru płaszcza. Położyła się na ziemi, przycisnęła się do niskiej, mokrej trawy pastwiska i uniósłszy najniższy drut, przesuwiała się pod nim jak wąż.

- No, najważniejsze już za mną - powiedziała z dumą, odzyskawszy oddech i nic ją nie obchodziło, że kolce poszarpały jej żakiet na plecach. Maud nigdy by wtedy nie przeszła, ani Joy. Dopiero po chwili wypoczęła na tyle, że mogła wstać

i włożyć z powrotem ciężkie futro. Płytki rów po drugiej stronie podmokłego gruntu, który musiała jeszcze przebyć, był już fraszką, a zapach przepojonego smołą drzewa zaprowadził ją do stosu bali na brzegu szosy, gdzie przysiadła, czekając na następny pojazd, obojętne w jakim kierunku będzie jechał. Deszcz powoli ustawał.

Po dłuższej chwili zjawiała się ciężarówka; Angelina zaczęła powiewać mokrą chusteczką, jak rozbitek koszulą na za-improvizowanym maszcie tratwy. Jej mała flaga sygnałowa nie była już jednak biała, krew, błoto i brud uczyniły ją prawie niewidoczną. Samochód nadjechał po mokrym asfalcie, wysyłając przed sobą długi blask reflektorów i minął ją. Widziała jeszcze złośliwie migoczące tylne światelko znikające w oddali,

wraz z hałasem, klekotem i zapachem rozgrzanej ropy wydobywającym się z dieslowskiego motoru. Kierowca nie zauważył Angeliny; może zdrzemnął się nad kierownicą albo był pijany, a może po prostu nie miał ochoty zatrzymywać się, skończony bydlak!

Była nieznośnie zmęczona, kiedy opadła z powrotem na twarde belki. Ciężarówka dawno przejechała, ale hałas pozostał; a może to wyczerpanie dudniło i grzmiało jej w uszach. Szum w uszach, pomyślała. Od czasu do czasu jakiś uparty dzwoneczek dźwięczał jej w głowie, trzeszczało coś i chrzęściło jak potworny ogień. Od wielkiego trzęsienia ziemi nigdy jeszcze nie była tak zmęczona. Wołające wokół niej głosy dudniły jej w mózgu. A potem jakby ktoś przekreślił niewidoczny wyłącznik, umilkły wszelkie szmery i wszystko nagle ucichło; zapadła kompletna przerażająca cisza. Tylko jeden wysoki, cienki ton dźwięczał nad tą otchłanią milczenia. Świerszcz? Duch zamordowanych skrzypiec...?

- Nie, och, proszę cię, nie, nie! - krzyknęła Angelina, przycisnęła ręce do uszu, żeby odciąć się od tego dźwięku, który nie chciał zamilknąć.

Ale wspomnienia owej nocy, kiedy spłonął dom na Vallejo Street razem z „cesarzową”, te wspomnienia nie znały litości, ujadły wokół niej jak sfora wściekłych psów. Była zbyt słaba, żeby się bronić, a martwe skrzypce brzmiały i brzmiały, wciąż tym samym wysokim, niesamowitym tonem, w przerażającej, bezbrzeżnej ciszy.

Odtąd zdrowie Floriana zaczęło się gwałtownie pogarszać, prawie nic już nie zarabiał. Serce się krajało na widok ukochanego człowieka, który niknął w oczach, a nie było pieniędzy, żeby zapłacić za najdroższą kurację, za najsławniejszego specjalistę, za jedyne leczenie, które by go uzdrowiło. Cierpieli na nieznośny, starannie ukrywany ich brak. Żyli w ciągłym zamięcie długów i nie dotrzymywanych zobowiązań. Dom był obciążony długami hipotecznymi, biżuteria Angeliny zastawiona i mało brakowało, a nie byliby w stanie płacić

składki, tego wariacko wysokiego ubezpieczenia za bezużyteczne skrzypce Floriana. Tonęli w powodzi nie zapłaconych rachunków: u rzeźnika, handlarza warzywami. Musimy przecież jeść, ty potrzebujesz lekarza, jeżeli wkrótce nie zapłacimy, zamkną nam telefon i gaz, powinniśmy kupić węgiel na zimę, dach przecieka, rzemieślnik, który miał naprawić toaletę, nie przyszedł, bo jesteśmy mu winni za ostatni rachunek. I jedno muszę ci powiedzieć, że jeśli nie kupię sobie nowego, zimowego płaszcza, nie będę mogła pokazać się na ulicy...

Był rok 1927, ludzie dokoła opływali w pieniądze, szastali nimi na prawo i lewo, miasto pękało wprost od zysków na giełdzie i łatwo zdobytego dobrobytu. Przepaść między tym nadmiarem a ich własnym biedowaniem, czyniło to jeszcze trudniejszym do zniesienia.

- Przecież wiesz, Flori, jak ja cię kocham, ale musiałeś chyba oszaleć, uparcie odmawiając sprzedaży skrzypiec. Nie robię ci wyrzutów, kochanie, wiem, że się źle czujesz, ale wszystko jest takie beznadziejne, a ja jestem zupełnie zrozpaczona. Po prostu już nie wiem, co dalej robić...

Plan rozwiązania wszystkich finansowych problemów wyłonił się przed Angeliną, w całej swej prostocie, podczas niedzielnego nabożeństwa, spłynął ku niej z dźwiękiem organów i z ukośnie padającymi promieniami słońca. Wypełnił ją natychmiast jedynym w swoim rodzaju uczuciem ulgi i harmonii, tak, że musiała uwierzyć, że to sam Bóg-Ojciec wskazuje jej drogę. Bóg -w jej mniemaniu nie tylko podsunął jej plan, lecz wziął na siebie i resztę. Oczywiście, było to coś więcej, niż przypadek, że Joy tego samego wieczora, kiedy Florian uparł się, żeby pójść na pierwszy koncert Paula Homera, musiała wygłosić odczyt w San Jose, tak, że wyjątkowo nikogo nie było w domu.

- Czy na pewno dość dobrze się czujesz, kochanie, żeby wyjść? Czy cię to za bardzo nie zmęczy? Czy to dla ciebie naprawdę takie ważne, żeby posłuchać dziś gry tego chłopca? - pytała troskliwie Angelina, spodziewając się w głębi ducha, że Florian będzie się upierał przy swoim projekcie.



- Przestań się nade mną roztkliwiać, czuję się doskonale. Dla mnie nie jest to może takie ważne, ale temu chłopcu zepsułbym cały koncert, gdybym na nim nie był. Poza tym jestem bardzo ciekawy, jak Paul będzie się czuł wobec publiczności. Jest moim następcą, ma bardzo obiecujący talent i spodziewam się, że będzie kontynuował to, co ja musiałem przerwać.

Ta trochę zbyt uroczysta mowa nie trafiła w ogóle do uszu Angeliny, która mimo to uśmiechnęła się do Floriana roztargnionym i dodającym otuchy uśmiechem czułej żony.

- No, to dobrze, kochanie. Ale zrób to dla mnie, idź teraz na górę i odpocznij porządnie, siedź w pokoju i nie ruszaj się stamtąd, dopóki taksówka nie podjedzie. Już ja się wszystkim zajmę...

Nie ona więc podpaliła dom, wszystko leżało w ręku Boga. Odmówiła nawet w duchu krótką modlitwę, przypadkowo rozlewając trochę benzyny z zapalniczki Floriana na delikatne, jedwabne pokrowce znienawidzonej rywalki „cesarzowej”. Na pokrywie fortepianu pełno było łatwopalnych przedmiotów, tak, że wystarczyłoby ich na puszczenie z dymem całej Vallejo Street, gdyby Bóg w swej mądrości tak postanowił. Gdyby jednak nie miał zamiaru spalenia skrzypiec, to po prostu nic by się nie stało i okazałoby się, że między nią i nim nastąpiło drobne nieporozumienie. Na fortepianie i na podstawce od nut leżały porozrzucane nuty, a obok otwartego futerału ze skrzypcami stała lampa z wystrzępionym, źle zaizolowanym drutem. Angelina wezwała nawet przezornie elektryka, żeby przewód naprawić; ponieważ jednak i jemu nie zapłacono za ostatnią robotę, odburknął tylko nieuprzejmie, że w ciągu najbliższego tygodnia przyśle chłopca.

Kiedy Angelina dokładała węgla do kominka przewróciła banieczkę z naftą, która używana była do rozpałki. Trochę nafty rozlało się na dywan, bardzo niewiele, a jeśli przypadkiem kawałek rozżarzonego węgla upadłby na dywan, nuty, które zsunęły się z pulpitu, mogłyby się zająć, płomień

powędrowałyby po firankach w górę do zaimprovizowanej niebezpiecznej strefy na fortepianie...

Kierowca taksówki zadzwonił do drzwi i Angelina narzuciła pelerynkę z szynszyli na swą starą suknię wieczorową.

- Już pora na nas, musimy iść Flori! - zawołała z dołu. - Taksówka czeka.

Florian ukazał się w drzwiach sypialni, a w sposobie, w jaki schodził po schodach, znać było rozpaczliwy wysiłek, aby wyglądać tak jak dawniej. Miał na sobie smoking i elegancki czarny kapelusz, wytworny płaszcz narzucił niedbale na ramiona i uśmiechał się z automatyczną swobodą wielkiego wirtuoza, przed którym tłoczą się tłumy wielbicieli. Angelinie serce się ścisnęło na jego widok, bo kołnierzyk nakrochmalonej koszuli był wyraźnie za luźny, a smoking wisiał na jego wychudzonej postaci. Zdjął kapelusz i odłożył papierosa, zanim zbliżył się do żony; był to jego dawny, pełen wdzięku i galanterii gest, i Angelinę, w stanie maksymalnego napięcia, w jakim się znajdowała, przeszło nagle gorące uczucie, jakby \* się w nim na nowo zakochała.

- Jaki ty jesteś wysoki - powiedziała - nic dziwnego, że kobiety za tobą szaleją, kiedy tak wyglądasz! Chodź, musisz się schylić, bo jestem dla ciebie za mała.

Pochylił się ku niej, a ona poprawiła mu czarną muszkę, podniosła kołnierz płaszcza i czubkami palców dotknęła jego wyostrzonych teraz, ale wciąż jeszcze pięknych w linii kości policzkowych.

Kierowca taksówki już po raz drugi niecierpliwie nacisnął klakson. Angelina, bliska łez, przytuliła się do Floriana jeszcze na chwilę, objęła ramionami jego biedny, wychudzony kark. Nigdy się nie dowiesz, Flori, co ja dla ciebie robię, pomyślała, bo to jest tajemnica między mną a Bogiem. Flori otworzył przed nią dwornie drzwi i puścił ją pierwszą.

O mój Boże, zapomniałam rękawiczek! Idź już, żebyś się nie przeziębził, zaczekaj na mnie w taksówce - powiedziała i wepchnęła go niemal do samochodu.

- Powinienem być ci jeszcze wdzięczny, że nie wieziesz mnie na koncert w wózku dzieciennym, mój ty mały głuptasku - powiedział z żartobliwą pobłażliwością.

Angelina wróciła do salonu muzycznego.

Palila rzadko, ale teraz zapaliła śpiesznie papierosa, zaciągnęła się parę razy głęboko, obserwowała, jak mała iskierka żaru ożywia się i, nie patrząc, gdzie papieros upadnie, rzuciła go niedbale na pokrywę fortepianu. Szczypcami wyjęła z kominka parę rozżarzonych węgielków i upuściła je gdzie popadło. Potem wypowiedziała parę słów, które były równoznaczne z drugą modlitwą: „Zrobiłam, co mogłam, mój Boże, teraz wszystko zależy od ciebie”. Wzięła swoje długie rękawiczki, które umyślnie zostawiła na krześle. Od drzwi rzuciła jeszcze jedno spojrzenie na pokój. Parę rozrzuconych na podłodze kartek zaczęło przybierać barwę brązową i zwijać się na brzegach.

Kiedy Angelina zamykała drzwi i opuszczała dom, czuła, że raz jeszcze spełniła swój obowiązek. Wsiadłszy do taksówki zajęła się zapinaniem licznych małych guziczków przy długich rękawiczkach, po czym ujęła dłoń Floriana.

- Nie zapomniałaś zgasić lampki przy fortepianie? - spytał.

- Umyślnie zostawiłam światło w paru miejscach. Odkąd w sąsiedztwie tak często zdarzają się włamania, policja radzi nie zostawiać domu w ciemnościach. Poza tym nie cierpię wracać do ciemnego mieszkania - odparła swobodnie.

Po powrocie zastali dom zbyt intensywnie oświetlony: palił się jasnym płomieniem, ulica była zamknięta, roiło się od strażaków, pomp parowych, węży do wody i gapiów. Angelina była głęboko, pokornie wdzięczna Panu Bogu i postanowiła w dowód wdzięczności złożyć znaczną ofiarę na kościół, w którym doznała błogosławionego olśnienia. Później jednak, kiedy wynikły te trudności z podjęciem sumy ubezpieczeniowej i zdrowie Floriana zaczęło się gwałtownie pogarszać, obudziły się w niej wątpliwości, czy mimo wszystko nie rozumiała źle woli bożej. Wkrótce zaczęła się źle czuć

w kościele, coraz rzadziej chodziła na nabożeństwa do nowej katedry, aż wreszcie całkiem z tego zrezygnowała. Wyglądało na to, że unika spotkania z Bogiem, jak unika się kogoś, wobec kogo popełniło się towarzyski nietakt...

Tej nocy jednak nie było miejsca na takie zuchwałe wykręty. Tej nocy stanęła sama przed sobą, była to godzina skruchy i poznania samej siebie. Skurczona, jakby ją czyjaś ciężka ręka pochylała ku ziemi, siedziała na twardych balach przy drodze.

- O Boże, żałuję - szeptała - strasznie tego żałuję, jeśli źle postąpiłam, ale miałam dobre intencje...

Jeszcze dwa samochody minęły ją, nie zauważywszy, po czym ruch na szosie w ogóle ustał. Zerwał się zimny, ostry wiatr. Deszcz nasilał się znowu, zamieniając się w oberwanie chmury. Burza jakby unosiła ją przed sobą, zmuszała jej stare nogi do biegu, zginała ją jak smagane burzą drzewko, waliła w plecy. Angelina była oburzona tą przemocą i to dodawało jej trochę siły.

- Trudno, dobrze mi tak - dyszała. - Jeśli ta burza ma mi pokazać, co przeżyła Maud owego dnia, kiedy nabawiła się zapalenia płuc, to mogę na to powiedzieć tylko tyle, że żałuję tego, co zrobiłam, szczerze żałuję. Może byłam trochę bezmyślna, ale czy to jest przestępstwo? Że jestem zbyt egocentryczna, tak mówi o mnie Zuzanna i tak myśli Karol. Ale co ja mogę na to poradzić? Jak mam się zmienić, stać innym człowiekiem?

- Starego psa nie można nauczyć nowych sztuczek, a ja jestem już bardzo starym psem, który często dostawał lanie - szeptała - ale spróbuję, tak, spróbuję, przyrzekam. Joy, Karolu, pomóżcie mi, moje dzieci, pomóżcie mi, a ja spróbuję być inna, będę się o to starała wszelkimi siłami. Tylko że nigdy już nie wrócę do domu, nigdy. Nie mogę iść dalej, jestem

" wykończona. Chciałabym naprawić pewne sprawy, w których popełniłam błędy, ale teraz jest już za późno. Przebacz mi Flori, może kochałam cię w niewłaściwy sposób, ale był to jedyny sposób, jaki znałam, i może niedobrze robiłam, kochając ciebie tak bardzo. Przebacz mi, dobry Boże, i wy oboje, Joy

i Karolu, przebaczcie mi, moje dzieci, ja żałuję, czy mnie słyszycie, żałuję...

Złamana, powalona na ziemię, zgubiona. W końcu nie pozostaje w człowieku nic poza instynktem rannego zwierzęcia. Szukanie ochrony przed okrucieństwem burzy, spokoju dla udręczonego ciała, łaski dla ustającego serca i dyszących płuc; - nic innego już nie ma znaczenia, kiedy Angelina osiąga swoją ostatnią stację owej nocy.

Z ciemności wyłania się droga, wspina się w miejscu, gdzie pod kątem prostym łączy się z szeroką szosą i po jej drugiej stronie pełnie dalej w ciemność. Skrzyżowanie się tych dwóch dróg tworzy tunel, który otwiera swoją czarną paszczę i wchłania Angelinę. Była zanadto zmęczona, aby w pełni zrozumieć ten cud: w tunelu jest sucho, nie pada tu deszcz, nawet wiatr został gdzieś na zewnątrz i powietrze staje się znowu znajomym żywiołem.

W tunelu jest ciepło, a im głębiej się do tej pochylni wchodzi, tym się robi zaciszniej.

Angelina czuje się jak pod czarną wełnianą chustką Beatrice. Oparła się plecami o ścianę, z bezgraniczną wdzięcznością przyjęła to oparcie. Osunęła się po owej ścianie w dół i w ciemnościach odkryła rodzaj krawężnika, na którym można było usiąść, trzymając nogi w rowku odprowadzającym wodę. Poczowała pozbawioną wymagań błogość bezdomnego włóczęgi, rozkoszowała się ostatnią radością najędzniejszych stworzeń, które żyją pod miejskimi mostami, nocują w opuszczonych szopach.

Zdjęła ociekające wodą, zimne, obrzydliwe futro. Do diabła ze wszystkimi futrami! Zabierzcie sobie futro z nurków, a dajcie zamiast tego suchy ręcznik, jakikolwiek suchy gałgan' żebym się mogła wytrzeć i rozgrzać. Jej spódnica była ciężka od wilgoci, więc ją zdjęła. Zakiet był z wierzchu wilgotny, ale od spodu tylko trochę, a bluzka prawie zupełnie sucha. Po kolei ściągała z siebie poszczególne części garderoby: obrzydliwie piszczące buty, poszarpane nylonowe pończochy po cztery

dolary para. Tęskniła do wełnianych grubych skarpet i wysokich gumowych butów. Gorset był jedynym szczegółem bielizny, który nie dopuścił strumieni wody do jej ciała. Widać teraz, jak dalece mam rację, kładąc wciąż do głowy Joy, że dama, choćby nie wiem jak szczupła, nie może się pokazywać bez gorsetu. Przypuśćmy, że Joy znalazłaby się w podobnej sytuacji i bez gorsetu? Cóż by ją uchroniło przed zapaleniem płuc i śmiercią, jaką umarła jej matka?

Macając i szukając wokół siebie w ciemnościach, Angelinie udało się wreszcie, jako tako okryć ciało na pół suchymi częściami ubrania, a przemoczone odrzucić. Dzięki zdumiewającej zdolności kobiet drobnej budowy, szybko przysła do siebie. Była jednak wciąż tak niewypowiedzianie zmęczona. Czy to możliwe, żeby człowiek mimo takiego zmęczenia jeszcze żył? Wsparła głowę o mur, zamknęła oczy i zaczęła rozprawiać się ze sobą. Czowała się teraz zupełnie nieźle, niczym nie obciążona, cały przygniatający ciężar trosk został jej odjęty.

- Byłam egoistką, nie wiedząc o tym, ale teraz już wiem. Egoizm jest najbardziej samotnym uczuciem na świecie, powiedział mi ktoś kiedyś. To był ten Larry Grant. Brzmiało to tak, jakby on dużo wiedział na temat samotności, ale ja byłam wtedy głucha. Teraz zaczynam słyszeć, dopiero teraz. Mój Boże, daj mi trochę czasu, błagam cię, tylko tyle, żebym zdążyła odrobić zło, które wyrządziłam innym - i sobie także. Zawsze' żądałam więcej, niż posiadałam, i nigdy nie byłam zadowolona. Skąd się bierze uczucie zadowolenia teraz, kiedy nie mam nic poza suchym skrawkiem ziemi, na którym mogę posiedzieć i odpocząć w ciemności? „Wiele zbędnego niepokoju”, mówił o tym Florian; otóż to: „zbędnego niepokoju”. -Proporcje wszystkich spraw zmieniły się, waga ich została inaczej rozłożona i to, co dawniej wydawało się ważne, ciemny wichur tej -nocy gdzieś wywiał.

Pozwolić młodym ludziom żyć ich życiem - to jest najważniejsze. I samemu żyć swoim własnym, obojętne, ile go

jeszcze pozostało - myślała. Niech mi kto powie, dlaczego się tak strasznie podniecałam sprawą Karola, Zuzanny i Larry'ego? Wszystko to razem nie powinno mnie obchodzić, jestem za stara, żeby móc zrozumieć obecną młodzież. Jeśli chodzi o Joy - mój Boże, usiłowała mnie zabić i właściwie dotychczas nie wiem, co takiego zrobiłam, żeby mnie tak serdecznie nienawidziła, mimo że ja ją przecież naprawdę kocham. Tak cię kochałam, Joy, kiedy byłaś małym dzieckiem, wyniosłam cię na rękach z płonącego domu, to nie kłamstwo, zrobiłam to naprawdę. Prawdę jest, że Beatrice szła przed nami, ale nawet gdyby jej nie było, wierz mi, sama bym cię uratowała, możesz mi wierzyć, moja mała Joy...

Już niemal zasnęła, z małą Joy na kolanach. „Jesteś moją śliczną mamusią” - mówił Karol, głaszcząc ją po policzkach swymi lepkiemi dziecięcymi paluszkami... „Nasza mała Ania ma głowę do cyfr” - mówił ojciec. „Założę się, że będziesz królową balu!”... „Niech się pani nade mną zlituje i obieca mi jeszcze jednego walca, bo inaczej będę sobie musiał w łeb strzelić” - powiedział arcyksiążę. „Wiem, że nie jestem ciebie godny, ale kocham cię do szaleństwa, maleńka” - zapewniał skruszony, wielki, rudowłosy mężczyzna, którego imienia nie mogła sobie przypomnieć. „Wystarczy jedno twoje słowo, Aniu i ożenię się z tobą” - mówił Johnny O'Shaughnessy. A potem znów Karol, już jako dorosły mężczyzna: „My się przecież tylko z tobą droczymy, mamó; gdybyśmy cię nie kochali, nie żartowalibyśmy z ciebie”... „Bądź spokojna, mamó, połóż się, przyniosę ci zaraz poduszkę elektryczną” - mówiła Joy.

Pograżyła się w ciepłe wspomnień, które otaczały ją ze wszystkich stron, kojące, zbawcze. Tyle ludzi, tyle głosów, i wszyscy jej coś ofiarowywali: sympatię, przywiązanie, bliskość. Angelina usnęła. Futro ociekało jeszcze wodą, ale włosy zaczęły już wysychać, zawsze szybko schły te delikatne, jedwabiste włosy. Chciała się właśnie zagłębić w miękkich poduszkach snu, kiedy zdawało jej się, że Florian znów ją zawołał.

- Angelino! Obudź się i chodź!

Otworzyła oczy i potrząsnęła głową. Wpatrywała się w czarny tunel, który udzielił jej schronienia i który teraz zaczynał nabierać wyraźniejszego kształtu. Jak pierwsze niewyraźne płaszczyzny światła i cienia na wywoływanej kliszy, wynurzył się powoli w ciemności duży prostokąt, tam gdzie tunel się kończył. Lekko drgające, dalekie światło wdzierało się przez ten otwór, który stawał się przejrzysty, zaczął się rozjaśniać, a potem żółtawy blask ozłocił strumienie deszczu na dworze. Żółte światło przenikało coraz głębiej do jej jaskini. Blask i jego jasne refleksy nasilały się. Nie widziała już nic oprócz oślepiającego światła. Wyszła boso na deszcz, naprzeciw temu światłu.

Futro, brudne, mokre zawiniątko, zostało w tunelu.

\*

- Teraz już naprawdę nie wiem, co o tym sądzić - mruknął parę minut przedtem szeryf Lambson, ocierając deszcz z twarzy. - Przeszukaliśmy każdy cal na całej przestrzeni między przełęczą a rzeką i nie znaleźliśmy nawet śladu człowieka.

McFarland wciąż jeszcze świecąc sobie kieszonkową latarką, przeszukiwał mokre od deszczu krzaki. Major Ryerson poszedł naprzód, do wozu szeryfa, w którym siedziała panna Ambros, bardzo sztywna, wyprostowana, z przerażająco białymi wargami. Ryerson czuł gwałtowne pragnienie uczynienia czegoś, wszystko jedno czego, byle ją doprowadzić do odtajenia, do płaczu.

- Może pani zapali?

- O tak, dziękuję. Bardzo dziękuję, panie majorze.

- - Cóż to za straszna historia. My, mężczyźni, powinniśmy byli mieć więcej rozumu i nie zabierać pani ze sobą.

O nie, bardzo dobrze się stało. Oszalałabym, gdybym miała dłużej siedzieć na tym dworcu.

George Watts opowiadał mi, jak bardzo pani była... jak



bardzo pani jest przywiązana do matki. Wszystko to musi się pani wydawać strasznie brutalne, ale rzeczowe potraktowanie każdej sprawy zwykle wywołuje takie wrażenie.

- Wszystko to moja wina. Chętnie bym umarła, gdyby to mogło coś pomóc i przywrócić matce życie. Niech pan mi wierzy, że teatralne frazesy nie leżą w moim usposobieniu.

- Nie chciałbym się okazać optymistą. Ale mam swoją własną teorię na ten temat. Nie chce mi się wierzyć, że pani matka nie żyje. Może miała dość siły, żeby powlec się gdzieś dalej, albo też, co wydaje mi się bardziej prawdopodobne, znaleziono ją tu już przed nami i odtransportowano w nieznanym kierunku, na przykład do Winnemucca.

Nieznaczny błysk ożywił jej kamienną twarz. Wyciągnęła rękę, żeby mu podziękować. Major ściągnął szybko rękawiczkę, ujął jej zimną dłoń i zatrzymał przez chwilę.

- O, idzie szeryf, zobaczymy, co zamierza. W każdym razie głowa do góry, Joy!

- Pojedziemy teraz do Winnemucca, zobaczymy, czyjej tam nie przewieziono - oznajmił szeryf wsiadając do samochodu. - Jeszcze tylko trochę cierpliwości, proszę pani. Nie ustaniemy, dopóki nie znajdziemy pani matki żywej czy umarłej.

Żywej czy umarłej, pomyślała Joy, tak czy inaczej, dla mnie to koniec. Jeżeli ona nie żyje, sama pójdę do zakładu dla obłąkanych, a jeżeli żyje, to ona wpakuje mnie do więzienia, choćby ją to nie wiem ile kosztowało. Biedny Karol! To pech, że ma matkę i siostrę, które za dobrze mu życzą! Cóż za gorzka ironia! Wrócić z wojny bez najmniejszego szwanku i zastać takie powitanie.

Samochód zazgrzytał na mokrej drodze, kiedy McFarland zahamował, a jadący za nimi ambulans stuknął w nich mocno.

- Co to takiego, u diabła? - powiedział szeryf, wpatrując się w postać, która wyłoniła się z tunelu i bosą, z podniesionymi rękami stała w jaskrawym świetle reflektorów.

Potem nastąpiły chwile pełne zamieszania, których później nikt nie mógł sobie przypomnieć, ale chyba wszyscy razem

wyskoczyli z obu samochodów i rzucili się do Angeliny, Joy na przedzie jak koń wyścigowy, czując bliskość mety.

- Mamo! - krzyknęła tak głośno, jak tylko mogła. - Mamo, żyjesz, mamo, dziękuję, och, dziękuję ci...

Sama nie wiedziała, co chce zrobić. Chwycić w ramiona tę wątłą, białowłosą postać, unieść ją w górę, wziąć na ręce, pocałować i znów jej dziękować, że żyje. Nagle jednak stanęła na parę kroków przed Angeliną. Już w następnej sekundzie mężczyźni ją dogonili. Mówili wszyscy naraz, pytali, wołali, krzyczeli, jeden głośniej od drugiego. Teraz, myślała Joy, teraz ona im powie, jak to się stało, teraz będzie ze mną koniec.

Angelina nigdy nie była drobniejsza, delikatniejsza, bardziej bezradna i urzekająca w swojej słabości. Maleńkie, brudne, nagie stopy, usmarowana twarz ze śladami łez, smukłe, wciąż jeszcze ładne nogi, pokryte zakrzepłą krwią; białe włosy niby aureola otaczały jej głowę, a cała postać pokryta śmieszna łątaniną składającą się z bielizny, gorsetu i szala zamiast spódnicy. A mimo to Angelina uśmiechała się. Był to łagodny, anielski uśmiech, który wypływał na jej twarz jak wschodzące słońce, dobrotliwy uśmiech, zaprawiony jednak porcją kobieco-chytręgo porozumienia. Joy nie potrafiła uchwycić znaczenia tego uśmiechu, dopóki Angelina nie zaczęła mówić.

- Jakże mi przykro, że narobiłam wam tyle kłopotu - powiedziała serdecznie. - Musicie mi wybaczyć, George, i pan majorze, i wy także, moi panowie. Serce mam niezbyt zdrowe... miałam widocznie zawrót głowy... i wypadłam z pociągu. Tyle zamieszania, to naprawdę idiotyczne z mojej strony.

Joy wydawało się, że dostrzega w oczach matki nieznacznym błysk żartobliwego sprzysiężenia. Czowała, jak olbrzymi ciężar \* porusza się z miejsca, przesuwa i opuszcza jej pierś, którą uciskał, odkąd Joy sięgała pamięcią.

- Mamo... kochana... kochana... - szeptała bezgłośnie, a potem i ona zaczęła się uśmiechać. Nie wiedziała dlaczego, ale uśmiechała się. Angelina wykorzystała tę chwilę, aby się

wreszcie poddać i paść zemdlna w ramiona szeryfa. Major Ryerson podtrzymał Joy, która, zaskoczona przedziwną ulgą, jakiej doznała, również straciła przytomność. Pozbawiona świadomości, wciąż się uśmiechała. Ryerson patrzył ze zdumieniem na jej miękką, odprężoną, ładną twarz.

„Kto wie? A może?...” - pomyślał, jakby się otworzyły niewyraźne jeszcze horyzonty, także i przed nim...

- Masz babo placek... Mdleją obie na raz. Nie, to już naprawdę za dużo - powiedział George Watts tak mruklawie, jak tylko umiał. - Poszukajmy przynajmniej jakiegoś suchego miejsca, bo inaczej ja się też rozłożę.

Z tymi słowami ruszył na czele małej kolumny ratowniczej pod osłonę tunelu. McFarland zabrał przezornie z ambulansu pled, na którym ułożono ostrożnie Angelinę. Joy wciąż jeszcze leżała bezwładna, z zamkniętymi oczami, w ramionach Ryersona i uśmiechała się, on zaś uniósł z wahaniem dłonie, by pogłaskać jej twarz.

Doktor Gerrick podszedł do pani Ambros, zbadał ją, osłuchał stetoskopem, obmacał lekarskimi palcami.

- Jak tam, doktorze? Wygrzebie się z tego? - spytał Watts. Doktor Gerrick wstał, otrzepał kolana i zaśmiał się pod nosem.

- Wszystko w porządku - powiedział zdumiony. - Puls normalny, żadnych obrażeń wewnętrznych, nawet śladu złamania, o ile się mogłem zorientować. A poza tym godne zazdrości zdrowe serce. Trochę się tylko starsza pani zmęczyła, nic więcej. To wprost nie do wiary... wypada z jadącego pociągu, po czym wędruje sobie w najlepsze... ile mil pana zdaniem przemierzyła w tę straszną pogodę? Osiem, dziewięć? Nieprawdopodobne!

Oświetlił latarką kruchą, wzruszając delikatną postać i pokiwał głową.

- Najtwardsza sztuka, jaką mi się zdarzyło spotkać w życiu.

KONIEC